

*Sara Gran*

# *Heroina*

Przełożyła z angielskiego Urszula Gardner  
Tytuł oryginału *Dope*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Josephine...

Maude wymówiła moje imię tak, jakby zwracała się do zmarłej albo życzyła mi śmierci – w sposób bezbarwny, a zarazem pełen emocji. Siedziałyśmy naprzeciwko siebie w łoży w najdalszym kącie baru, tam gdzie światło dzienne i świeże powietrze nigdy nie docierają, pozwalając, by miejsce to bezustannie spowijał półmrok i zastarzały zapach piwa i papierosów. Jeszcze w latach trzydziestych Maude została kochanką jednego z okolicznych gangsterów, który w przewidywaniu, iż nie będzie trwał wiecznie, kupił dla niej ten bar. Ulokowany na rogu Broadwayu i Czwartej Zachodniej wyróżniał się tym, że poza właścicielką nie bywało w nim wiele kobiet, co wszakże nie od razu rzucało się w oczy. O każdej porze dnia i nocy zapełniali go mający się ku sobie mężczyźni, na czym Maude nielecho zarabiała: po pierwsze nie było dużo takich miejsc, po drugie zaś każdemu z bywalców zależało, by swą skłonność utrzymać w tajemnicy.

– Witaj, Maude – odparłam.

Popatrzyła na mnie, jakbym spadła z księżycy, chociaż właściwie to ja mogłam ją o to posądzić – wtłoczona w brokatową sukienkę bez ramiączek, o dwa numery na nią za małą, z połyskującymi na cukierkowy róż wargami i natapirowanymi blond włosami wyglądała na przybysza z innej planety. Westchnąwszy sięgnęłam do torebki i wyjęłam diamentowy pierścionek w skromnej oprawie ze złota, bardzo ładny; zaręczynowy.

Zaledwie wczoraj podprowadziłam go u Tiffany'ego.

Teraz zaś podałam go Maude, która rzuciła się nań z błyskiem w oku. Trzymając pierścionek w jednej pulchnej dłoni, palcami drugiej pomknęła w stronę leżącej na blacie kopertówki, skąd wydobyła szkło powiększające i rozpoczęła uważne oględziny klejnotu. Wykręcała sobie rękę i szyję, żeby uchwycić w rozetkach brylantu odbicie mdłego żółtawego światła, które padało z kinkietu wiszącego nad nią na ścianie. Nie śpieszyła się, a mnie to nie przeszkadzało. Ktoś podszedł do szafy grającej i wybrał utwór; dwie czy trzy pary podniosły się ze swych miejsc i ruszyły w stronę parkietu. Niemal natychmiast rozległ się donośny krzyk barmana, żeby dali sobie spokój. Niedoszli tancerze wzruszyli ramionami, ale posłuchali. Nic dziwnego; gdyby jakiś policjant zobaczył tańczących ze sobą mężczyzn, wszyscy trafilibyśmy za kratki. Maude nie zwróciła uwagi na małe zamieszanie w barze i

dalej studiowała mój pierścionek. Wreszcie podniosła na mnie oczy i wycedziła:

– Pięćdziesiąt.

– W pierwszym lepszym lombardzie dostanę znacznie więcej – powiedziałam twardo. W końcu był to pierścionek od Tiffany’ego, nie mogłam tam grasować dzień w dzień. Potrzebowałam pieniędzy na co najmniej miesiąc życia.

– W takim razie idź z nim do lombardu!

Wyciągnęłam rękę po swoją własność. Maude zawahała się i nerwowo postukała kamieniem o blat stołu. Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem – tak jak to czyniłyśmy już nie raz w przeszłości.

– Sto – niechętnie zaproponowała.

Nie cofnęłam ręki, nie odezwałam się ani słowem. Maude wsunęła pierścionek na najmniejszy palec i podziwiała go na długość ramienia; z każdym mrugnięciem tłusty czarny tusz na jej rzęsach rozmazywał się coraz bardziej. Licytacja trwała.

– Sto pięćdziesiąt.

Skinęłam głową. Maude szybkim ruchem sięgnęła do kopertówki i pod osłoną klapy odliczyła parę banknotów, po czym zwinęła je w ciasny rulon i podała mi pod stołem. Równie dyskretnie sprawdziłam, czy kwota się zgadza: w rulonie było siedem dwudziestek i jedna dziesiątka. Zadowolona schowałam je do torebki.

– Dzięki, Maude – uśmiechnęłam się.

Cisza. Wstałam więc i już miałam się pożegnać, kiedy usłyszałam:

– Powiedz Shelley, że może się tu więcej nie pokazywać.

Usiadłam z powrotem.

– Jakiś problem? – spytałam.

– Nie ma żadnego problemu – odparła Maude. – Przynajmniej nie z tobą... Ale Shelley wcisnęła mi bransoletkę ze sztucznym szmaragdem, zaklinając się na wszystkie świętości, że jest prawdziwy.

– Pewnie myślała, że tak jest...

– Nie obchodzi mnie, co myślała – przerwała mi Maude. – Sam cesarz chiński mógł jej tę bransoletkę podarować. Liczy się to, że szmaragd był oszukany! Jak ją spotkasz, przekaz jej ode mnie, że może się tu więcej nie pokazywać – powtórzyła niewzruszenie.

– W porządku – westchnęłam. Po chwili namysłu dodałam: – A może lepiej oddam ci tyle, ile cię kosztowała ta nieszczęsna bransoletka, co? Pod warunkiem że nie wyrzucisz Shelley, kiedy następnym razem do ciebie przyjdzie...

Maude cała się rozpromieniła.

– Znasz mnie przecież, Josephine... Wiesz, że nie jestem pamiętliwa.

Pominąwszy ten komentarz milczeniem, z duszą na ramieniu zapytałam:

– No więc na ile cię skubnęła?

– Na dwie setki – padła błyskawiczna odpowiedź.

– Maude, do licha, jeszcze nikomu nie zapłaciłaś dwustu dolarów, choćby i był cesarzem chińskim! – oburzyłam się.

Ponownie zaczęłyśmy się targować i w końcu stanęło na stu dwudziestu pięciu dolarach. Z ciężkim sercem pozbyłam się niemal całej zarobionej przed chwilą sumy, zabrałam się i poszłam. W innych okolicznościach zostałabym jeszcze trochę – głównie po to, żeby pograć w bilard (praktyka czyni mistrza, zwłaszcza kiedy przeciwnikiem jest ktoś niezły w te klocki, a większość gości Maude była dobra), ale wyjątkowo miałam umówione spotkanie w centrum.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Na zewnątrz oślepiło mnie jasne światło dnia. Poza lokalem Maude wszędzie w Nowym Jorku panował słoneczny wiosenny dzień. Zerknęłam na zegarek: pierwsza po południu; nagłówki gazet podawały datę czternasty maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. Tuż za rogiem złapałam taryfę, która zawiozła mnie na Fulton Street, gdzie kazałam się wysadzić i przeszłam kawałek spacerkiem, szukając numeru dwadzieścia osiem. Znalazłszy go, zadarłam głowę i westchnęłam z podziwu. Stałam przed strzelistym i wąskim budynkiem, który zdawał się rozpierać na boki dwie sąsiadujące z nim kamienice; elewację miał z białego kamienia rzeźbionego w chmury, głowy i gwiazdy, a jego szczyt wieńczyło coś, co przywodziło mi na myśl wieżę kościoła. Kiedy podeszłam do drzwi, przytrzymał je usłużny odźwierny wystrojony w zaprasowany na kant chabrowy uniform ze złotym sznurem. Hall był cały w marmurach, na błyszczącej posadzce leżały krwistoczerwone chodniki, po których przetaczały się tłumy zaferowanych ludzi dzierżących teczki na dokumenty i zmierzających na ważne spotkania. Tak jak ja. Nie potrzebowałam wskazówek sympatycznego portiera siedzącego za wielkim kamiennym blatem i chętnie odpowiadającego na pytania innych – ja wiedziałam dokładnie, dokąd idę.

W windzie natknęłam się na kolejnego przystojniaka w niebieskim uniformie, który szczerząc się radośnie, zawiózł mnie na piąte piętro. Korytarz niewiele się różnił od hallu na dole, tyle że zamiast wszechobecnego tam marmuru tutaj panował mahoń. Czworko mahoniowych drzwi zlewało się z wyłożonymi mahoniem ścianami, lecz nie sposób było je przeoczyć, gdyż wyodrębniały się z tafli drewna dzięki wielkim mosiężnym gałkom i takimże tablicom z nazwami firm. Na pierwszych drzwiach widniało: JACKSON, SMITH & ALEXANDER, RADCY PRAWNI. Na drugich: BEAUCLAIR, JOHNSON, WHITE & COLLINS, ADWOKACI, na trzecich zaś: PIEDMONT, TASKMAN, THOMPSON, BURROUGHS, BLACK & JACKSON, KANCELARIA ADWOKACKA. Czwarte drzwi pozbawione były napisów. To tam właśnie zmierzałam.

Lekko pchnąwszy uchylone skrzydło znalazłam się w poczekalni wyłożonej pięknym perskim dywanem, na którym stały trzy rozłożyste fotele obite skórą i niski filigranowy stół z wyłożonymi egzemplarzami „Forbesa”. Na ścianie wisiał paskudny olejny pejzaż. Siedząca za biurkiem ładniutka brunetka w białej garsonce i okularach w czarnych oprawkach

uśmiechnęła się do mnie na powitanie, lecz ja nie odwzajemniłam uśmiechu. Miałam serdecznie dość ceregieli.

– Jestem umówiona z panem Nathanielem Nelsonem – oznajmiłam. – Nazywam się Josephine Flannigan.

– Ależ oczywiście, panno Flannigan. – Sekretarka zerwała się ze swego miejsca i wprowadziła mnie do głównego biura.

Było to pomieszczenie narożne, a jednak co najmniej pięciokrotnie większe od pokoju, w którym mieszkałam. Zmieściło się w nim przeogromne rzeźbione biurko, skórzana kanapa i fotele oraz dwoje ludzi. Mężczyzna siedział za biurkiem, miał jakieś czterdzieści pięć lat, przyprószone siwizną włosy i duże oczy, a ubrany był w ciemnoszary garnitur wyglądający jak jego druga skóra; sprawiał wrażenie znużonego, ale w linii jego szczęki i rysach twarzy rozpoznałam człowieka, któremu nie mówi się „nie” – był z gatunku tych, co to rządzą wszystkim i wszystkimi od niepamiętnych czasów, tak że dawno zdążyli zapomnieć, iż w rzeczywistości nic od nich nie zależy. Na jego widok wciągnęłam głęboko powietrze i zachłysnęłam się zapachem pieniędzy. Kobieta przycupnęła na krześle po lewej stronie biurka. Rzuciwszy na nią okiem, oceniłam ją na niecałą czterdziestkę i nic poza tym. To znaczy, ktoś mógłby powiedzieć, że jest ładna, gdyby nie cenił w płci pięknej osobowości... Płowe włosy miała upięte w zgrabny kok tuż nad karkiem, na sobie klasyczną czarną garsonkę, która z pewnością nie skrywała ponętej figury, na twarzy zaś zbyt dużo makijażu – chyba po to, aby nie wydać się trupio bladą.

– Witam, panie Nelson – odezwałam się. – Jestem Josephine Flannigan.

Mężczyzna wstał i podał mi rękę nad biurkiem, a ja zauważyłam przy tym, że jest wyższy i mocniej zbudowany, niż sądziłam.

– Witam panią, panno Flannigan. Proszę poznać moją żonę, Maybelline Nelson.

Kobieta wstała i wymieniliśmy uścisk dłoni. Jej skóra w dotyku była tak samo nieciekawa jak na pierwszy rzut oka.

Kiedy prezentacja dobiegła końca, wszyscyśmy usiedli. Dystyngowanym gestem zdjęłam rękawiczki i położyłam je sobie na podołku, po czym powiodłam wzrokiem po twarzach nowo poznanych osób. Pani Nelson patrzyła pusto przed siebie, utkwivszy oczy mniej więcej nad moim ramieniem. Pan Nelson spoglądał wprost na mnie i już otwierał usta, by coś powiedzieć, lecz go ubiegłam. Nie mogłam mu pozwolić, by to on poprowadził rozmowę, groziło to katastrofą.

– Zatem, panie Nelson, któż taki panu mnie polecił?

– Nick Paganas – odparł. Musiałam zrobić głupią minę, bo szybko dodał: – Myślę, że

pani zna go pod przydomkiem Grek.

Uśmiechnęłam się. Znałam pół tuzina facetów, którzy kazali tak na siebie mówić, ale nie było sensu wspominać o tym Nelsonowi.

– Ach tak – rzekłam tylko. – A skąd pan go zna, jeśli wolno mi zapytać?

Wlepił oczy w blat biurka. Po marsie na jego czole domyśliłam się, w jakich okolicznościach zawarł znajomość z Grekiem – kimkolwiek ów był – chwilę później jego słowa potwierdziły moje przypuszczenia.

– Cóż, panno Flannigan... Pan Paganas mnie o... Padłem ofiarą oszustwa.

– Chodzi o akcje? – podsunęłam.

Potrząsnął głową.

– Nieruchomości. Kupiłem od niego pięćdziesiąt akrów na Florydzie. Dopiero po dokonaniu transakcji wyszło na jaw, że pan Paganas handluje Oceanem Atlantyckim.

– Rozumiem. – Z trudem powstrzymałam pchający mi się na usta uśmiech. – To człowiek bez skrupułów, panie Nelson. Ofiarą jego matactw padło wiele znakomitości... byłby pan zdumiony, gdybym wymieniła nazwiska... – Oczywiście w dalszym ciągu nie miałam zielonego pojęcia, o kim właściwie mówimy, ale istniały spore szanse, że nie mijam się zbytnio z prawdą. – Chcę przez to powiedzieć, że znalazł się pan w doborowym towarzystwie.

Pani Nelson ani drgnęła podczas wynurzeń jej męża i mojego wywodu, nie spuszczać oka z ducha za mną.

– Dziękuję, panno Flannigan – odparł sucho Nelson. – Tak się jednak złożyło, że zorientowałem się w procederze pana Paganasa, nim opuścił Nowy Jork, toteż zdołałem odbić sobie stratę, z nawiązką rzec by można. Widzi pani, obiecałem mu, że nie zgłoszę całej sprawy na policji pod warunkiem, że pomoże mi odnaleźć córkę.

– A on polecił panu mnie?

– Tak. Polecił panią – niczym echo przytaknął Nelson. – Zapewnił mnie, że rzuciła pani narkotyki, że jest pani uczciwą osobą, że możemy pani zaufać... Powiedział mi także, iż pani zna miejsca, w których... cóż... może obecnie przebywać moja córka... – Urwał i obdarzył żonę przeciągłym spojrzeniem. Wyrwała się na chwilę z transu, lecz nadal milczała. Wyjaśnienia kontynuował więc jej mąż. – Moja córka zażywa narkotyki, panno Flannigan. Jest uzależniona od... od... heroiny – wyznał przez ściśnięte gardło.

O mały włos byłabym się roześmiała. Każdy dupek w Ameryce uważał, że jego latorośl jest uzależniona od heroiny, podczas gdy dzieciak sporadycznie robił sobie wagary i popalał z przyjaciółmi trochę trawki. W prasie i tanich czytadłach roilo się od historii, w

których naiwna młodzież wpada w szpony narkotyków, zaczynając od niewinnej marychy, potem eksperymentując z amfą, by skończyć na braunie, co dziennikarzom i grafomanom nieodmiennie kojarzyło się ze zbiorowymi gwałtami i seryjnymi morderstwami (naturalnie nie oszczędzili swoim ogłupiałym czytelnikom szczegółów). Stara śpiewka: dziecko z dobrego domu zeszło na złą drogę z powodu wrednego diler. Co ciekawe, na większości okładek dilerzy mieli wąsa... Osobiście nigdy nie spotkałam ćpuna, który wywodziłby się z dobrego domu – z bogatej rodziny tak, z ładnej willi tak, ale nigdy z dobrego domu; no i żaden ze znanych mi dilerów nie nosił wąsa!

– Proszę mi opowiedzieć o swojej córce – poleciłam.

Nelson westchnął.

– Jakiś rok temu Nadine... – zaczął, lecz mu przerwałam. Potrzebowałam konkretów.

– Ile ona ma lat?

Chwila wahania, nim padło niepewne:

– Osiemnaście.

W tym momencie do rozmowy włączyła się matka zaginionej dziewczyny.

– Dziewiętnaście – zniecierpliwiona poprawiła męża i zaraz znów zapadła w trans, jak gdyby zdziwiona tym, co się wokół niej dzieje.

– Racja, dziewiętnaście – potulnie zgodził się Nelson. – No więc jak mówiłem, Nadine jakiś rok temu...

– Nie, to się zaczęło wcześniej! – ponownie sprostowała Maybelline. Po raz pierwszy odkąd się poznałyśmy, patrzyła mi prosto w oczy. – Zostawała w mieście nawet na weekendy...

– Gdzie państwo mieszkają?

– W Westchesterze. – No tak, powinnam się była domyślić... – Nadine nie chciała chodzić z nami do klubu, zapomniała o dawnych znajomych... Nie byłoby w tym nic złego, w końcu za parę miesięcy miała osiągnąć pełnoletność...

– ...tyle że – Nelson wpadł żonie w słowo – wracała do domu pijana.

Maybelline popatrzyła na niego krzywo.

– Pijana albo pod wpływem narkotyków, teraz nie jesteśmy już niczego pewni.

– W każdym razie – Nelson starał się zapanować nad tokiem opowieści – przychodziła do domu coraz później i dziwnie odmieniona.

– Z początku nie mieliśmy nic przeciwko temu. Młodość musi się wyszaleć, jak to mówią... Rozumieliśmy to.

– Nie protestowaliśmy nawet, kiedy wybrała college Barnarda – dodał Nelson. –



Sądziłyśmy, że po paru latach spędzonych w sercu Nowego Jorku przejdzie jej ta fascynacja metropolią, ustatkuje się, wyjdzie za mąż albo w najgorszym razie podejmie pracę swoich marzeń. Byliśmy skłonni przystać na wszystko, co uczyniłoby ją szczęśliwą...

– Zawsze uwielbiała rysować – pozornie bez związku wtrąciła Maybelline. – Z jej talentem widziałam ją w reklamie albo pośród projektantów mody. Na pewno coś takiego by jej się podobało, ale... – urwała i popatrzyła na mnie bezradnie.

– Ale...? – zachęcałam ją, by mówiła dalej, lecz ona tylko przełknęła ciężko.

– Otrzymywaliśmy skargi – poinformował mnie Nelson. – Najpierw z akademika, a potem także z uczelni. Nadine nie przestrzegała regulaminu, wracała o której jej się podobało, nie przykładała się do nauki...

– ...zaniedbywała nawet swój ukochany rysunek...

Nelson przytaknął ponuro.

– Prawie jej nie widywaliśmy... No i pewnej nocy miarka się przebrała. Dyżurna wychowawczynie znalazła w jej pokoju zestaw do wstrzykiwania narkotyków...

– Do szprycowania – uściśliła Maybelline, a ja z powagą kiwnęłam głową i przeniosłam wzrok na jej męża, który kontynuował:

– Gdyśmy się o tym dowiedzieli, próbowaliśmy wysłać ją do lekarza, ale ona za żadne skarby nie chciała się zgodzić. Teraz wiemy, że lekarz i tak nic by jej pomógł. Pani przez to przeszła, więc rozumie pani, co mam na myśli... – Ponownie się zgodziłam i słuchałam dalej.

– Nadine obiecała nam, że sama z tym skończy, ale nie zrobiła tego. Nie była w stanie tego zrobić. Pograżała się miesiącami, aż wreszcie wyrzucono ją z uczelni.

– To wtedy zniknęła – grobowym głosem obwieściła Maybelline. – W dniu kiedy miała zwolnić pokój w akademiku. Pojechaliśmy po nią...

– ...żeby zabrać ją do domu...

– ...ale jej już nie było. Opuściła akademik w środku nocy...

– I od tego czasu nie skontaktowała się z nami ani razu.

– Kiedy to było?

– Trzy miesiące temu.

– Trzy miesiące? – zdziwiłam się. – I przez cały ten czas nikt jej nie szukał?!

Nelsonowie obruszyli się na moje słowa.

– Oczywiście, że jej szukaliśmy! – zapewniła Maybelline. – Zgłosiliśmy zaginięcie na policji...

– ...i usłyszeliśmy, że się tym „zajmą”. Zwyczajnie nas zignorowali! – pieklił się Nelson, a jego żona energicznie potakiwała.

– Nowojorska policja jest do niczego! Rzecz jasna w Westchesterze wszyscy potraktowali tę sprawę bardzo poważnie, ale niewiele mogli pomóc. Próbowaliśmy też poszukiwać na własną rękę, wypytywaliśmy o Nadine jej przyjaciół z college’u, staraliśmy się dotrzeć do środowiska narkomanów, ale nadaremno. Wtedy postanowiliśmy, że zatrudnimy prywatnego detektywa... – sięgnęła do torebki i wyjęła niewielką fotografię. – Od niego dowiedzieliśmy się, że Nadine zamieszkała z niejakim Jerrym McFallem w podłej klitce przy Jedenastej Ulicy. Niestety informacja ta dotarła do nas za późno, Nadine i ten człowiek zdążyli zniknąć, a nasz detektyw nie potrafił ich znów wyśledzić. Proszę, oto zdjęcie, które od niego dostaliśmy.

Na opromienionej słońcem Jedenastej Ulicy, w pobliżu Pierwszej Alei, stali mężczyzna i dziewczyna. Ona patrzyła w czubki swoich butów. Miała jasne włosy, bladą cerę i mdłe rysy twarzy – być może wrodziła się w matkę. Gdyby zadać sobie trud i przyjrzeć się lepiej, znalazłoby się w niej odrobinę urody, tyle że w całej jej postaci nie było nic, co by przykuwało uwagę na dłużej. Koński ogon, ciemny obcisły sweterek i równie ciemna spódnica, do tego białe buty na wysokim obcasie, jednym słowem skrzyżowanie studentki z prostytutką – tak właśnie wyglądała. I z całą pewnością nie tryskała szczęściem w chwili, kiedy robiono tę fotografię. Podobnie zresztą jak towarzyszący jej mężczyzna, przypominający raczej alfonsa niż wykładowcę, mimo że był ubrany w szykowny tweedowy garnitur i kapelusz z szerokim rondem, pod którym skrywały się przenikliwe ciemne oczy. Może to szczurza twarz zdradzała jego prawdziwą naturę, a może nikt postronny nie zwróciłby na to uwagi – ja wszakże poznałam Jerry’ego McFalla z najgorszej strony, choć nie aż tak dobrze, by wiedzieć o nim coś więcej. Na oko dawałam mu trzydziestkę, był zatem parę lat młodszy ode mnie. Ani przystojny, ani wyjątkowy brzydka, a jednak nie przeciętniak.

– Jakiego koloru oczy ma Nadine? – spytałam.

– Niebieskie – odparła odruchowo jej matka.- A włosy takie jak ja.

– Wzrost?

– Metr sześćdziesiąt. – Czyli facet ma jakiś metr osiemdziesiąt dwa, oceniłam w duchu. I minę, jakby miał zamiar przyłożyć dziewczynie. – Zdjęcie zrobił nasz detektyw...

– Już dla nas nie pracuje. Tylko na tyle go było stać: taka sobie fotka i nieaktualny adres. Nie miał właściwych powiązań... – Nelson zawiesił znacząco głos, ale jego żona na wszelki wypadek uściśliła:

– Ze światem przestępczym.

Nelson próbował łagodzić wydźwięk jej słów.

– Panno Flannigan, szukamy kogoś, kto wie co nieco o uzależnionych, zwłaszcza o

uzależnionych dziewczętach. Szalenie nas martwi to, że nasza mała Nadine podziwia się Bóg wie gdzie...

– Ten mężczyzna, Nick Paganas, twierdził, że pani będzie wiedzieć, gdzie tacy ludzie się kręcą, u kogo kupują narkotyki i jak zarabiają na utrzymanie... O mój Boże – matka Nadine jęknęła i zakryła usta dłonią.

– Z otwartymi ramionami przyjmimy ją z powrotem pod nasz dach, nawet jeśli jest uzależniona, byle tylko była znów bezpieczna.

– W pani nasza ostatnia nadzieja, panno Flannigan. Tylko pani może ją odnaleźć i sprowadzić do domu.

– Tak – zgodził się z żoną Nelson. – Jeśli podejmie się pani tego zadania, otrzyma pani tysiąc dolarów w gotówce, na miejscu. Kolejny tysiąc przekażę pani osobiście po odnalezieniu Nadine. Ale proszę pamiętać, że wszystkie wydatki: na benzynę, posiłki, nawet na bilety w wypadku dalszych podróży, musi pani pokryć z tych pieniędzy.

Tysiąc dolarów gotówką, tu i teraz.

Powiodłam wzrokiem od jednego do drugiego. Wydawali się szczerze zaniepokojeni, pełni nadziei, tylko czekający, aż się zgodzę. Wiedziałam oczywiście, że nie mówią mi wszystkiego. Jak już wspomniałam, w życiu nie spotkałam ćpuna z dobrego domu. Może pani Nelson ma słabość do alkoholu, może pan Nelson ma utrzymankę na boku, może oboje mają na sumieniu coś poważniejszego. Bili ją, gdy była dzieckiem? Wciąż biją? Robią awanturę o złe stopnie? Próbują przymusić do małżeństwa z chłopakiem ze sfery? Bardzo prawdopodobne, że Nadine wcale nie popadła w narkomanię, tylko uznała, że Westchester to najnudniejsze miejsce na ziemi i za nic nie chce tam wracać. Nie miało to wszakże znaczenia. Liczył się tysiąc dolarów gotówką, z góry, za który nie musiałam nawet kiwnąć palcem. O drugi tysiąc i o to, co zrobić z Nadine, kiedy już – jeśli w ogóle – ją znajdę, miałam martwić się później.

– Postawię sprawę jasno – powiedziałam widząc, jak bardzo są zdesperowani; moim zdaniem nie zaszkodziło ubezpieczyć się na wypadek niepowodzenia. – Nigdy czegoś takiego wcześniej nie robiłam. Nie wiem, czy jestem najwłaściwszą osobą, by podjąć się tego zadania.

– Ja też tego nie wiem, panno Flannigan – westchnął znowu Nelson. – Prawdę mówiąc nie wiem o pani nic z wyjątkiem tego, że mieszka pani w Nowym Jorku, że jest pani z tej samej... hmm... branży co Nick Paganas i że była pani narkomanką. Jednakże jak powiedziała moja żona, w pani cała nasza nadzieja.

Cóż, z pewnością nie byłam z tej samej branży co Nick Paganas, jeśli prawdą było to,

że handlował nieruchomościami i sprzedawał ludziom takim jak Nelson kawałek Atlantyku. Bardziej prawdopodobne było, że lata temu zaczynaliśmy w tej samej branży, ale podczas gdy on piał się w półświatku aż na szczyty, ja staczałam się na sam dół, gdzie pozostało mi tylko obrabianie jubilerów i kradzieże kieszonkowe. Podejrzywałam, że polecił mnie, gdyż nie znał nikogo innego, kto kiedykolwiek miał do czynienia z ćpunami, a poza tym ani on, ani żaden z jego znajomych nie podjąłby się takiego zadania za tak marne pieniądze. Myślałam o tym wszystkim, przyglądając się niespokojnym Nelsonom, dla których byłam ostatnią deską ratunku. Po długim namyśle oznajmiłam:

– Dobrze. Zrobię to.

Oboje odetchnęli z wyraźną ulgą. Idąc za ciosem, poinformowałam ich, że za tysiąc dolarów będę szukać ich córki przez miesiąc. Potem, jeśli nadal będą chcieli korzystać z moich usług, będą musieli wybulić więcej. Obiecałam, że zatelefonuję, gdy tylko się czegoś dowiem, a jeśli niczego nie uda mi się wyniuchać, zgłoszę się pod koniec miesiąca. Przystali na to. Pan Nelson uroczyście wręczył mi kopertę z tysiącem dolarów w dziesięciu studolarowych banknotach.

– Zatem zadzwoni pani – Maybelline Nelson odprowadzała mnie do drzwi błagalnym wzrokiem – jak tylko czegoś się pani dowie.

– Naturalnie – zapewniłam ją. – Mogą mi państwo zaufać.

## ROZDZIAŁ TRZECI

W kampusie Barnarda znalazłam się po raz pierwszy i wystarczyło parę godzin tam spędzonych, bym zapalała do tego miejsca wybitną niechęcią. Co drugi budynek przypominał siedzibę sądu, a poza tym college leżał na takich peryferiach, że jadąc tam myślałam, że przekraczam granicę stanu. Wcześniej najdalej od centrum byłam na Sto Trzeciej Ulicy, gdzie pewien facet prowadził kawiarenkę, pod której przykrywką handlował herą. Jeździłam tam nieraz, toteż niejako z przyzwyczajenia zerwałam się i chciałam wysiadać na tej samej stacji co zawsze; na szczęście w ostatniej chwili przypomniałam sobie, jaki jest właściwy cel mojej podróży.

Pół dnia spędziłam wczoraj na umawianiu się na spotkanie z prodziekanem do spraw studenckich i oto teraz siedziałam naprzeciwko niego w zagraconym dusznym gabinecie mieszczącym się wewnątrz budynku przywodzącego na myśl gmach Sądu Najwyższego. Prodziekan okazał się cherlawym człowieczkiem w średnim wieku, o oczkach jak szparki i wiotkich rękach, odzianym w tani, wyświechtany garnitur. Nie wyobrażałam sobie, by ktokolwiek z rodziców, widząc go, pomyślał: No proszę, to osoba godna zaufania, ktoś komu bez wahania mogę powierzyć swoje dziecko. Niemniej pamiętał Nadine.

– Wspaniała dziewczyna – powtarzał. – Naprawdę wspaniała.

– Tak, wiem. Widziałam jej fotografię. Zatem poznał ją pan bliżej?

– Niestety nie – zaprzeczył ze smutkiem. – Studentek jest zbyt wiele, bym zdołał każdą poznać. Ale kiedy któraś zaczyna mieć kłopoty, wtedy trafia do mnie... Tak właśnie było z Nadine. Rozmawiałem z nią parę razy...

– O czym?

Pytanie było obcesowe, lecz śpieszyło mi się, by opuścić ten zatęchły pokój. Ponad ramieniem prodziekana widziałam zalany słońcem dziedziniec, na którym zaczynały zielenić się drzewa i krzewy, tu i ówdzie pojawiały się pierwsze kwiaty. Alejkami spacerowały uśmiechnięte bez troskie dzieciaki. Wysiłałam wyobraźnię, jednakże nie potrafiłam ujrzeć Nadine w tym miejscu. Zdawała się tu nie pasować.

– Hmm... – Prodziekan zaczerpnął powietrza, po czym powoli wypuścił je z płuc. – O jej problemie naturalnie. Poradziłem jej, by przestała bawić się w narkotyki, podpierając się przy tym oficjalnym stanowiskiem władz uczelni w tej sprawie.

– Nie wątpię, że to jej bardzo pomogło – zauważyłam cierpko. – Sugerował pan może, by poddała się leczeniu? Próbował ją pan skierować do szpitala?

Taka terapia rzadko przynosi rezultat, ale moim zdaniem lepiej zrobić cokolwiek, niż pozostać beczynnym. Zwłaszcza w wypadku młodej dziewczyny, która nie zdążyła ugrzęznąć całkowicie w nałogu – taka miała jeszcze szansę powrotu do normalności.

Prodziekan spojrział na mnie zwężonymi oczami.

– Panno Flannigan, pomagamy naszym studentkom, jak umiemy. Wszakże większość naszych podopiecznych cierpi z powodu banalnej tęsknoty za domem albo ma trudności z przystosowaniem się do odmiennego trybu nauki niż w szkole, w najgorszym razie przechodzi spóźniony okres buntu. Czasem zdarza się ktoś mający problem z alkoholem... Ale narkotyki? Nadine była pierwszą znaną mi osobą, która zażywa narkotyki! Oczywiście, że chciałem jej pomóc. Ale to przekracza nasze możliwości, proszę mi wierzyć. Coś takiego – mówił z takim zapalem, jakby chciał samego siebie przekonać – to sprawa raczej dla rodziców. No bo jakże to, narkotyki na uczelni?... – Patrzył na mnie tak, jakby uważał, że to jemu należy się współczucie.

– Rozumiem... Pańskie uwagi są dla mnie bardzo cenne. Chciałabym jeszcze zamienić parę słów z wychowawczynią, która znalazła w pokoju Nadine te strzykawki...

Panna Duncan ważyła jakieś sto pięćdziesiąt kilo i z całego serca nienawidziła dziewcząt, które powierzono jej opiece. Zajmowała w akademiku jeden z pokojów, nieco większy od tych, gdzie mieszkaly jej podopieczne, lecz nie na tyle duży, by pomieścić całą tę masę tłuszczu. Siedziałam wciśnięta w kąt kanapy i słuchałam tego, co ma do powiedzenia na temat Nadine.

– Nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkałam – grzmiała. Jej czarna sukienka, wielka jak namiot, opinała się ciasno na licznych fałdach; wyskubane nienaturalnie brwi nadawały jej twarzy wygląd permanentnego zdziwienia. – To znaczy nigdy, zanim nie zaczęłam pracować tutaj... Te dziewczęta... – sapnęła i urwała.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Tak, wiem... Studentki... Chyba nie sądzi pani, że studiowałam?...

– Ależ skąd! – pośpieszyła z zapewnieniem i jakbym mogła mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do poziomu jej wykształcenia, dodała: – Ja również nie. Gdy patrzę na nie, zastanawiam się, po co w ogóle zadają sobie tyle trudu... Oczywiście sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, kiedy ma się zamiar zrobić karierę, osiągnąć coś w życiu. Weźmy na przykład mnie... Gdybym była studiowała w młodości, z pewnością zasłabym daleko, ale one?... Są tu tylko po to, by uzyskać dyplom, który potem wcisną głęboko do szuflady,

pomiędzy pieluszki. Małe puszczałskie...

– Otóż to – zgodziłam się, choć z trudem nadążałam za tokiem jej myśli. Na wszelki wypadek postanowiłam ująć ster rozmowy w swoje ręce. – Od rodziców Nadine wiem, że wiele czasu poświęcała sztuce. Czy to prawda?

Panna Duncan przewróciła oczami.

– Nadine była taka sama jak one wszystkie tutaj. Chłopcy, przyjęcia, ciuchy, tylko to jej było w głowie.

– Czy podejrzewała pani, że Nadine ma kłopoty, nim jeszcze znalazła pani w jej pokoju szpryce? – spytałam.

Jej brwi znalazły się niemal na linii włosów. Panna Duncan patrzyła na mnie długo, nim wreszcie pacnęła się dłonią w udo i rzuciła:

– A to dobre!... Szpryce... Ma pani na myśli strzykawki i całą resztę? Nie, niczego nie podejrzewałam. Jak już wspomniałam, nie miałam w tych sprawach doświadczenia. Dopiero dzięki tym dziewczętom przesłałam przyśpieszoną szkołę, jeśli wie pani, co mam na myśli.

– O tak... Spotkała pani jej rodziców?

Panna Duncan skinęła głową.

– Przyjeżdżali w odwiedziny raz na miesiąc czy coś koło tego. Mieszkają w Westchesterze, a to przecież niedaleko. To bardzo dobra rodzina. Ojciec jest rozchwytywanym prawnikiem... No ale one wszystkie pochodzą z dobrych rodzin. To że tutaj studiują, to tylko ich kaprys – powtórzyła swoją śpiewkę – ich życie i tak kręci się w innej sferze.

Potem zapytałam ją, czy mogłabym porozmawiać ze współlokatorką Nadine. Zajęło trochę czasu, nim się zgodziła, podniosła z wysiłkiem z kanapy i zaprowadziła mnie do pokoju na drugim piętrze. Zapukawszy krótko, niemal od razu otworzyła drzwi prowadzące do małego, niczym się nie wyróżniającego pomieszczenia, do którego chyba tylko z wielkim trudem wstawiono dwa łóżka, dwa biurka i dwie toaletki. Pośrodku pokoju przebiegała niewidoczna granica: jedna jego połowa była zamieszkaana, podczas gdy druga czekała na nową lokatorkę – pościel na łóżku leżała nie obleczone, biurko świeciło pustkami, podobnie toaleta pozbawiona była dziewczynskich drobiazgów. Po zamieszkannej stronie przy biurku siedział jakiś rudzielec i notował coś pilnie w kajecie. Eks-współlokatorka Nadine ubrana była w kraciastą spódniczkę i białą bluzkę, na nogach miała jasne czółenka. Gdyby nie te płomienne włosy i szkocka krata o intensywnych barwach, dziewczyny chyba w ogóle nie byłoby widać, tak bladą miała skórę.

Panna Duncan dokonała prezentacji i wyjaśniła, że poszukuję Nadine.

– Naturalnie – uśmiechnęła się ryza Claudia. – Z radością odpowiem na wszystkie pytania.

Mówiła tak, jakby wychowała się na wsi i trudność sprawiało jej poprawne wysławianie się. Klapnęłam na puste łóżko i wpatrzyłam się w pannę Duncan. Nie spuszczałam z niej wzroku tak długo, aż domyśliła się i zostawiła mnie sam na sam z Claudią.

– Musiałyście się z Nadine znać naprawdę dobrze. Mieszkając we dwójkę w pokoju o takich rozmiarach... – zawiesiłam głos.

Claudia wzruszyła ramionami.

– Wcale nie. Nadine była raczej odludkiem...

– To znaczy?

– Czy ja wiem... – Zmarszczyła brew. – Miewała humory... No i nie szukała towarzystwa.

– A chłopcy? Tańce? Wyprawy na miasto?

Szybki ruch głową.

– Nie... Nadine trzymała się swoich przyjaciół spoza uczelni, a kiedy do nich nie wychodziła, siedziała w pokoju. Nie należała do żadnych bractw, nie chodziła na mecze ani nic takiego.

– A kim byli ci jej przyjaciele? – zaciekałam się.

– Nie mam pojęcia – rozłożyła ramiona Claudia. – Wiem tylko, że miała jakichś znajomych w Greenwich Village. Chyba z nimi mieszkała, zanim przeniosła się do akademika. No i miała stałego chłopaka, Jerry'ego... nazwiska nie pamiętam. Kiedy wybuchł ten skandal, ona od dawna spotykała się tylko z nim, a jeśli nie szła na randkę, to siedziała w pokoju, jak już mówiłam. Rysowała... – Wskazała na szkic wiszący nad biurkiem. Nie znam się na sztuce, ale moim zdaniem był to cholernie udany szkic. Przedstawiał Claudię, która wyglądała na nim jak żywa. Nawet fotografia nie oddałaby tylu szczegółów. – Dostałam go od niej w prezencie. Jeśli mam być szczerą, przez większość czasu Nadine działała mi na nerwy. Poza tym że dała mi ten rysunek, nie była dla mnie zbyt miła, a w końcu byłyśmy współlokatorkami. Nigdy nie zapytała, czy chciałabym z nią gdzieś pójść, nawet nie przedstawiła mnie jak należy swemu chłopakowi. Po prostu albo jej nie było, albo siedziała na łóżku i rysowała. Nie rozmawialiśmy wiele... Oczywiście teraz mam z tego powodu wyrzuty sumienia...

Przyjrzałam się jej uważniej. Rzeczywiście wyglądała na mocno nieszczęśliwą.

– Wiedziałaś, że Nadine bierze narkotyki? – spytałam.

– Och, nie! – zaprzeczyła. – Widzi pani, zanim podjęłam studia, nigdy się nawet nie



napiałam, a o narkotykach w ogóle nie słyszałam!... Chodzi o coś innego... – zawahała się. – Jednego razu Nadine nie wróciła na noc, a ja powiedziałam o tym pannie Duncan. Wychowawczyni wpadła tutaj i zaczęła przewracać pokój do góry nogami, ale nie musiała długo szukać, bo Nadine wcale się nie kryła. Narkotyki i igły, i całą resztę trzymała niemal na wierzchu, w górnej szufladzie biurka. Panna Duncan mi to pokazała, zasypując masą pytań, lecz ja nie zdawałam sobie sprawy, na co patrzę, dopóki mnie nie objaśniła – zaśmiała się cicho. – Z początku myślałam, że Nadine jest chora i musi brać jakieś leki... Potem oczywiście rozpiętało się piekło, wezwano ją na rozmowę do dziekanatu, kiedy już się pojawiła, i o całej sprawie poinformowano jej rodziców. Ale to w żaden sposób nie pomogło Nadine. Wręcz przeciwnie. Skończyło się na tym, że prawie przestała bywać w akademiku, a jeśli już, to zawsze z nosem spuszczonej na kwintę. Trochę tak to trwało, aż wreszcie wydalili ją z uczelni i od tego czasu ani razu jej nie widziałam. Wyprowadziła się dzień przed tym, jak przyjechali po nią rodzice.

– Widziałaś, jak się wymyka?

Pokręciła głową ze smutkiem.

– Zrobiła to tak po cichu, że nawet się nie obudziłam.

Umilkłyśmy na chwilę. Claudia pewnie wspominała koleżankę i wyrzucała sobie, że jej nie pomogła, kiedy ta potrzebowała pomocy, ja zaś przeżuwałam zasłyszane tego dnia informacje, dochodząc do nieciekawego wniosku, że wiem niewiele więcej niż w chwili, gdy opuszczałam Manhattan.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Claudii.

– Te jej humory... – zerknęła na mnie z bojaźnią – ...to przez te narkotyki, prawda? – Przytaknęłam skinieniem. Ona zaś kontynuowała powoli, jakby wszystko układała sobie w głowie. – Gdy raz się zacznie, to nie sposób przestać, prawda?

– Tak – powiedziałam jej. I dodałam: – Przynajmniej tak słyszałam.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Tamtego wieczoru umówiłam się z Jimem Cohenem. Spotkaliśmy się w jego ulubionej restauracji w Little Italy, „U Lenny’ego”, chociaż ja wolałabym wpaść do „Lorenza”. No ale jak zwykle stało na tej pierwszej, gdyż Jim za nic w świecie nie przekroczyłby progu knajpy, w której jak mówił, kelnerzy ruszają się jak muchy w smole, a na kajzerkach można połamać sobie zęby.

Jim, z którym widywałam się co najmniej dwa razy w miesiącu, miał bzika na punkcie swoich ulubionych miejsc. Jeśli chciał coś zjeść, szedł do „Lenny’ego”, garnitury szył zawsze u żydowskiego krawca na Orchard Street, a kapelusze kupował w sklepie Beltona na Delancey Street. Pił wyłącznie oryginalną irlandzką whisky Bushmills, chusteczki kazał prasować tak, żeby rozmiarem idealnie pasowały do kieszonki jego marynarki, a buty zmieniał częściej niż rękawiczki, chociaż nieodmiennie pozostawał wierny marce Florsheim. Nic dziwnego, że tak było – Jim Cohen miał pieniądze. Przed wojną handlował hurtowo narkotykami, potem kiedy rynek się popsuł, imał się różnych zajęć, aż w końcu zaczął pracować dla Gary’ego. Tego Gary’ego. Z Chicago. Zgodnie z niepisaną umową z policją, zobowiązującą do niekałania własnego gniazda, Gary częściej niż w domu działał na terenie Nowego Jorku, a jego biznes obejmował akcje, wyścigi konne, nieruchomości na Florydzie, udziały w kompaniach naftowych i co nie tylko – krótko mówiąc, był z niego oszust pierwszej wody. Ilekroć przyjeżdżał w interesach i potrzebował wtyki, kabla, udawanego bankiera albo tak zwanego ducha, wzywał do siebie Jima. Zajęcie było intratne, lecz nieregularne, toteż Jim tylko teoretycznie zarabiał wystarczająco, by spokojnie przeżyć do następnego razu, kiedy będzie potrzebny. Jego zamiłowanie do pięknych i drogich przedmiotów z pewnością mu w tym nie pomagało i dlatego od czasu do czasu wciąż musiał się chwytać przypadkowych robót.

W drzwiach restauracji przywitał mnie sam Lenny. Lubiłam faceta, ale wyczuwałam w nim jakąś nerwowość, która niezbyt mi się podobała. Poza tym za dużo pracował. Miał sześcioro dzieci i umyślił sobie, że wszystkie pośle na studia. Jak dotąd starsza trójka nie skończyła nawet szkoły średniej, ale Lenny nie tracił nadziei.

– Jim już jest? – spytałam.

Lenny skrzywił się i machnął ręką w stronę zaplecza.

– Lepiej wyciągnij go z kuchni, nim kucharz go ukatrupi.

Słumiłam uśmiech i obiecałam, że spróbuję.

Jak było do przewidzenia, Jim urządził kucharzowi awanturę. Stali pośrodku pomieszczenia przy piecu, na którym perkotało coś w wielkim garnku, a wokół nich wianuszkami ustawili się wszyscy pracownicy – od pomywacza po szefa sali – i w milczeniu się przysłuchiwali.

– Oregano! – darł się Jim. – Tu nie ma ani krzty oregano! – Świadkowie wciągnęli powietrze, kiedy Jim próbował gotującej się potrawy, cokolwiek nią było, i wypuścili je z ulgą dopiero, gdy przełknął, zamiast wypluć z powrotem do sagana. Ani trochę nie udobruchany wrzeszczał dalej: – Jak to jest, baranie łby, że żyd musi tu przyjechać aż z Lower East Side i uczyć was gotować, co? Nie wstyd wam?

Pierwszy nie wytrzymał Vincent, szef kuchni. Jego śmiech okazał się zaraźliwy, wkrótce wszyscy jak jeden mąż zwijali się ze śmiechu.

Jim jakby tego nie zauważał.

– Skąd wy tak naprawdę jesteście, co? – ryczał. – Weźmy ciebie, Vincent, jak nie jesteś Polaczkiem, skoro gotujesz takie gówno! – Vincent na te słowa złapał się za brzuch i zgiął się wpół, Jim zwrócił się więc do któregoś z podkuchennych. – A ty? Ty musisz być z Irlandii! Tylko Irlandczyk potrafiłby tak spiepr... – Nie wątpię, że ciągnąłby w ten deseń do białego rana, gdyby mnie nie zobaczył. – No, panowie – rzekł odkładając łyżkę – gęby na kłódkę, nie wyrażać się przy damie!

Rzecz jasna wywołało to kolejną salwę śmiechu, jako że nikt inny nie odezwał się choćby słówkiem. Jim z namaszczeniem podał rękę każdemu z mężczyzn po kolei, po czym powiódł mnie do stolika, gdzie już na nas czekało jedzenie. „U Lenny’ego” wprost przepadano za Jimem. Można powiedzieć, że był klientem maskotką.

Na przystawkę Jim zamówił dla nas pieczone małże i oberżynę, które nałożył teraz sownie na talerze, i podając mi moją porcję, zapytał, jak poszło spotkanie z Nelsonami. Kiedy skończyłam opowiadać, rzekł:

– Brzmi w porządku – pokiwał głową. – Ale dlaczego wybrali ciebie?

– Ponoć Grek mnie polecił.

Jim zapytał, który Grek. Kiedy powiedziałam, że chodzi o niejakiego Nicka Paganasa i że nie mam pojęcia kto to taki, zaczął się rozwodzić na temat wszystkich Nicków, jakich znał. Przy dziesiątym mu przerwałam.

– Znasz któreś z nich? – spytałam, pokazując fotografię otrzymaną od Nelsonów.

Jim długo się w nią wpatrywał, wreszcie potrząsnął głową.

– Dziewczyny na oczy nie widziałem, ale ten facet kogoś mi przypomina... To Jerry jakiś tam, prawda? – Przytaknęłam. – Ostatnio widziałem go może z pięć lat temu.

Jim, odkąd wypadł z branży, faktycznie nie miał do czynienia z ćpunami ani z dilerami. Nawiasem mówiąc większość tych, którzy znali go z przeszłości, uważała, że Jimowi woda sodowa uderzyła do głowy, ale on miał to głęboko gdzieś. Nigdy nie przepadał za tymi, co dają sobie w żyłę, ani za drobnymi handlarczykami – chociaż swego czasu żył z jednych i drugich – i chyba nie zmartwił się zbytnio, kiedy po wojnie nie było dlań miejsca w biznesie.

– Pamiętam, że sprzedałem mu raz trochę towaru, a on, skurczybyk, próbował mnie orznąć przy zapłacie. Unikałem go potem jak ognia. – Popatrzył na mnie. – A ty go znasz?

– Taa... – odparłam. – Jeden jedyny raz kupiłam u niego towar. Niezła z niego kreatura. Należność odebrał sobie w brzęczącej monecie i... no wiesz... – Jim skinął głową, a ja powtórzyłam: – Tylko ten jeden raz. Nie wiem nawet, czemu to zapamiętałam...

Nie była to do końca prawda. Choć sama przed sobą nie chciałam tego przyznać, wiedziałam dlaczego. Jerry zrobił ze mną, co chciał, a ja tak podle się potem czułam, iż przyrzekałam sobie, że to koniec, że już nigdy więcej, że to ostatni raz. Oczywiście nie dotrzymałam obietnicy, ale faktem jest, że był to początek końca mojej przygody z heroiną. Tak czy inaczej spośród wszystkich rzeczy, jakie zrobiłam za działkę hery, najlepiej zapamiętałam transakcję z Jerryem, mimo że trwała chyba najkrócej, zaledwie parę minut i niewykluczone, że to właśnie dzięki temu wspomnieniu w dalszym ciągu udawało mi się w ostatniej chwili powstrzymać od sięgnięcia po strzykawkę, nawet gdy było mi cholernie ciężko.

– ...ale jestem pewna, że on mnie nie pamięta. Niestety nie mam pojęcia, gdzie go szukać – dokończyłam po chwili przerwy.

Jim przyjrzał mi się uważnie.

– No więc masz zamiar odnaleźć tę dziewczynę czy bierzesz swój tysiąc i zapominasz o całej sprawie?

Jerry McFall i ja to już przeszłość – pomyślałam – ale teraz drań ma w garści Nadine...

– Jeśli ją znajdę, dostanę drugi tysiąc – powiedziałam wolno. – Czemu nie spróbować?

Jim zgodził się ze mną, że warto.

– Od czego zaczniesz?

Opowiedziałam mu, co działałam dotychczas, a raczej jak traciłam czas w college'u Barnarda.

– Wiesz, z kim powinnaś pogadać? – podsunął, wysłuchawszy malowniczej opowieści o panie Duncan. – Ze Starym Paulem. Tym, co mieszka na Bowery. Skoro dziewczyna

bierze, na pewno się z nim widziała. Mam rację? – Pokiwałam głową. Wyglądało na to, że Jim trzyma rękę na pulsie. – Byłbym zapomniał – dodał ożywionym głosem. – W dzisiejszej gazecie było ładne zdjęcie Shelley. Reklama jakiegoś jubilera na Piątej Alei.

– Dzięki, że mi powiedziałaś... A tak przy okazji, nie była to przypadkiem reklama bransoletki?

– Też ją widziałaś? – ucieszył się Jim.

Kelner zabrał nasze talerze i podał danie główne. Makaron wstążki z kalmarami. Skorzystałam z okazji, by zmienić temat.

– A co u Micka? – spytałam. – Słyszałam, że już wyszedł z więzienia.

– Taa – potwierdził Jim. – Już dawno. – Nagle uśmiechnął się do mnie szeroko. – Nie miałem ci nic mówić, ale skoro już o nim wspomniałaś... Kupiłem od niego sukienkę dla ciebie, istne cudencko prosto od Bergdorfa. Spodoba ci się, zobaczysz.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę, kończąc kolację i potem, przy kieliszku sherry. Na ogół po takim spotkaniu szliśmy oboje do mieszkania Jima, ale tego wieczoru byłam zmęczona i chciałam jak najszybciej znaleźć się u siebie. Pożegnaliśmy się więc przed restauracją i każde z nas udało się w swoją stronę; ja szukając taryfy przeszłam pieszo ładny kawałek dzielnicy. Widziałam kręcących się turystów, dla jednych wieczór dopiero się zaczynał, inni wytaczali się z lokali po miło spędzonym czasie; grupki wyrostków snuły się od skrzyżowania do skrzyżowania, sprawdzając najświeższe wiadomości, dzieciaki grały w palanta. Jakaś kobieta wystawiła głowę z okna i ile sił w płucach wołała: – Anthony, do domu, ale to już! – śmiesznie akcentując imię syna albo męża. Po drodze zatrzymałam się przy kiosku i kupiłam „Daily News”. Taryfę złapałam dopiero na Houston Street i kazałam się zawieźć prosto do hotelu dla kobiet „Sweedmore”, gdzie mieszkałam.

Mój pokój wielkością przypominał schowek na miotły, ale było w nim przynajmniej czysto i w miarę bezpiecznie. Interesu pilnowała Lavinia, starsza pani, która większość życia spędziła w recepcji, podejrzliwie łypiąc na wchodzące i wychodzące młode kobiety i wynajdując powody, by je wyrzucić na bruk. Nie żywiłam o to do niej pretensji, taką miała pracę. Kiedy weszłam do hallu, łypnęła na mnie, jak to było w jej zwyczaju, a ja odłypnęłam i nie zamieniwszy z nią ani słowa, poczłapałam na górę. U siebie czym prędzej zrzuciłam z grzbietu tę cholerną garsonkę, którą musiałam przywdziać na spotkanie z prodziekanem, i z westchnieniem ulgi wsunęłam się w za dużą na mnie męską piżamę, po czym rozsiadłam się w fotelu, jednym z dwóch, które udało mi się wyszperać na targu staroci, gdy wciąż

znajdowałam się na etapie meblowania swojego gniazdka. Łóżko i komoda wliczone w cenę pokoju jakoś mi nie wystarczały, toteż chodziłam na targ dopóty, dopóki nie wychodziłam tych foteli i małego stołu. Ten ostatni przydał się jako kącik kuchenny, trzymałam na nim maszynkę do kawy i minikuchenkę elektryczną. A, i dostałam jeszcze niską ławę w spadku po dziewczynie, która mieszkała po przeciwnej stronie korytarza, ale musiała się wyprowadzić. Łazienka była wspólna na całe piętro – dzieliłyśmy ją we trzy – a przy schodach stał rzadko używany gramofon, przy którym leżało parę zjechanych płyt.

Wciąż miałam przed oczyma swój pierwszy dzień w „Sweedmore”. Dopiero co wyszłam z więzienia, czysta od heroiny i całkowicie wyprana z pieniędzy, tak że aby sobie zapewnić miejsce tutaj, musiałam uciec się do podstępu. Zameldowałam się wieczorem, tuż po zamknięciu banków, i dałam Lavinii czek wyrwany z książeczki czekowej, którą podprowadziłam w metrze jakiejś kobiecie. Oczywiście wiedziałam, że czek w każdej chwili może zostać unieważniony, i przezornie resztę wieczoru spędziłam jeżdżąc metrem w tę i w tę i uwalniając podróżnych od ich portfeli. Z początku nie szło mi najlepiej, ale im dalej w noc, tym ludzie stawali się mniej ostrożni, zwłaszcza ci, którzy pijani wracali z barów albo wykończeni z ostatniej zmiany. Skończyłam nad ranem, gdy już miałam wystarczająco na zadatek na czynsz, a także na coś do jedzenia i ubrania, i punkt ósma stawiałam się w recepcji, gdzie złapałam Lavinie, nim zdążyła wyjść do banku. Nie miała nic przeciwko temu, by podrzeć czek i w zamian przyjąć ode mnie gotówkę.

Siedząc w wygodnym fotelu zastanawiałam się leniwie, czyby nie nalać sobie szklaneczki bourbona, ale ostatecznie przewyciężyłam pokusę. Zbyt wielu znałam ludzi, którzy ledwie rzucili herę, wpadali w szpony kokainy, lekomanię albo alkoholizm – nie mogłam pozwolić, by to samo przytrafiło się mnie. Zamiast więc po butelkę sięgnęłam po drewniane pudełko po cygarach. W środku miałam trochę trawki i parę bibulek. Uformowałam zgrabnego skręta i zapaliłam. Trawka przynajmniej nie uzależnia, no i lepiej się po niej śpi...

Pośpiesznie przejrzałam kupioną wcześniej gazetę i zatrzymałam wzrok na stronie piątej. Shelley. Fotografia ukazywała jej popiersie i ręce, które trzymała skrzyżowane na obojczykach. Z uszu zwisały jej olbrzymie kolczyki, szyję oplatała grubaśna kolia, a na lewym nadgarstku tkwiła bransoleta, wszystko rzecz jasna do kompletu i aż ociekające od kamieni szlachetnych – albo podróbek, jak twierdziła Maude. Tak czy inaczej biżuteria wyglądało olśniewająco. Shelley także.

Z ociąganiem oderwałam wzrok od zdjęcia i ruszyłam się po album. Leżał w górnej szufladzie komody, były tam również nożyczki i klej. Wzięłam wszystko co potrzebne i na

powrót zasiadłam w fotelu. Zanim zabrałam się do pracy, najpierw jak zwykle przekartkowałam album. Na pierwszej stronie Shelley ubrana była w jedwabne majteczki i skąpą kraciatą bluzeczkę wiążaną w pasie – to zdjęcie wycięłam z jakiegoś czasopisma drukującego tanią sensację, Shelley wówczas stawiała pierwsze kroki jako modelka i nie mogła odmówić, kiedy zaproponowano jej, by personifikowała ofiarę Szalonego Dusiciela. Powiodłam palcem wskazującym po obrysie jej twarzy, rysy miała wtedy miększe, niemal dziecięce, włosy ciemniejsze, a na ciele zdecydowanie mniej krągłości niż teraz. Naprawdę wyglądała jak mała dziewczynka. Choć było to dziesięć lat temu, nie zapomniałam, jak wielka duma mnie rozpierała i jaki piękny srebrny łańcuszek dla niej zorganizowałam u Alexandra.

Kolejne strony odsłaniały różne oblicza Shelley. Była pośród nich zwiewna istotka w bawełnianej tunice, z ustami otwartymi szeroko do krzyku – z „Sekretnych cieni” (nie czytałam artykułu towarzyszącego zdjęciu, ale domyślałam się, że traktował o młodej mężatce zgwałconej przez sąsiada brutala). Na szczęście te pełne kiczu fotografie prędko zastąpiły prawdziwe reklamy, a nawet programy sztuk, w których Shelley wystąpiła. Naturalnie nie grała nigdy pierwszych skrzypiec, ot, jakąś niemą rolę Pokojówki czy Dziewczęcia Numer Dwa, z rzadka tylko powierzano jej bardziej odpowiedzialną rolę, kiedy to w chórze innych głosów miała zakrzyknąć: „Och, nie!” i zakryć sobie usta dłonią. Niemniej były to wszystko przedstawienia na Broadwayu.

Na ostatniej zapelnionej stronie tkwiła reklama rewii odbywającej się w klubie na East Side, a zatytułowanej „Don Holiday i świąteczna magia”. Shelley grała w niej roztańczonego elfa. Oczywiście nadwerżyłam swój budżet i poszłam na to przedstawienie, a nawet odwiedziłam Shelley w garderobie. Miała dla mnie tylko minutkę, bo Don zabierał ją na kolację. Od tamtej pory nie widziałyśmy się ani razu.

Starannie wycięłam zdjęcie obwieszonej klejnotami Shelley i wkleiłam je do albumu, zapisując sobie w pamięci, że będę musiała kupić nowy, gdyż w tym skończyły się wolne strony. Potem dopaliłam skręta i poszłam spać. Jak już mówiłam, od trawki nie można się uzależnić, ale nie da się ukryć, że sprowadza ona nieraz dziwaczne sny. Tamtej nocy śnili mi się państwo Nelsonowie goniący po swym eleganckim gabinecie Jerry’ego McFall’a, podczas gdy ja przypatrywałam się całej scenie z boku, zastanawiając się, kiedy będę mogła włączyć się do zabawy i klepnąwszy któreś z nich zawołać „berek!”, licząc, że w nagrodę otrzymam swój drugi tysiąc.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Paul miał na Bowery wielki apartament, w którym mieszkał, odkąd wojna się skończyła i narkotyki znów popłynęły szeroką rzeką. Wcześniej, żeby zorganizować sobie działkę, trzeba było uderzyć do łapiducha po receptę na morfinę czy inne świństwo, a potem jeszcze znaleźć pigularza odpowiednio naiwnego bądź biednego, by tę receptę zrealizował. Ale po tych paru latach posuchy przyszła klęska urodzaju – heroina zalała ulice – i wreszcie nie było najmniejszych problemów z zaopatrzeniem, na czym skorzystali zarówno ci, którzy kupowali, jak i sprzedający. Boom zaczął się jakieś dwa lata temu, a ja mogłam tylko patrzeć i zgrzytać zębami, bo właśnie postanowiłam rozstać się z nałogiem, w czym wydatnie pomogło mi aresztowanie i miesiąc odsiadki w więzieniu dla kobiet, gdzie jedyną znaną metodą leczniczą był „odwyk szokowy”. Ironia losu, że całą wojnę i te parę ciężkich powojennych lat spędziłam biegając od lekarza do apteki i z powrotem, a gdy towar miałam dosłownie na wyciągnięcie ręki, na każdym rogu w Harlemie, już go nie potrzebowałam.

Oczywiście przedtem także zdarzało mi się mieć okresy abstynencji – tydzień, parę miesięcy, nawet cały rok, ale tym razem zabrałam się do sprawy inaczej. Przede wszystkim odstawiłam narkotyki całkowicie, co było bardzo pomocne przy ich rzucaniu, no i unikałam jak ognia kontaktów z ludźmi, którzy jeszcze nie zobaczyli światła. To dlatego nie widziałam się z Paulem od przeszło dwóch lat.

W środku dnia Bowery była wyludniona, jeśli nie liczyć grupki pijaków przemysłiwujących, skąd by tu wytrzasnąć kolejną butelczynę. W bramie wiodącej do wnętrza budynku, w którym mieszkał Paul, natknęłam się na zaaferowaną parę zliczającą drobniaki. Na mój widok twarze im się rozjaśniły, w oczach zamigotała nadzieja. Jednakże nim zdążyli mnie zaczepić, potrząsnęłam energicznie głową, dostrzegając przy tym kątem oka mężczyznę w eleganckim garniturze i kapeluszu, który zapewne czekał na swą żonę czy dziewczynę, bojąc się wejść do środka. I słusznie, bo Paul miał niezły układ z prokuratorem rejonowym (znali się jeszcze z college’u), tak że uchodziło mu na sucho wszystko, co działo się w jego mieszkaniu, poza nim zaś stanowił zwierzynę łowną. Zrozumiałe więc, że wychodził tylko wtedy, kiedy naprawdę musiał, a gogusie tacy jak ten, gdy ich przypiliło, wysyłali po działkę swoje kobiety.

Minęłam trzęsącą się i mamroczącą coś do siebie parę pijaczków i weszłam na



obszerną klatkę schodową. W czasach swojej świetności była zapewne rzęsiście oświetlona i bez wątpienia nie śmierdziała sikami jak teraz, no ale to było dawno temu. Z mozołem wspinałam się na trzecie piętro, gdzie jak się okazało, nawet nie musiałam pukać – mieszkanie Paula stało otworem. Nie zdziwiłam się, kiedy od razu znalazłam się w kuchni; dobrze pamiętałam ten śmieszny układ w amfiladzie prowadzący z pokoju do pokoju bez jednych drzwi. W nozdrza uderzył mnie zaduch, w uszach zadzwoniła cisza. W pierwszym pomieszczeniu – kuchni, jak już mówiłam – było puściuteńko, jeśli nie liczyć osamotnionego zlewu. Wszystko inne: obła w kształtach lodówka, drewniany stół, krzesła, nawet talerze i sztuce, zniknęło. Taki sam los spotkałby armaturę i żeliwną nieckę, gdyby dały się wynieść bez kombinowania, jak je odkręcić od ściany...

Kiedyś mieszkałam u Paula – przez parę dni, parę tygodni albo parę miesięcy. Po tym jak odeszłam od męża, miałam szczery zamiar wyjść na prostą, ale nie udało mi się. Przynajmniej nie tak od razu. Paul o nic nie pytał, wymagał jeszcze mniej – ot, żeby wyglądać jak człowiek, być zawsze pod ręką i się nie skarżyć. Chętnie widziałby także moje przyjaciółki, gdybym jeszcze jakieś miała. Dostyc szybko zaczął mnie wkurzać, więc olałam go i przeprowadziłam się do Steve'a, którego poznałam na miejscu. Źle zrobiłam – powinnam była jednak trzymać się Paula.

Z pustej kuchni przeszłam do następnego pomieszczenia. Ono również świeciło pustkami, chyba że za meble wziąć dwie dziewczyny siedzące na podłodze w kącie i oparte o siebie jak szmaciane lalki. Oczy miały przymknięte i najwyraźniej właśnie odjeżdżały. Podeszłam do nich i ukucnęłam. Blondynka musiała usłyszeć moje kroki, bo z wielkim wysiłkiem rozwarła powieki i usiłowała skupić na mnie wzrok. Próbowwała dla towarzystwa dobudzić koleżankę, ale nawet sójka w bok nie podziałała. Ta z włosami blond była całkiem ładna, bardzo młoda i szczupła, ubrana w wełnianą suknię i dobrane pod kolor brązowe buty z krokodylej skóry; czarnula z wysoko upiętymi włosami, wystrojona w czarną długą spódnicę (teraz zadartą do pół uda) i różowy sweterek, nie wyglądała już tak świeżo.

– Gdzie jest Paul? – spytałam ledwie przytomną blondynkę. Ściągnęła usta w ciup, zapewne w próbie uśmiechu, choć bardziej przypominało to grymas, i nic nie powiedziała. Powtórzyłam więc cierpliwie: – Paul. Gdzie jest Paul?

Wykonała nieokreślony ruch, jakby wzruszenie ramion urwane w połowie, z wciąż przyklejonym do twarzy dziwnym uśmiechem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wstałam i ruszyłam dalej. Następny pokój był mniejszy od dwóch poprzednich i równie jak one pusty. Stąd wchodziło się do łazienki – prowadziły tam jedyne w całym mieszkaniu drzwi, oczywiście z wyjątkiem tych

wejściowych, niezbyt często wszakże używane. Teraz też nikt ich nie zamknął, mimo że w środku przy umywalce stał facet, na oko mój rówieśnik, i szykował sobie szprycę. Kiedy zorientował się, że na niego patrzę, ze złością trzasnął drzwiami. Zostało mi więc ostatnie pomieszczenie. Dwójka siedzących tam na podłodze ludzi zwrócona była w stronę okna, mimo to w mężczyźnie bez trudu rozpoznałam Paula. Gdy przekroczyłam próg, właśnie wyciągał igłę z ramienia dziewczyny, kolejnej blondynki nawiasem mówiąc. Syknęła, kiedy igła opuściła jej ciało, i powiodła wzrokiem dokoła, zahaczając o mnie, ale zaraz na powrót wgapiała się w okno. Może myślała, że jeśli nie będzie na mnie patrzeć, ja także jej nie zobaczę. Paul odwrócił się dopiero, gdy skończył ją szprycować. Wiadomo, profesjonalista.

– Witaj, Joey – uśmiechnął się do mnie. Głos drżał mu jak starcowi.

– Siema, Paul.

Kiedy wstał, zobaczyłam, że jest jeszcze chudszy niż niegdyś, istny szkielet przyodziany w markową koszulę Braci Brooks i spodnie szyte na miarę. Słyszałam, że pieniądze dostawał od bogatej rodziny z Kansas czy Missouri, a może był to jakiś inny stan na środkowym zachodzie, w każdym razie rodzina lekką ręką łożyła na to mieszkanie, ciuchy, heroinę i nieprzerwany strumień młodych dziewcząt dla syna marnotrawnego.

– Usiądź, Joey, zaraz się tobą zajmę – wysapał.

Mimowolnie spojrzałam na podłogę, gdzie na kartce papieru leżała kupka brązowego proszku. Z tej odległości wyglądała jak brudna półdolarówka.

Powiadają, że narkotyk potrafi zmienić fizjologię. Że komórki, z których zbudowany jest ludzki organizm, przyzwyczajają się do towaru, jakikolwiek by on był, wpisują go w swoją pamięć i potem już zawsze go pragną. Myślałam, że to bajdy klity, dopóki nie znalazłam się u Paula. Mimo że upłynęły pełne dwa lata, odkąd ostatni raz dałam sobie w żyłę, mimo że w moim krwiobiegu nie było grama heroiny, z chwilą gdy przekroczyłam ten próg, poczułam się tak, jakbym nigdy nie przestała brać. W ustach mi zaschło, z nosa zaczęło ciec. Musiałam się schylić i podrapać w łydkę, tak wściekle mnie swędziało.

Jak gdybym nie marzyła o niczym innym, tylko żeby Paul mnie naszprycował. Tymczasem wcale tak nie było, nie miałam najmniejszej ochoty na działkę. Czułam się tak, jak się czułam, przez te cholerne komórki, którym się ubzdurało, że wciąż potrzebują hery – w przeciwieństwie do mnie.

Nie miałam najmniejszego zamiaru im ulegać. Mogły sobie jęczeć, ile wlezie – już dawno nauczyłam się je ignorować. Z początku nie było to łatwe, fakt, ale z każdym takim razem stawało się łatwiejsze.

Oderwałam wzrok od kupki brauna – po ułamku sekundy, a może dopiero po dłuższej

minucie – i spojrzałam na Paula. Odzyskawszy panowanie nad własnym głosem, odparłam:

– Nie, dzięki. Nie po to tutaj przyszłam. – Wyjęłam z torebki fotografię Nadine Nelson i Jerry’ego McFall’a. – Znasz tę dziewczynę?

Paul rzucił okiem na zdjęcie i się uśmiechnął.

– Jasne, że ją znam. To Betty, tak? – Potrząsnęłam głową. Paul się zafrasował. – Hmm... Jestem pewien, że ją widziałem. Tutaj. Zapytaj Neli, tę z dużego pokoju, powinna tam wciąż być z Jenny... To ona ją tu przyprowadziła. Faceta znasz...

– Nie – zaprzeczyłam żywo. – Kto to taki?

– Jerry jakiś tam... – Paul się skrzywił, jakby ugryzł cytrynę. – Naprawdę go nie pamiętasz? Często tu bywał.

Wzruszyłam ramionami.

– Co możesz mi o nim powiedzieć?

Paul skrzywił się jeszcze bardziej.

– Niewiele. Prawie go nie znam... Po prostu zawsze wydawał mi się jakiś taki... wredny.

Oho, posłuchajcie tylko. Einstein mówiący o kimś: mądrała.

Oczywiście chciałam się dowiedzieć, czy Paul widział tego całego Jerry’ego ostatnimi czasy, ale okazało się, że nie – i to od dobrych kilku miesięcy.

Podczas naszej rozmowy naszprycowana dziewczyna zaczęła pełznąć w stronę okna i teraz leżała w plamie słońca, zwinięta w pozycji embrionalnej. Wyglądała, jakby smacznie spała. Z trudem oderwałam od niej wzrok, podziękowałam Paulowi i amfiladą wróciłam do największego pokoju. Blondynka i brunetka siedziały dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej je zostawiłam, tyle że teraz miały otwarte oczy. Ponownie ukucnęłam na wprost nich, tak że i jedną, i drugą widziałam tylko z profilu.

– Cześć! – rzuciłam. – Jestem przyjaciółką Paula.

– Mmmmm... – odezwała się czarnula. Blondynka tym razem była niekomunikatywna.

Umieściłam fotografię na wysokości jej oczu, mówiąc:

– Muszę znaleźć tę dziewczynę. Czy któraś z was ją zna? Paul powiedział mi, że jedna z was ją do niego przyprowadziła...

Brunetka skupiła wzrok na zdjęciu.

– Hej – wycharczała. – Ja chyba znam tę małą.

– Fajnie – odparłam. – Wiesz może, gdzie ona teraz jest?

– Nnie... Ale chyba ją znam. Słowo. To kumpela Jenny.

– To miło. A skąd Jenny ją zna?

– Nie mam pojęcia. – Dała koleżance kuksańca. – Ej, Jenny, spójrz no tutaj. Pamiętasz ją?

Jenny w zwolnionym tempie uniosła głowę, a ja skwapliwie podetknęłam jej fotografię pod sam nos.

– Proszę, proszę... To Jerry z tą... no, jak jej tam... – Oczy znów jej się zamknęły, głowa opadła na pierś.

– Znasz go? – ożywiłam się. Ujęłam ją pod brodę, starając się wybudzić z otępienia. – Ej, ty! Znasz tego faceta?

Nagle Jenny otworzyła szeroko oczy i zaśmiała się szaleńczo.

– Jasne, że go znam! Jak myślisz, przez kogo tu wylądowałam, co? Obiecywał, że wkręci mnie do filmu...

Rozmarzyła się, powieki zaczęły się przymykać. Ścisnęłam ją za ramię i potrząsnęłam nią z całej siły.

– A dziewczyna? – prawie krzyczałam. – Dziewczynę też znasz? Przyjrzyj jej się dobrze... – Machałam jej zdjęciem przed oczami. – No więc? Znasz ją czy nie?

– Chyba pracowałyśmy razem – charknęła, nim znów odjechała na dobre.

Tym razem głowa poleciała jej do tyłu, więc automatycznie się poprawiła, wtulając w koleżankę, Neli zdaje się.

– Słuchaj, wiesz, gdzie pracuje Jenny? – w desperacji zapytałam szklanooką Neli.

Roześmiała się, jakby usłyszała dobry dowcip.

– Jenny to dziwka, pracuje tam, gdzie ją chcą.

Blondynka, która jeszcze przed chwilą sprawiała wrażenie zupełnie nieprzytomnej, oburzyła się.

– Nie jestem żadną dziwką – wybelkotała. – Jestem tancerką.

– Naprawdę? – zainteresowałam się. – A gdzie tańczysz?

– Nie jestem żadną dziwką – powtórzyła, jakby w ogóle nie dosłyszała mojego pytania. – Jestem tancerką. To znaczy byłam, zanim te dranie mnie wylały, tylko dlatego że...

– Dobrze, już dobrze – poklepałam ją po dłoni. – Powiedz mi, gdzie tańczyłaś?

– „U Rosy” – odparła i nim znów popadła w odrętwienie, dodała jeszcze: – To porządny klub, żaden tam burdel.

Wychodząc nie mogłam nie zauważyć kolejnej pary, która szeptała coś do siebie na parterze. Oboje byli wychudzeni. Mężczyzna miał na sobie wytarty garnitur, bez krawata,

kobieta – czarną suknię, która była elegancka przed jakimiś dziesięcioma laty. Niewykluczone, że dogadywali plan, jak obrobić Paula. W tej okolicy zawsze kręciło się pełno desperatów, którzy o tym marzyli, ale z tego co wiedziałam, dotychczas nikomu się nie udało z tej prostej przyczyny, że nikt nie miał bladego pojęcia, gdzie Paul trzyma kasę i zapas heroiny. Wszyscy wiedzieli, że kryjówka musi znajdować się gdzieś w mieszkaniu, ale gdzie dokładnie – tego nikt nie wywęszył. Świadomość bliskości tego, co dla wielu jawiło się rajem, potrafiła przyprawić o obłąd, którego ofiarą pewnie i ja bym się stała, gdyby nie to, że swego czasu przypadkiem odkryłam dwa szklane słoje schowane pod podłogą łazienki.

Schodziłam najciszej jak się dało, ale i tak mnie usłyszeli – drewniane stopnie skrzypiały jak wszyscy diabli – i natychmiast przestali szeptać. W przyływie wspaniałomyślności chciałam im powiedzieć, że mogą spać spokojnie, bo ich nie wydam, ale nim zdążyłam otworzyć usta, kobieta uniosła głowę i spojrzała wprost na mnie. Rozpoznałam ją od razu, chociaż jej zabrało dłuższą chwilę, zanim skojarzyła moją twarz z nazwiskiem.

– Josephine Flannigan – rzuciła w moją stronę niczym obelgę, kiedy do nich podchodziłam. Wyraz jej twarzy ładnie współgrał z jadowitym głosem. – A co ty tutaj, do cholery, robisz?! Jeśli okaże się, że znów...

– Nie martw się, Cora – przerwałam jej z uśmiechem. – Wpadłam tu tylko z wizytą.

– Z wizytą? Do Paula? Dobrze sobie!... I co, udała się wam pogawędka? Dałabyś spokój, Joe, bo mnie i tak nie nabierzesz.

– Przysięgam, że mówię prawdę. Jeśli mi nie wierzysz, możesz wejść na górę i sama go spytać.

– Och, z pewnością go spytam – warknęła Cora. – Masz to u mnie jak w banku. Wypytam każdego dilerka w mieście, co kombinuje słynna Josephine, a potem jeśli się dowiem, że znów bierzesz, osobiście wezwę policję i każę cię przymknąć!

– Hej – uniosłam ręce do góry – przyjrzyj mi się. Od dawna jestem czysta. W przeciwieństwie do ciebie...

Cora obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem z góry na dół, zobaczyła, że mam na sobie trochę ciała i że moje włosy są lśniące – czyli że jestem dokładnym jej zaprzeczeniem – i musiała przyznać mi rację.

– No dobra – wydusiła w końcu. – W takim razie chodź tu i daj starej Córce buziaka.

Podczas całej tej rozmowy i również potem, gdy się ścisaliśmy w imię starych dobrych czasów, towarzyszący jej mężczyzna nie odezwał się ani słowem.

– Jezu – sapnęłam, oswobodziwszy się z jej objęć – jeśli ty uważasz się za starą, to ile ja mam lat?

Cora uśmiechnęła się szeroko.

– Przynajmniej setkę – odparła. – I proszę, nie mówmy już o mnie. Wiesz, że jestem do niczego.

Miała rację, więc zmieniłam temat na neutralny.

– Wiecie już, gdzie Paul ma swoją kryjówkę?

Cora tupnęła ze złością, a jej towarzysz splunął na ziemię. Odpowiedzieli chórem:

– Za cholere!

Cora popatrzyła na mnie błagalnym wzrokiem.

– Joey, skarbie, ty musisz wiedzieć. Powiedz nam!

– Wiem tyle co i wy...

Moje słowa zagłuszył kolejny głośny przytup.

– A niech cię!... A propos, to jest Hank. Hank, to jest Joey. Znamy się jeszcze z czasów, kiedy byłam piękna i młoda.

Roześmiałam się na jej słowa, ale Cora zachowała kamienną twarz, ponieważ to wcale nie był żart. Byłyśmy rówieśniczkami – no, prawie: ja miałam trzydzieści sześć lat, a ona coś koło tego, ale czas obszedł się z nią o wiele gorzej niż ze mną. Była chuda jak szczapa, oczy miała zapadnięte w czaszce i podkrążone olbrzymimi sińcami, skórę pocięła jej gęsta sieć zmarszczek, i to nie tylko w kącikach oczu i ust.

Hank potrząsał moją dłońią, mówiąc:

– A więc to ty jesteś Josephine Flannigan. Dużo o tobie słyszałem...

Wolałam nie rozwijać tematu, gdyż nie wiedziałam, co dokładnie o mnie słyszał.

Cora zatarła ręce i rzuciła w przestrzeń:

– No to skoro z Paulem wciąż tkwimy w martwym punkcie, lepiej zabierajmy tyłki w troki i ruszajmy na łów gdzie indziej. Joe, może nam coś podsuniesz?

– Hmm... – chrząknęłam, z namysłem patrząc na zegarek. – U Gimbela może się wam udać. Ochronę mają tam kiepską, a o tej porze jest zaledwie paru dupków, którzy nie trafiliby sobie palcem do ucha, nawet gdyby zależało od tego ich życie. Poza tym w porze lunchu przez sklep przewalają się tabuny sekretarek, tak więc jeśli tylko zdołacie przebić się do działu z biżuterią, powinniście się obłowić.

Hank i Cora popatrzyli po sobie z powątpiewaniem, ważąc moje słowa. Dodałam więc:

– Nie dalej jak parę tygodni temu doprowadziłam tam ładny złoty pierścionek. Za to gorąco wam odradzam Macy'ego. Odkąd zaczął się do nich pchać każdy łachmyta, wzięli się na sposób i najęli tajniaków, tak że czasami w sklepie jest więcej detektywów niż klientów.

Człowiek nie ma tam najmniejszych szans, chyba że jest odstrzelony jak na bal u królowej...

Hank i Cora nie spuszczała ze mnie oka. Kiedy skończyłam mówić, ponownie wymienili spojrzenia, a ja wiedziałam już, że prosto stąd udadzą się do Gimbela. Ustaliwszy miejsce akcji, jakby zapomnieli o mojej obecności i zaczęli się kłócić, od kogo potem kupić trochę towaru.

– Od Franka – zaproponowała Cora.

– Dodaje za dużo cukru – wyraził swoją opinię Hank. – Lepiej chodźmy do Bena.

– Do Bena?! – oburzyła się Cora. – Nigdy w życiu! Ten zdierca chce trzy dolary za działkę. Jenny White...

Hank zamachał rękami.

– Przecież to ona nacięła nas ostatnim razem!

– Tylko dlatego, że wtedy było kiepsko z towarem, przez to co się stało w Meksyku. Słyszałam od Micka, że teraz Jenny ma także M...

Wdali się w dyskusję, jaka ilość M – morfiny – odpowiada ilu gramom H – heroiny. Pomyślałam, że za chwilę będą musieli wesprzeć się opium i dilauidem (choć tych nikt nie sprzedawał na ulicy), żeby poradzić sobie ze skomplikowanym zagadnieniem.

Przestałam ich słuchać. Wszyscy narkomani potrafili godzinami gadać o upragnionym narkotyku. Rozmowa – albo monolog – rozpoczynała się, kiedy dawali sobie w żyłę po raz pierwszy, i nie kończyła się dopóty, dopóki brali. Cisza zapadała dopiero wraz z ostatnią szprycą. Każdy ćpun z Nowego Jorku, a może w ogóle każdy ćpun, bez trudu umiałby się włączyć do takiej wymiany zdań, i to w dowolnym momencie. Tematów było tysiąc i jeszcze jeden, ale tak naprawdę wszystko sprowadzało się do tego samego.

A było o czym rozprawić! Narkoman to przecież potencjalny inwestor, który musi rozpatrzyć wszystkie za i przeciw, nim zdecyduje się wydać te swoje parę dolców na trzy działki zanieczyszczonego brauna od Mary albo dwie sterylne szpryce od Josepha – w jednej osobie polityka, co to ma w małym palcu wpływ wydarzeń w Europie i na Dalekim Wschodzie na nowojorski rynek heroiny, prawnika znającego odpowiednie przepisy obowiązujące w każdym stanie i psychiatry zdolnego doradzić, jak podejść innego dilera, żeby zrobił wyjątek i dał towar na krechę. Jeszcze lepiej niż na ekonomii narkomani znają się na biologii – wszyscy wiedzą o wpływie narkotyków na fizjologię i są przekonani, że ten kto bierze, wydłuża sobie życie, gdyż w narkotykach jest coś jakby konserwant komórek zapobiegający starzeniu. Dopiero przyparci do muru przyznają, że w rzeczywistości ćpun mógłby żyć dłużej od innych, gdyby nie był narażony na przedwczesną śmierć z powodu przedawkowania czy marskości wątroby albo czegoś podobnego. Nawiasem mówiąc

większość z nich hołduje opinii, że marskości wątroby wcale nie wywołuje heroina, tylko zanieczyszczenia, którymi doprawiają ją podli dilerzy, żeby zwiększyć swój zysk, a czysta H jest wręcz zdrowa, z tym zastrzeżeniem, że rzadko kto wytrzymałby szprycę ze stuprocentowego towaru, na czym błędne koło się zamyka. Nic dziwnego więc, że narkoman to również swego rodzaju specjalista orientujący się jak mało kto, ile czego można sobie wstrzyknąć, żeby zaćpać na sto dwa, a przy tym przeżyć. Ci, którzy tej wiedzy na czas nie posiadli, od dawna gryzą ziemię.

Próbowałam więc wyciszyć rozmowę Hanka i Cory i nie słyszeć, co mówią, ponieważ jednym z powodów, dla których zerwałam z nałogiem, było to, że nie mogłam już znieść tych niekończących się dysput. Tego wiecznego międlenia, co jest lepsze, ile gramów czego odpowiada ilu gramom czego innego, gdzie można dostać najlepszy towar i czy już nadszedł czas, by spróbować zupełnie czystego. No i odwiecznego martwienia się, czy starczy na następną działkę. Parę minut temu na górze wręcz marzyłam, żeby dać sobie w żyłę, ale teraz myślałam tylko o tym, jak uwolnić się od Cory i Hanka i już nigdy nie musieć zamienić słowa z żadnym ćpunem. Corę lubiłam, naprawdę, ale życzyłam sobie – i jej – aby potrafiła rozmawiać o czymkolwiek innym.

Złapała mnie za rękaw, kiedy przeciskałam się do wyjścia, przyciągnęła do siebie i wysyczała mi do ucha:

– Joey, chybabyś mnie nie okłamała, co? Przysięgam, że jeśli po tym wszystkim, co przeszłaś, żeby wyjść na ludzi, jednak...

Nie dałam jej skończyć.

– Owszem, Cora, okłamałabym cię bez mrugnięcia okiem. Ale nie w tej akurat sprawie.

Przeszłam na wskroś Lower East Side, kierując się w stronę Ludlow Street, gdzie zaszłam do „Kacza” na lunch. Jim niewątpliwie pochwaliłby mój wybór. Oczekałam swoje w kolejce i wreszcie znalazłam się przy ladzie, za którą stał Abe. Długim na pół metra nożem, w jego rękach jednak wyglądającym niewinnie, odkrajał plastry *pastrami*.

– Joey – przywitał mnie z uśmiechem, poprawiając wielką białą czapę – dobrze wyglądasz.

Wiedziałam, co chce przez to powiedzieć. Co chcą powiedzieć wszyscy moi znajomi, którzy ostatnio zachwycali się na mój widok. Bynajmniej nie to, że podoba im się mój strój albo fryzura, lecz że wyglądam tak, jakbym naprawdę rzuciła narkotyki. Trochę mnie to



męczyło – w końcu słyszałam ich ochy i achy już od dwóch lat, no ale nie wypadało mieć im tego za złe.

– Dzięki, Abe. Jak tam dzieciaki?

– Świetnie! – Abe konwersował ze mną w najlepsze, równocześnie pastwiąc się nad wędzoną łopatką, którą kroił niemal na oślep. – Najstarszy jest już w college’u. Chce zostać doktorem.

No tak... Że dzieciak będzie lekarzem, słyszałam, odkąd się chłopak urodził, toteż wiadomość ani trochę mnie nie zdziwiła. Abe przyrządził dla mnie smakowitą kanapkę, nie przestając mówić. Dowiedziałam się jeszcze, że młodszy syn wybiera się na prawo, a córka wychodzi za żydowskiego bankiera, którego poznała w synagodze. Przyszły teść nie miał nic przeciwko temu, ale był nieco rozczarowany, bo kandydat ukończył zaledwie miejscowy college.

– Wiesz, jak jest – zwierzał mi się Abe. – Gość jest całkiem w porządku, ale w końcu każdy ojciec chce najlepiej dla swego dziecka, prawda? Nie rozumiem więc, czemu moja mała nie miałyby sobie znaleźć człowieka z dyplomem Harvardu. Albo przynajmniej Uniwersytetu Nowojorskiego... – Zgodziłam się potulnie, nie mogąc się doczekać jedzenia. Abe nagle spowaźniał i zapytał: – Słyszałaś o Saulu?

Potrząsnęłam głową. Znałam kiedyś jakiegoś Saula, ale czy aby chodziło mu o tego samego?...

– No wiesz, o starym Saulu z Ludlow Street – odświeżył mi pamięć. – Tym, co to działał w branży szmacianej, tu za rogiem... No więc wreszcie przeszedł na emeryturę i wyjechał na Florydę, gdzie dzień w dzień siaduje na plaży i czyta antysemitki gazetki, takie co to na każdej stronie wypisują, że Żydzi przejmują kontrolę nad światem...

– A, o tym Saulu! – roześmiałam się. Był to ulubiony dowcip Abe’a. Przygotowując się na przydługi ciąg dalszy, ugryzłam swoją kanapkę.

– Więc Saul czyta te gazetki – kontynuował z kamienną twarzą Abe – aż jego żona nie wytrzyma i pyta: Saul, po co ty czytasz to gówno, a?, na co Saul odpowiada: Aj-waj, Sadie, ty nie kapujesz? Dobrze być na bieżąco. Popatrz tylko, jak świetnie sobie radzimy. O, tutaj na przykład stoi napisane, że przejęliśmy wszystkie banki, mamy własne kopalnie diamentów, a nawet jesteśmy w rządzie...

Niemal udławiłam się nie przeżutym kęsem.

– ...i poszerzamy sieć swoich knajpek – parsknęłam.

Abe puścił do mnie oko i zwrócił się do stojącego za mną mężczyzny.

– Przepraszam pana najmocniej – faktycznie rozmawialiśmy zbyt długo, a człowiek

mógł być głodny – co podać?

Odchodząc od lady, na ułamek sekundy stanęłam jak wryta. Twarz człowieka od dłuższej chwili stojącego za moimi plecami wydała mi się znajoma. Nie potrafiłam przypisać jej imienia i miałam podobne uczucie jak wtedy, gdy Abe po raz pierwszy wymienił imię starego Saula. Nagle spłynęło na mnie olśnienie: to był ten sam facet, który czekał na kogoś pod bramą Paula. Najwyraźniej się nie doczekał, skoro przyszedł tutaj sam, no ale w tym akurat nie było nic dziwnego. Jeśli dziewczyna spędziła trochę czasu u Paula, rzadko kiedy wychodziła stamtąd z własnej woli.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po wyjściu od „Katza” złapałam metro do centrum, gdzie spacerkiem przeszłam parę przecznic, aż dotarłam do odcinka Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy pomiędzy Broadwayem i Szóstą Aleją. Tam, mniej więcej pośrodku – między budynkiem teatru a biurowcem – tkwiły niepozorne drzwi z wymalowanym farbą olejną napisem:

”u ROSY”

COCKTAILE – TAŃCE

OBSŁUGA PIERWSZA KLASA

TUTAJ NA PIĘTRZE.

Drzwi otwierały się wprost na ciasną klatkę schodową, na której zajeżdżało przetrawioną wodą, marychą i dymem papierosowym, jednakże kiedy już weszło się na samą górę, człowiek przeżywał szok. Pomieszczenie było z dziesięć razy większe, niż można się było spodziewać, a to dlatego, że wcale nie znajdowało się u szczytu schodów, lecz prowadził do niego wąski korytarzyk, a ono samo rozpościerało się na dachu pobliskiego teatru.

W miejscach takich jak to dziewczyny tańczyły z klientami za drobną opłatą; za nieco większe pieniądze pozwalały się przytulać, chociaż trzeba przyznać, że nikt im tu nie ściągał majtek – Tony, szef i wykidajło w jednej osobie, pilnował, żeby wszyscy faceci trzymali ręce na widoku. Mimo to praca była niewdzięczna, jak w każdej podobnej speluncie i podobnie jak wszędzie tam – całkiem opłacalna. „U Rosy” położone było wystarczająco blisko Times Square, żeby zapewnić sobie stały dopływ złaknionych wrażeń turystów, a także w sam raz dla znudzonych pracą biznesmenów.

Sama tam pracowałam, kiedy jeszcze ćpałam. Wkręcił mnie tam mój mąż, który zachwalał robotę, twierdząc, że przyniesie łatwe pieniądze, bylebym tylko nosiła głęboko wycięte dekolty i długi rękaw zakrywający ślady od igieł. Potańczysz trochę, mówił mi, pogadasz z facetem, a jeżeli po zamknięciu klubu do czegokolwiek między wami dojdzie, to wyłącznie twoja sprawa. Uwierzyłam mu, ale dość szybko się okazało, że po pierwsze to co działo się po zamknięciu klubu, nie było sprawą dziewczyny, zwłaszcza jeśli miała męża, a po

drugie nawet długi rękaw nie zdołał zasłonić wszystkiego. Faceci, którzy przychodzili do „Rosy”, może nie mieli wygórowanych wymagań, ale z całą pewnością nie chcieli zadawać się z narkomanką. Gdyby ich przypiliło, może i skorzystaliby z jej usług, niemniej nie widziało im się płacić za taniec czy rozmowę z nią.

Od moich czasów miejsce to prawie wcale się nie zmieniło. Tony jak zwykle siedział za kontuarem, na którym stała wielka kasa, i z marsową miną przeglądał jakieś papiery. Po lewej stronie pomieszczenia znajdował się niewielki podest, gdzie trzech muzyków walcząc z sennością i nudą grało „Blue Moon” Franka Sinatry. (Czy to nie dziwne, że w miejscach takich jak to zawsze w tle leci „Blue Moon”?) Na tylnej ścianie ciągnął się bar, pod pozostałymi dwiema ustawiono paręnaście stolików i krzeseł, tak że środek pomieszczenia stanowił parkiet. Czerwone mięsiste kotary zasłaniały szczelnie wszystkie okna, a sztuczne światło było tak słabe, że dziewczyny nieomal wydawały się ładne, a mężczyźni przystojni. Nieomal.

Trafiłam na nie najlepszy dzień. Tancerki było więcej niż klientów, na parkiecie tkwiły zaledwie trzy pary; te dziewczyny, które akurat nie miały zajęcia, okupowały bar, sącząc prawie darmowe drinki.

– Joey! – zawołał Tony, kiedy już oderwał wzrok od papierzysk. Podszedł do mnie z szerokim uśmiechem na twarzy. – Świetnie wyglądasz, wiesz?

– Dzięki, Tony. Co słychać?

Zasypał mnie narzekaniami: dziewczyny nie były takie ładne jak kiedyś, klienci skąpili każdego centa, a ceny alkoholu znowu poszły w górę. Wygadawszy się, zapytał:

– A co u ciebie? Szukasz pracy?

– Pewnie – roześmiałam się i wskazując pierwszą tancerkę z brzegu, dodałam: – Jak myślisz, jak bym w czymś takim wyglądała?

Dziewczyna miała na sobie przylegającą do ciała błękitną sukienkę, w którą może bym się zmieściła, gdybym była dziesięć lat młodsza i o dziesięć kilo szczuplejsza. Wszelako Tony odpowiedział szarmancko, że prezentowałabym się fantastycznie, i coś ścisnęło mnie za gardło. Ale tylko na ułamek sekundy; chwilę później pokazywałam mu już zdjęcie Nadine.

– Widziałeś ją tu kiedyś?

Tony przypatrzył się uważnie i odparł:

– Przypomina mi dziewczynę, która pracowała u nas jakiś czas temu. Krótko, zaledwie jeden czy dwa miesiące... – Zmrużył oczy starając się odtworzyć obraz byłej tancerki. – Zdaje się, że nazywała się Rachel... – zbyłam tę informację wzruszeniem ramion, mało kto używał prawdziwych imion w miejscach takich jak „U Rosy” – ...a może Roxanne?... – Tony

naprawdę chciał być pomocny. – Spytaj lepiej dziewcząt, one będą pamiętały. Ale Joey, nie rób sobie wielkich nadziei: ja nawet nie jestem pewien, czy to była ta sama dziewczyna.

– A facet?

Tym razem Tony zbył mnie wzruszeniem ramion.

– Po tylu latach oni wszyscy wyglądają tak samo.

Mogłam się pod tym zdaniem podpisać obiema rękami.

Mimo to przeszłam na tyły sali do baru, gdzie na wysokich stoikach siedziały wolne dziewczyny. Chichotały i plotkowały szeptem, zapewne wieszając psy na Tonym, klientach i koleżankach, które miały tego dnia więcej szczęścia niż one. Zdziwiłam się, kiedy rozpoznałam brunetkę w krwistoczerwonej sukni.

– Daisy... – powiedziałam, podchodząc do niej. Odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć, i po jej pustym wzroku domyśliłam się, że mnie nie kojarzy. Rozchichotane dotąd tancerki umilkły. Nie przejmując się nimi, ciągnęłam: – Pracowałam tu kiedyś... jakieś osiem lat temu... No ale nic dziwnego, że mnie nie pamiętasz: większość czasu spędzałam w toalecie po prawej.

Rozbawiłam je tym. Wybuchnęły śmiechem, Daisy także. Ubikacja po prawej była większa od pozostałych i każdy, kto miał potrzebę inną od typowej, korzystał właśnie z niej. Ja na ogół się tam szprycowałam. Dzięki temu wspomnieniu zdobyłam zaufanie dziewcząt przy barze – wiedziały, że jestem jedną z nich.

– Szukasz pracy? – spytała mnie Daisy przyjaźnie. Pokręciłam głową.

– Prawdę powiedziawszy, nie. Szukam tej dwójki.

Podalam jej trzymaną wciąż w dłoniach fotografię. Daisy obrzuciła ją szybkim spojrzeniem, potem znów popatrzyła na mnie.

– Pracowała tu?

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą.

– Hmm... Myślę, że już ją gdzieś widziałam... Hej, Gina, chodź no tu coś zobaczyć!

Od końca baru ruszyła ku nam wysoka, wyjątkowo zgrabna dziewczyna w ohydnej różowej sukience. Podszedłszy, zerknęła Daisy przez ramię.

– Czy ja wiem... – Sądząc po jej akcencie, Gina wychowywała się w Brooklynie. – Czy to przypadkiem nie jest ta mała, która przeniosła się do „Royale”?

– Może... Jak ona się nazywała?

Gina zmarszczyła brwi.

– Jeju, skąd mam to wiedzieć? Zmieniają się przecież jak w kalejdoskopie... – Widząc moją nachmurzoną minę, próbowała jednak sobie przypomnieć: – Roxy?

– Nie. Roxy wyprowadziła się na Alaskę – sprostowała Daisy.

Nagle do rozmowy włączyła się drobna ciemnoskóra Portorykanka, która od samego początku ciekawie łypała okiem na zdjęcie.

– To jest ta dziewczyna, która przeniosła się do „Royale” – poinformowała ze śpiewnym hiszpańskim akcentem. – Byłam tam raz z przyjaciółką... – rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę kasy – ...tylko nie mówcie nic Tony’emu, na litość boską!... i ją tam widziałam.

– Kiedy to było? – zapytałam z ożywieniem.

– Z miesiąc temu.

Chciałam dowiedzieć się od Portorykanki czegoś więcej, ale znów odezwała się Gina.

– Nie mam pojęcia, co to za dziewczyna, ale tego faceta – postukała paznokciem w fotografię – chyba już gdzieś widziałam. Clara, pozwól tutaj...

Clara okazała się okrągłutką blondynką w eleganckiej sukni bez ramiączek; biel dodawała jej szyku. Wyglądała na najmłodszą z nich wszystkich, zbyt młodą, by tu pracować. Zawołana, zeskoczyła ze stolika i szybko do nas podeszła. Kiedy Gina pokazała jej fotografię, zamrugła oczyma i zacięła usta – tylko na ułamek sekundy, jednakże to mi wystarczyło, gdyż przyglądałam się jej bardzo uważnie.

– Nie – powiedziała cicho, czyli dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie jej głos, spokojny i dystyngowany – nigdy żadnego z nich nie widziałam.

Daisy bez słowa ujęła zdjęcie w zgrabne palce i podała je siedzącej obok dziewczynie, a ta po przyjrzeniu mu się i stanowczym pokręceniu głową przekazała je następnej. Wszystkie po kolei kręciły głowami i patrzyły na mnie przepaszająco. Podziękowałam im więc, a one z ulgą powróciły do swych drinków i plotek. Wszystkie z wyjątkiem Clary. Siedziała jak posąg, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Podeszłam do niej i ją zagadnęłam.

– Co powiesz na drinka? Ja stawiam.

Podniosła na mnie oczy i niezauważalnie kiwnęła głową. Poprowadziłam ją do najbardziej oddalonego od baru stolika – dziewczyna szła bezwolna jak lalka, a ramię, za które ją trzymałam, było miękkie i prawie bezwładne, tak że łzy niemal napłynęły mi do oczu. Kiedy już usiadłyśmy naprzeciwko siebie, zapytałam ją:

– Skąd go znasz?

Clara wyraźnie ze sobą walczyła. Jej młoda ładna twarz poszarzała. Znów wlepiła wzrok w podłogę.

– Zabrał mnie parę razy na obiad, to wszystko – wydukała.

– Spotkaliście się tutaj?

Przytaknęła.

– Ale tylko zabrał mnie parę razy na obiad... – powtórzyła bezbarwnym głosem.

Wiedziała, że na tym się nie skończyło, ale postanowiłam podjąć jej grę.

– Dlaczego się z nim umówiłaś?

Westchnęła.

– Wydawał się inny od nich wszystkich – wykonała nieokreślony ruch głową. – Był miły. Zachowywał się, jakby naprawdę był kimś. Jakbym ja była kimś...

– I co się stało? – zapytałam delikatnie. Clara nie odrywała spojrzenia od ziemi. Nacisnęłam ją lekko: – Poszliście do łóżka?

Dziewczyna spojrzała wprost na mnie.

– Tak. Zaprosiłam go do siebie i poszłam z nim do łóżka – odparła nieco butnie. – A kiedy się nazajutrz obudziłam sama, zorientowałam się, że razem z nim zniknęły wszystkie moje pieniądze. Równo dwieście dwadzieścia pięć dolarów, które trzymałam w puszcze na komodzie.

– Widziałaś się z nim potem?

Potrząsnęła gwałtownie głową i nagle cała energia jakby ją opuściła; Clara zapadła się w sobie, zawstydzona spuściła oczy.

– Rany, a tyle się namęczyłam, żeby odłożyć te dwieście dolców...

Zanim wyszłam, zamieniłam jeszcze słówko z Tonym. W drzwiach minęłam się z grupką pięciu biznesmenów – otyłych facetów o nalanych gębach – którzy rozpychali się i rechotali, jakby spędzenie popołudnia „U Rosy” było czymś zabawnym. Jakby właśnie po to tutaj przyszli – żeby się pośmiać. Odwróciłam dyskretnie głowę i zobaczyłam, że dziewczyny przy barze urywają rozmowę w pół zdania, siadają wyprostowane i przybierają poważny, pełen nadziei wyraz twarzy. Jakby cały czas czekały, aż pojawi się ich wymarzony otyły biznesmen o czerwonej nalanej gębie i je uratuje.

Clara w dalszym ciągu siedziała przy stoliku, przy którym ją zostawiłam, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nazajutrz wyspałam się porządnie. Skoro wybierałam się do „Royale”, mogłam sobie na to pozwolić, bo nie miało sensu pokazywać się tam przed zachodem słońca. Kiedy się obudziłam, lało jak z cebra i przez cały dzień nie przestawało: gdy sprzątałam swój pokój, sortowałam pranie, robiłam porządek w komodzie. Siąpiło nawet wówczas, gdy wyskoczyłam na miasto, żeby kupić sobie nowe pończochy i rękawiczki. A powiadają, że „w maju jak w gaju”! Cóż, pewnie się przesłyszałam...

Wyszukowawszy się późnym popołudniem, w gęstej mżawce przeszłam do stacji metra, skąd pojechałam na Times Square. Wychowałam się niedaleko, w rejonie Czterdziestej Pierwszej Ulicy i Dziewiątej Alei, określanym malowniczym mianem Hell’s Kitchen – i wciąż darzyłam ten rejon Nowego Jorku sporym sentymentem, po dziś dzień mile wspominając wyprawy do lokalnego „Automatu” i nawet teraz wpadając tam na szybki posiłek, ilekroć znalazłam się w pobliżu. Bar był zawsze gwarny, pełen ludzi w porządnym ubraniu („sztywniaków”, jak mawiała o nich moja matka), którzy mieli stałą pracę i domy na własność (jak z kolei lubiłam o nich myśleć ja). W naszej rodzinie na porządku dziennym były częste przeprowadzki, z jednej kamienicy do drugiej, z sutereny do sutereny albo co gorsza z noclegowni do noclegowni. Już matka się o to postarała, żebyśmy nigdzie nie zagrzały długo miejsca – za wiele imprez, zbyt dużo hałasu, niekończący się sznur odwiedzających nas mężczyzn, no i wieczne zaleganie z czynszem. Polowy nor, w których mieszkaliśmy, nie zapamiętałam – na swoje szczęście. Zdarzało mi się przechodzić koło zapuszczonych budynków – na przykład na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy – i myśleć, że chyba kiedyś w nich mieszkałam, ale nigdy nie byłam pewna do końca.

Tak czy inaczej w moim ulubionym barze wybierało się posiłek na automacie, wciskało przycisk i wrzucało piątaka albo dziesiątaka, po czym maszyna trzęsła się jak w konwulsjach, przyprawiając każde dziecko niemal o zawał, że pieniądze przepadły, ale nie, w ostatniej wydawałoby się chwili szybka się uchylała i kanapka albo porcja spaghetti bądź ciasto z wiśniami były na wyciągnięcie ręki. Kiedy byłam mała, taka obfitość pożywienia jawiła mi się cudem, dopóki nie dowiedziałam się na trzepaku, że za tylną ścianką maszyny stoi gruba pani, która na bieżąco uzupełnia zapasy. Ja najczęściej zamawiałam colę, bo na nic więcej nie było mnie stać, a okraść automatu się nie dało, chyba że wykorzystało się tę



króciutką chwilę, nim zamknęła się szybka za ręką poprzednika, ale trzeba było wtedy sięgnąć naprawdę głęboko, a poza tym w barze był wykidajło, który miał oko na amatorów darmowej przekąski. Teraz myślę, że te kobiety od strony kuchni wszystko widziały i to one dawały cynk, którego gałgana trzeba złapać za ucho i wyrzucić na ulicę. Jak trochę podrosłam, odkryłam, że wystarczyło siedzieć tam wystarczająco długo przy kawie i wyglądać smętnie, a prędzej czy później pojawiał się mężczyzna, który proponował, że kupi coś do jedzenia. Cała sztuka polegała na tym, by dać nogę, zanim gość zaczął dopominać się rewanzu w zamian za te parę centów, które wydał na poczęstunek.

Jednakże teraz nie musiałam się niczym przejmować – sama miałam całkiem sporo kasy – i mogłam zaszaleć, zamawiając dwa kawałki ciasta. Delektowałam się słodkościami, czekając, aż się wreszcie przejaśni i przestanie mżyć. Dopiero wtedy wyszłam na zewnątrz i wolnym krokiem ruszyłam przed siebie. Na Times Square roiło się od turystów podziwiających oświetlenie – cóż, może tam skąd pochodzili, nie było jeszcze elektryczności. Na rogu Czterdziestej Siódmej Ulicy i Siódmej Alei stała grupka młodych pedałów w obcisłych spodniach. W oczekiwaniu na klientów obrzucali się niewybrednymi epitetami, śmiali głośno i udawali, że miło spędzają czas. Kawałek dalej mężczyzna we fraku i turbanie donośnym głosem zachęcał przechodniów, by wstąpili na wieczorny pokaz, którego atrakcją miał być Profesor Thaddeus i jego szkolone pchły. Nie skorzystałam z zaproszenia, mimo że bilet wstępu kosztował tylko dziesięć centów – widziałam to przedstawienie już wcześniej i nie miałam najlepszego zdania o pchłach erudytkach. Pozbawieni mojej wiedzy marynarze zafascynowani przysłuchiwali się zachętom naciągacza, razem ze staruszkiem w wystrzępionym płaszczu wojskowym i wyświeconym filcowym kapeluszu, spod którego wystawało parę siwych włosów. Staruszek przypatrywał się naganiaczowi ze znużeniem, lecz równocześnie niezauważalnie przybliżał się do marynarzy. Właśnie miał wyciągnąć portfel stojącemu nieco z boku matrosowi, kiedy naganiacz to zauważył i urwał w pół słowa.

– Dziadku! – powiedziałam głośno, podchodząc do starca i ujmując go pod ramię. – Dziadku! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie tracił zapomogi na rozebrane dziewczęta?

Staruszkiem był Yonah Ross, prawdopodobnie najstarszy narkoman żyjący w Nowym Jorku. W rzeczywistości wcale nie był taki stary, na jakiego wyglądał, ale i tak udało mu się przeżyć swoich rówieśników, którzy jak on przed laty popadli w nałóg. To że wciąż żyje, w dużej mierze zawdzięczał swej awersji do handlu – nigdy nie wziął się do sprzedawania jakiegokolwiek towaru, dzięki czemu uniknął niesnasek z niezadowolonymi klientami i konkurencją. Aby utrzymać się przy życiu zajmował się drobnymi oszustwami, kradzieżą w tłumie i po sklepach, grą w trzy karty oraz proponowaniem naiwnym turystom, a częściej

żołnierzom na przepustce, że za niewielką opłatę zaprowadzi ich w miejsce, gdzie rzekomo miały na nich czekać opium i dziwki. Wielu mężczyzn mieszkało z moją matką, lecz Yonah był inny. Naprawdę lubił dzieci i sporo mnie nauczył.

Usłyszawszy moje słowa, marynarze popatrzyli po sobie i jak jeden mąż skierowali się w stronę naganiacza. Widać uznali, że szkolone pchły i gole dziewczyny to interesujące połączenie. Kiedy już zapłacili za wstęp i zniknęli za drzwiami, mężczyzna we fraku odwrócił się do nas i syknął:

– Tym razem ci się udało, śmieciu. Gdyby nie ona, wezwałbym dawno gliny. A teraz zjeżdżaj stąd i nie pokazuj mi się więcej na oczy!

Yonah spuścił głowę i włókł się za mną noga za nogą. Nagle przystanął i zaczął z siebie wyrzucać urywanymi zdaniami: – Jezu! Co za skurwiel!... Sam naciąga ludzi, a wydaje mu się Bóg wie co. Znałem jeszcze jego starego, tamten nigdy mi się nie naprzykrzał. Sam zwabiałem mu klientów, a w zamian miałem monopol na kieszenie gapiów. Kiedyś wszyscyśmy się wspierali. Dziwki nadawały mi, kto jest dziany, a ja im mówiłem, kogo już zdążyłem obrobić, żeby się nie fatygowały na darmo. A teraz co? Każdy sobie rzepkę skrobie... – i zakończył filozoficznie: – Człowiek człowiekowi wilkiem, ot co!

Pokręcił głową nad upadkiem moralnym świata i powlókł się dalej. Ożywił się dopiero, kiedyśmy przechodzili obok hotelu „Howard Johnson’s” – nie odrywał wzroku od grupki biznesmenów z prowincji, którzy jak nic staliby się jego łupem, gdybym go nie przytrzymała. To wtedy jakby odnotował moją obecność, mówiąc:

– Jezu, Joey, wyglądasz wspaniale, naprawdę pierwsza klasa. Dobrze ci się wiedzie?

– Świetnie, Yonah, po prostu świetnie. Wiesz co? Chodź, napijemy się, może będziesz umiał mi w czymś pomóc...

– Jasne, złotko, jasne... Ale najpierw muszę na chwilę wrócić do swojego lokum. Pójdiesz ze mną?

Ruszyliśmy spacerkiem w stronę Czterdziestej Drugiej Ulicy, rozprawiając o starych dobrych czasach. Przywoływałyśmy miłe wspomnienia, jak to uczył mnie mieć oregano, tak że do złudzenia przypominało trawkę, którą dało się wcisnąć za dolara ciemniakom, a kompletne dupki płaciły nawet więcej. Albo jak wytłumaczył mi, na czym polega numer na tatusia i córunię – nie, to nie to, co myślicie. Ja miałam udawać młodą dziwkę, a znajomy Yonaha grał rolę ojca. Znajdowałam klienta, prowadziłam go w umówione miejsce, ale zanim do czegokolwiek doszło, z pianą na ustach wpadał do pokoju „tatuś” i oskubywał ofiarę do szczętu, grożąc, że jeszcze chwila i wezwie gliny. Yonah oczywiście chciał dobrze i chyba nie straciłam na znajomości z nim. Gdyby z nami na krótko nie zamieszkał, pewnie stoczyłabym

się jeszcze bardziej, niż się stoczyłam, a tak dzięki niemu był na świecie ktoś, na kogo mogłam liczyć i do kogo mogłam się zwrócić w potrzebie.

Teraz mieszkał w hotelu „Książę Aleksander”, co ani trochę mnie nie zdziwiło. Większość podłych noclegowni miała szumne nazwy zapożyczone od królów i książąt tego świata. I większość stanowiła mieszaninę luksusu i skrajnej nędzy. Tu na przykład podłogi były z marmuru pokrytego tak grubą warstwą brudu, że niepotrzebne były dywany, a ladę recepcji odgradzono od hallu metalową siatką. To także było typowe dla takich miejsc.

Za siatką siedział młody chłopak, który na moment oderwał się od studiowania świerszczyka, skinął nam głową i na powrót zagłębił się w lekturze. W hallu tkwiło paru staruszków, czy raczej steranych życiem rówieśników Yonaha, alkoholików i wariatów, którzy przypatrywali się przepływającemu obok nich życiu – przynajmniej tej jego części, która przez przypadek zaplątała się do „Księcia Aleksandra”. Po drodze przystanęliśmy, by przywitać się z paroma: z Jednookim Fredem, Jacksonem z Pięćdziesiątej Trzeciej i Szalonym Jimem. Choć ciężko było w to uwierzyć, każdy z nich był kiedyś kimś – na swój sposób oczywiście. Oszuści, hazardziści, bandyci... W czasach mojego dzieciństwa ja i moi koledzy chcieliśmy być tacy jak oni. Ironia losu, że w moim wypadku życzenie się niemal spełniło...

Nieco na uboczu siedział samotnie starszy pan wystrojony w ciemnobrązowy garnitur, białą koszulę ze stójką i czarny melonik, który wyglądał, jakby pamiętał pierwszą wojnę światową. Wyprostowany jak świeca starowina mamrotał coś do siebie. Z tego co udało mi się usłyszeć, mówił o jakiejś Emily.

– ...Emily obiecała, że wróci do domu za pięć minut, ale zajęło jej to nie pięć, tylko sześć minut, sześć i pół, pół tuzina pączków...

Yonah pociągnął mnie w stronę windy. Mechanizm był staromodny, niemal antyczny, napędzany siłą ludzkich mięśni. Jakimś cudem udało nam się wjechać na trzecie piętro, gdzie na końcu długiego korytarza, u którego sufitu wisiały nagie słabe żarówki, a ze ścian obłaziła tapeta niezidentyfikowanego koloru, znajdował się pokój Yonaha. Kiedy otworzył drzwi z klucza (wszyscy bardzo tu pilnowali swej prywatności), przekonałam się na własne oczy, że mój pokój w „Sweedmore” to niemal pałacowa komnata. Tutaj mieściło się tylko łóżko – koja właściwie – i rozchwierutane krzesło z wyliniałym siedziskiem. Ubrania wisiały na gwoździach wbitych na chybił trafił w ścianę, a na łóżku zamiast pościeli wałało się parę splątanych, poszarzałych od częstego prania, ale teraz niemiłosiernie brudnych prześcieradeł.

– Siadaj, złotko. – Yonah uśmiechnął się do mnie, zdejmując kapelusz i płaszcz. Nie mając właściwie wyboru, usiadłam na krześle, starannie omijając leżącą na podłodze przepełnioną po brzegi popielniczkę. W głowie kręciło mi się od okropnego smrodu. – To mi

zajmie tylko minutkę.

Wyszedł po sprzęt, który zapewne trzymał gdzieś w korytarzu. Tak było bezpieczniej. Gdyby gliny zrobiły nalot, jego pokój okazałby się czysty, a przecież nikt nie dałby rady mu udowodnić, że ukryte na korytarzu przedmioty są jego własnością. Czekając, aż wróci, rozejrzałam się po mikroskopijnym pomieszczeniu. Zamiast zasłony u okna wisiało nieco tylko czystsze poźółkłe prześcieradło, którego jeden koniec się osunął, tak że mogłam wyrzeć na zewnątrz. Wyglądało na to, że na dworze nareszcie się przejaśniło i pokazało się nawet słońce – rychło w czas, żeby zaraz zająć. Niebo miało dziwny piaskowoszary kolor. Zanim zaczęłam się nudzić, Yonah był już z powrotem, w ręku dzierząc małe zawiniątko.

– Daj mi jeszcze momencik, Josephine.

Usiadł na łóżku tyłem do mnie, ale ja nie musiałam widzieć, by wiedzieć, co robi. Najpierw zdjął prawy but, upuścił go na podłogę, po czym ściągnął także skarpetkę. Potem zajął się herą. Odmierzył trochę proszku z papierowej kopertki na łyżeczkę, nabrał do strzykawki parę kropel wody ze szklanki stojącej obok łóżka i ostrożnie wypuścił je nad łyżeczką. Później potarł łebkiem zapalki o podeszwę buta, który wciąż miał na nodze, i potrzymał wątyły płomyk pod łyżeczką, aż mikstura zamieniła się w jasnobrązowy płyn. Wreszcie nabrał złotej, obiecującej euforię – a może tylko ukojenie – cieczy do strzykawki, jako filtra używając prawdopodobnie brudnego wacika, by w końcu dźgnąć się parę razy w nagą stopę, klnąc przy tym szpetnie, bo nie mógł znaleźć dobrej żyły. Sapnął z ulgą, kiedy udało mu się trafić, i w skupieniu wstrzyknął sobie zawartość szklanej tulejki. Żył na przedramionach nie używał już od dawna, może nawet od dwudziestu lat. I tak był szczęściarzem, że wciąż mógł się kłuć w stopę – większość jego rówieśników musiała zadowolić się krocem albo szyją.

Przez długą chwilę nie ruszał się ani nic nie mówił. Wcale nie dlatego, że sprawił sobie taki fantastyczny odjazd – mało kto po tylu latach brania potrafił jeszcze czuć się na haju. Liczyło się to, że wszystko inne – ból, złe wspomnienia, pogarda dla samego siebie – przestawało na chwilę istnieć. Heroina nie była już dlań dostarczycielką ekstazy, ot, dawała mu tyle, że przez krótką chwilę czuł się znośnie. Dobrze pamiętałam to błogie uczucie, że jest się ponad trywialne problemy śmiertelników. Całkowity brak zmartwień, zupełna beztroska. Nawet jeśli człowiek był świadom jakichś – jakichkolwiek, swoich lub cudzych – problemów, miał je głęboko gdzieś. Przez krótki czas działania narkotyku miało się wszystko to, czego się potrzebowało, wszystko, czego się pragnęło...

Z zamyślenia wyrwało mnie poruszenie się Yonaha – zakładał skarpetkę i but i już odwracał się do mnie twarzą.

– Jezu, Joey... Dobrze się czujesz?

Dopiero gdy się odezwał, uświadomiłam sobie, że przez cały ten czas, kiedy on się szprycował, ja wstrzymywałam oddech. Szczękę miałam zaciśniętą tak silnie, że bolało mnie jej rozluźnienie. Z trudem zaczerpnęłam tchu.

– Tak, nic mi nie jest – zapewniłam go.

Nie wziął wiele, tyle tylko, by utrzymać się na chodzie, więc mogłam zadać mu parę pytań. Jak zwykle zaczęłam od fotografii.

– Znasz ich?

Yonah przyglądał się ludziom na zdjęciu i intensywnie myślał. Nagle na jego twarzy pojawił się taki wyraz, jakby dopiero po wypiciu pół kwarty mleka zorientował się, że było skisłe.

– Jego znam... Jej chyba nie... To znaczy możliwe, że ją widziałem, ale nie dam sobie głowy uciąć. On to Jerry McFall.

– Wiesz o nim coś więcej?

Yonah poprawił się na łóżku, wzdychając z zadowolenia.

– McFall to ostatni dupek. Alfons.

Też na to wpadłam, słowa Yonaha tylko utwierdziły mnie w podejrzeniach. Teraz przynajmniej wiedziałam, co Nadine porabia, nawet jeśli wciąż nie miałam pojęcia, gdzie jej szukać.

– Bierze?

Yonah przytaknął.

– Od lat. Ale niezły z niego picuś-glancuś – dodał zaraz z sarkazmem. – Szlaja się po mieście wystrojony jak stróż w Boże Ciało, zgrywa waśniaka... Sam słyszałem, jak rozpowiada, że jest z filmu – Yonah roześmiał się chrapliwie. – Od czasu do czasu pstryknie jakiejś dziewczynie zdjęcie, obiecując, że trafi na okładkę... wiesz, co mam na myśli. Ale tak naprawdę utrzymują go jego panienki, wszystkie na dragach. Sprzedaje też na boku, głównie swoim dziewczętom, żeby od niego nie uciekły, bo tak długo jak o nie dba, nie puszcza go kantem. No ale w każdej chwili mogą znaleźć sobie innego opiekuna, więc żyje w niepewności.

– A ten towar, który sprzedaje, jest dobry?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ani razu od niego nie kupiłem... Otaczają go te młode szmondziaki, jakoś nie pasują do nich.

– Widziałeś go ostatnio?

Yonah potrząsnął głową.

– Nie, ale będę miał oczy otwarte. – Rozwarł powieki i wbiwszy we mnie zwężone źrenice, zapytał: – A na co ci on tak w ogóle?

– Na nic – wzruszyłam ramionami. – Po prostu ktoś poprosił mnie, żebym go namierzyła.

– To nie powinno być trudne – zauważył Yonah. – Goście tacy jak on zawsze są na widoku, szukając kłopotów...

Urwał i znowu przymknął oczy. Nie chcąc na niego patrzeć, kiedy był w takim stanie, opuściłam wzrok i dopiero teraz dostrzegłam leżącą na podłodze gazetę. Była otwarta na reklamie jakiegoś sklepu z damską odzieżą. Sama nie wiem czemu, schyliłam się, żeby podnieść wymięte kartki. Na szelest papieru Yonah się ożywił.

– Widziałaś? To Shelley. Jak chcesz, możesz sobie zatrzymać zdjęcie.

– Nic, to wcale nie jest... – zaczęłam i nagle zdałam sobie sprawę, że Yonah ma rację: to była Shelley.

Miała na sobie czarną suknię na wąziutkich ramiączkach, z obcisłą górą podkreślającą talię i rozkloszowanym dołem, i ufryzowane w wymyślny kok włosy zaczesane tak gładko, że aż lśniły. Twarz ociekała jej od makijażu, a mimo to Shelley wcale nie wyglądała jak tania dziwka. Fotografia nosiła podpis: „Czas na wiosnę!”

Już na zdjęciu reklamującym szmaragdową biżuterię ledwie ją rozpoznałam, ale tutaj bardziej przypominała jakąś nieznaną gwiazdę filmową niż starą dobrą Shelley. Prezentowała się jak kobieta światowa z nielicznymi pieniędzmi, ktoś, kto ma prawie wszystko, a to, czego jeszcze nie ma, może dostać na samo skinienie. Patrząc na nią można było uwierzyć, że nigdy w życiu nie musiała żebrać, pożyczać na procent ani kraść.

Inna sprawa, że Shelley zawsze miała zadatki na kogoś takiego. Już jako mała dziewczynka kręciła nosem na używane ciuchy będące normą w domach rozrzuconych po Hell's Kitchen – ona za nic w świecie nie poszłaby na rozpoczęcie roku szkolnego w starej kiece. Na początku każdego września urządzałyśmy więc sobie wyprawę do „Mabel”, gdzie za z trudem uciulane pieniądze kupowałam jej nowy fartuszek. Ale w tamtych czasach na tym się kończyło. Bo choć Shelley dostawała nową sukienkę, pozostawała tą samą Shelley co przedtem – dziewczyną z sąsiedztwa, która nie miała lepszej matki niż my, nie mieszkała w lepszym domu ani nie chodziła do lepszej szkoły. Nawet jeśli chciała kupić sobie ciastko w „Automacie”, musiała mnie poprosić o pieniądze, bo chyba bym ją zabiła, gdyby tak jak ja siedziała tam ze smętną miną i czekała na jakiegoś napalonego faceta. Nie mogłam pozwolić, żeby Shelley zaczęła myśleć, że to normalne naciągać obcych mężczyzn na kupowanie jej różnych rzeczy, na które moim zdaniem zasługiwała.

Jednakże to wszystko było zaledwie wprawką do tego, czym Shelley stała się teraz. A stała się naprawdę inną osobą. Jak gdyby nigdy nie mieszkała tam gdzie ja. Jak gdyby „Sweetmore” i hotel „Książę Aleksander” były dla niej równie odległe jak Księżyc. Aż strach było na taką Shelley patrzeć.

– Dzięki, Yonah – powiedziałam, ostrożnie składając płachtę gazety, tak by nie pogiąć zdjęcia.

– Może ona zna bliżej tego całego McFalla – rzucił Yonah, ponownie popadając w odrętwienie. – Jest młoda, obraca się w podobnym towarzystwie...

– Jak to? – zmarszczyłam brwi. – Chcesz powiedzieć, że widziałeś ją gdzieś tutaj?

Lubiłam Yonaha. Na swój sposób go kochałam. Ale za cholerę nie chciałam, żeby Shelley miała z nim coś do czynienia. Nie teraz, kiedy prawie jej się udało...

– Sam nie wiem, złotko – odparł, opierając się o ścianę. – W moim wieku nie jest się już niczego pewnym. Czasem wydaje mi się, że widziałem kogoś zaledwie wczoraj, a to było rok temu... – westchnął przeciągle. – Wszystko się tak bardzo zmieniło. Kiedyś mieliśmy lekkie życie, złotko, i nie potrafiliśmy tego nawet docenić, a teraz trwa wieczna walka nie tylko z policją, ale nawet z dawnymi kumplami. Człowiek czuje się jak śmieć, tylko dlatego że od czasu do czasu lubi sobie dać w kanał... – Potrząsnął głową ze znużeniem. – Ej, a pamiętasz, jak zarabialiśmy na taryfę?

Uśmiechnęłam się do wspomnień z innego życia. Yonah ubierał się w swój najlepszy garnitur, ja wkładałam najlepszą sukienkę i tak wystrojeni szliśmy na dworzec kolejowy udawać córkę i ojca, któremu skradziono portfel. Żaden z poproszonych o pomoc podróżujących biznesmenów nigdy nam nie odmówił drobnych na taryfę do domu.

– Ależ twoja matka była na nas wściekła, kiedyśmy wracali! – zachichotał Yonah.

– Taa... – przytaknęłam. – Ale pieniądze i tak brała!

Oczywiście matka nie była na nas zła za to, co robiliśmy, lecz za to, że robiliśmy to bez niej. Bała się wykluczenia, panicznym strachem napawała ją myśl, że któregoś dnia wypniemy się na nią i nie wrócimy do domu.

Yonah wybuchnął śmiechem, który szybko przeszedł w pokastywanie.

– Jakżeby inaczej! – Przerwał na chwilę, by otrzeć zażawione oczy. – Niezły był z niej numer, co? Przypuszczam, że na matkę nie nadawała się ani trochę, no ale ile z nią było zabawy! I z Shelley też... – zamyślił się. – To ty się nimi dwiema opiekowałaś i robiłaś to naprawdę dobrze. Gdyby nie ty, twoja matka przepuściłaby wszystkie zarobione przez nas pieniądze...

Czekałam na ciąg dalszy wspomnień, ale Yonah już chrapał; głowa opadła mu na

pierś. Powiodłam wzrokiem po obskurnym pokoiku, na dłużej zatrzymując się na zawiniątku, które wciąż leżało przy łóżku. Byłam pewna, że w środku jest całkiem przyzwoity zapasik – Yonah nie mógł sobie pozwolić na przerwy w dostawie; z pewnością nie zauważyłby nawet, gdyby trochę brauna zniknęło...

Kilkakrotnie przełknęłam ślinę, wpatrując się w strzykawkę i gumkę, i pozostałe utensylia porzucone na łóżku. Potem po cichu wstałam, wyjęłam z torebki dwudziestodolarowy banknot i wsunęłam go do zawiniątka. Delikatnie, uważając, aby go nie zbudzić, ułożyłam Yonaha wygodniej na łóżku, po czym wymknęłam się z pokoju, bezgłośnie zamykając drzwi.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Klub „Royale” mieścił się na Czterdziestej Siódmej Ulicy, tuż za rogiem łączącym ją z Dziewiątą Aleją. W latach dwudziestych był tam teatr, co wciąż można było poznać po gipsowej elewacji, na której wśród fal tłoczyły się syreny, a od czasu do czasu trafiał się nawet jakiś samotny Egipcjanin. Nie miałam pojęcia, jaki był zamysł architekta, ale niewykluczone, że wtedy takie rzeczy się sprzedawały. Teraz jednak zamiast tytułu sztuki nad wejściem tkwił jaskrawy napis: *VARIÉTÉS!!* z aż dwoma wykrzyknikami. Poprzedzały go i wieńczyły filigranowe postaci tancerek w kusych spódniczkach. Ledwie przekroczyło się próg, wpadało się na ich żywe odpowiedniki – dziewczyny miały przykazane stać w hallu pomiędzy swymi numerami i zwabiać do środka klientów. Ubrane w swe sceniczne stroje – czyli mieniące się wszystkimi kolorami suknie uszyte tak przemyślnie, że wystarczyło jedno szarpnięcie i opadały do stóp (od częstego użycia poodpadała z nich też połowa cekinów) – i w pełnym makijażu uśmiechały się szeroko, jakby nie zdając sobie sprawy, że w zwykłym świetle i z tak bliska poznać każdą zmarszczkę na ich twarzach i każdą plamę na ich sukniach. Robiły co mogły, by wyglądać olśniewająco, zwłaszcza kiedy w polu widzenia pojawiał się potencjalny klient albo ich nadzorca, facet w wyświechtanym fraku i lekko o głowę ode mnie niższy, ale nie były w stanie zamaskować ciężkiego życia, jakie prowadziły, i bezlitosnego upływu lat. Dwie z nich popałały ukradkiem skręta i nadawały na trzecią, stojącą nieco na uboczu.

– Ależ z niej suka!

– No! I to o co? O głupią spinkę do włosów!

– To dla niej typowe! Nie przejmuj się durną dziwką...

W drzwiach do sali zatrzymał mnie nadzorca dziewcząt.

– Przykro mi – powiedział z miną mówiącą, że bynajmniej nie jest mu przykro, i rzeczywiście: z wielką przyjemnością zaglądał mi w dekolt – ale samotnych dam nie wpuszczamy.

Taka zasada obowiązywała we wszystkich klubach „variétés” – przyjęto ją po to, by uchronić swoje dziewczynki przed konkurencją z ulicy.

Poinformowałam go więc w odpowiedzi, że mam sprawę do szefa. Tym razem zlustrował mnie zupełnie jawnie i z satysfakcją wycedził:

– Nie prowadzimy naboru.  
– Ojej, ale się zmartwiłam! – Nie złapał dowcipu, na wszelki wypadek dodałam więc:  
– Moja sprawa dotyczy czegoś innego.  
– Czego mianowicie?  
– Czegoś, co z kolei nie dotyczy ciebie, *capisci*?  
Przełknął ten afront, ale nie dawał za wygraną.  
– Wiesz, że musisz kupić przynajmniej dwa drinki? Jeden dla siebie, drugi dla którejś z dziewczyn.  
– Dwa całe drinki?... – Facet nie miał za grosz poczucia humoru. – Chyba na tyle mnie stać.

– Nie byłbym tego taki pewien. Nasze drinki nie są tanie. A poza tym mam zakaz wpuszczania samotnych kobiet...

Wyjęłam z torebki dolara i wetknęłam mu w rękę, którą zasłaniał wejście. Przyjrzał się banknotowi dobrze, nim zmiął go i schował do kieszeni.

– Hmm... – mruknęłam. – Pewna stara Cyganka powiedziała mi kiedyś, że takie traktowanie pieniędzy przynosi pecha.

– Akurat – parsknął, przepuszczając mnie do środka.

Kątem oka dostrzegłam, jak wyciąga dolara z kieszeni i starannie go rozprostowuje, po czym wsuwa do zniszczonego portfela.

Sala oświetlona była skąpą czerwonawą poświatą. Po chwili, której potrzebowałam, by wzrok mi się przyzwyczaił, zobaczyłam, że na scenie stoi kobieta ubrana w białą suknię i drży od ramion w dół, co zapewne miało być jej wersją tańca *shimmy*. Znudzona do granic kilkusobowa orkiestra kończyła właśnie „Blue Moon”, by zagrać pierwszy tego wieczoru „Stardust”. O ile scena i proscenium nie ucierpiały wiele przy zmianie aranżacji wnętrza, to na widowni dokonano spustoszenia. Powyrywano przyśrubowane do podłogi fotele, by zrobić miejsce luźno ustawionym stolikom i krzesłom. Większość tych ostatnich zgrupowana była pod samą sceną, gdzie siedziało paru smutnych facetów i przyglądało się, jakby było czemu. Stoliki okupowały dziewczęta – siedzące samotnie albo parami, tylko jedna czy dwie z nich miały za towarzystwo mężczyznę. Na tym polegała ta praca. Przez parę minut występowało się na scenie – choć występ to chyba za mocno powiedziane – a potem naciągało się gości na drinki i cokolwiek innego, na co dało się ich naciągnąć.

Cóż, jeśli Nadine faktycznie tu trafiła, staczała się szybciej niż większość dziewczyn. Jeszcze trochę, a przyjdzie jej zaczepiać facetów wprost na ulicy...

Tymczasem w moją stronę już szła kobieta zza baru. Była to wysoka brunetka w mniej

więcej moim wieku, ubrana na czarno i o równie posępnej twarzy. Nim zdążyła wyrecytować tę samą formułkę, którą uraczył mnie bramkarz, pokazałam jej zdjęcie Nadine i McFalla. Mimo że trzymałam je na wysokości oczu, niemal zasłaniając widok, najpierw obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, a na fotografię ledwie zerknęła.

– Nie wiem – rzuciła, okręcając się na pięcie. – Wyglądają jak wszyscy inni tutaj.

Zapytałam ją więc, czy mogę porozmawiać z dziewczętami. Syknęła przez ramię:

– Chcesz postawić dziewczynie drinka, możesz z nią zrobić, co ci się podoba.

Dokonałam w duchu szybkiej kalkulacji i doszłam do wniosku, że otrzymałam od Nelsonów dość, bym mogła być rozrzutna. Pewnym krokiem podeszłam więc do stolika, przy którym siedziało najwięcej dziewcząt bez obstawy, i rzuciłam:

– Cześć! Jestem Josephine i chciałabym wam postawić kolejkę.

Przerwały rozmowę, która wyraźnie im się nie kleiła, i zachichotały chórem, ale zrobiły mi miejsce. Nie wiadomo skąd wyrosła przed nami kelnerka i zaczęła zbierać zamówienia: jeden Tom Collins, jedna tarniówka z sodą, pink lady, parę mimoz, whisky z sokiem, wreszcie napój imbirowy dla kelnerki i bourbon z lodem dla przyodzianej na czarno brunetki, która wyglądała, jakby od wczoraj nie piła nic innego.

Dziewczyny wierciły się na swoich miejscach i komentowały coś szeptem, raz po raz wybuchając zduszonym śmiechem. Każde wydarzenie odbiegające choć trochę od normy – jak na przykład pojawienie się kobiety fundującej im drinki – było miłym urozmaiceniem. Dzięki mnie rutyna dnia została złamana. Kiedy już wszystkie dostały to, co zamówiły, puściłam w obieg fotografię.

– Jasne, pracowała tutaj – pierwsza wyrwała się blondynka w różowej sukni, z dobraną kolorem szminką i jakżeby inaczej, popijająca pink lady. – A ten facet przesiaduje u nas na okrągło. Zdaje się, że miała na imię Trixie...

– Nie, Trixie to ta, która się wyniosła do... no, nieważne dokąd – sprostował pulchny rudzielec. – Tej było na imię Belle.

Fotografia krążyła z rąk do rąk, wywołując coraz to nowe uwagi i przynosząc sprzeczne informacje.

– Belle? No nie wiem... – Skąd się w tej spelunie wzięło piętnastoletnie dziecko? – Moim zdaniem to jest Candy.

– Co wy tam wiecie! – skwitowała ochryłym głosem czarnula od bourbona, niebezpiecznie balansując szklanką. – To jeden z ptaszków McFalla... Tego gościa ze zdjęcia – wyjaśniła nie wiadomo komu. – Przeklęta ćpunka... Najlepiej pogadaj z tamtą – kiwnęła głową w stronę siedzącej w kącie dziewczyny, której wcześniej nie zauważyłam. Była niemal

przezroczysta, a powłóczyście rękawy bez wątpienia zakrywały ślady od ukłuc igit. Twarz miała zapadłą, ale choć wyglądała jak śmierć na chorągwi, na swój sposób była ładna. – Też pracuje dla tego gada, więc na pewno ją zna.

– Dlaczego nazywasz go gadem? – zaciekauiłam się.

Skrzywiła się – na moje pytanie albo na kolejny łyk alkoholu palącego jej przełyk.

– Przeklęte ćpuny! – wyraziła swoją opinię. – McFall wynajduje sobie dziewczyny... niektóre z nich są prawie dziećmi... i daje im herę za darmo, aż wpadną w nałóg, a potem każe im tutaj pracować, żeby odrobiły dług. Każda z nich – potoczyła wokół ręką – ma coś wspólnego z McFalle. Mnie też próbował zwerbować, ale jeszcze nie upadłam na mózg, żeby oddawać połowę zarobków jakiemuś gadowi, po to tylko by stać go było na herę dla tych tam... – psioczyła, a na koniec powtórzyła: – Przeklęte ćpuny! Są najgorsi...

Pewnie – zgodziłam się z nią w duchu. – Najgorsi... zaraz po alkoholikach.

Jednakże pozwoliłam jej się wygadać i dopiero gdy skończyła, wstałam od stolika, dziękując za pomoc i zostawiając równowartość następnej kolejki. Potem podeszłam do samotnie siedzącej dziewczyny, która widząc, że się do niej zbliżam, uśmiechnęła się szeroko.

– Mogę postawić ci drinka? – zapytałam.

– Jasne – odparła nad podziw miłym i dźwięcznie brzmiącym głosem. Kiedy usiadłam, zainteresowała się nagle: – Jak ci na imię?

– Josephine.

Nie spuszczała ze mnie wzroku, jakbym była najbardziej fascynującą osobą, jaką kiedykolwiek spotkała, a moje imię wręcz zważyło ją z nóg. Chwilę mi zajęło, nim zrozumiałam, że ta ofiara McFalla myśli, że jestem potencjalną klientką... Czym prędzej wyprowadziłam ją z błędu.

– Szukam pewnej dziewczyny, a ty zdaje się ją znałaś.

Uśmiech spelzył jej z twarzy. Niemal widziałam, jak w duchu żegna się z perspektywą przyzwoitego zarobku, cóż z tego, że okupionego lesbijskim numerem. Wyciągnęła szyję, rozglądając się za lepszą gratką, ale na horyzoncie nie było żadnego zainteresowanego nią faceta, a ja przynajmniej postawiłam jej drinka. Dopóki go nie wypila, była na mnie skazana. Śpieszyłam się, na wypadek gdyby postanowiła wypić swoją whisky jednym haustem, aby szybciej się mnie pozbyć.

– To Nanette – rzuciła, kiedy pokazałam jej fotografię.

– Znasz ją?

Kiwnęła głową, a ja gwizdnęłam w myślach. No proszę, nareszcie ktoś, kto zna

Nadine. Nie: „pamięta, że być może ją gdzieś widział” albo: „słyszał o kimś, kto chyba miał z nią do czynienia” – ale naprawdę zna. Z trudem pohamowałam podniecenie i z pozornym spokojem zadałam następne pytanie.

– Wiesz może, gdzie ją znajdę?

Cisza. Dziewczyna sączyła drinka, sponad krawędzi szklanki lustrując salę.

– Posłuchaj mnie uważnie... – podjęłam uroczystym tonem, czyniąc wysiłki, by znów skupiła na mnie wzrok – ...Na... Nanette ma rodzinę, która za nią tęskni. Chcą, by wróciła do domu, i ani trochę nie gniewają się na nią za to, że wpadła po uszy w narkotyki. To dobrzy ludzie, spotkałam ich osobiście... W domu będzie jej lepiej niż tutaj, prawda?

Dziewczyna znowu kiwnęła głową, lecz patrzyła ponad moim ramieniem. Obejrzałam się i zobaczyłam, że tuż przy scenie siedzi mężczyzna w średnim wieku, który uśmiecha się promiennie do mojej rozmówczynie. No tak, mogłam sobie darować resztę przemowy...

– To mój stały klient – wyjaśniła. – Chyba powinnam już...

Złapałam ją za nadgarstek, a drugą ręką sięgnęłam do torebki po pięciodolarowy banknot. Pomachałam nim dyskretnie, a kiedy oczy jej się zaświeciły, postawiłam sprawę jasno:

– Będzie twój, jeśli odpowiesz na moje pytania.

– Jasne, jasne – zgodziła się skwapliwie. – Ale zrozum, że muszę też pracować.

Przekazany pod stołem banknot w okamgnieniu zniknął w jej pantofelku. Miała wprawę.

– Gdzie jest Nanette?

– Skąd mogę wiedzieć, gdzie jest teraz – mówiła szybko, bojąc się zapewne, że klient znudzi się czekaniem i zainteresuje którąś z jej koleżanek – skoro ostatni raz widziałam się z nią jakieś cztery czy pięć dni temu. – Nie chcąc ryzykować, dała klientowi znak, że już do niego idzie, mimo że nie ruszyła się z miejsca. Nic dziwnego, wciąż trzymałam ją za rękę.

– Najlepiej będzie, jak opowiesz mi wszystko po kolei – uznałam z westchnieniem, czując, że wcześniejsze podniecenie nagle wyparowuje.

Nie mając wyjścia, dziewczyna posłuchała.

– No dobrze... Nadine... bo Nanette naprawdę ma na imię Nadine... pojawiła się tutaj parę tygodni temu. Poznać po niej było, że nigdy w życiu nie była w takim miejscu, i Jerry... nasz przyjaciel... – taa, dziwka nigdy nie nazwie alfonsa alfonsem, tylko właśnie przyjacielem, jakby to był po prostu dobry znajomy, który jej pomaga – no więc ten Jerry poprosił mnie, bym się nią zaopiekowała. Miła z niej była dziewczyna, ale trochę dziwna. Mieszkałyśmy w tym samym hotelu, już Jerry się o to postarał, no i stąd wiem, że w wolnym

czasie nie tylko by rysowała... – pokręciła głową, jakby rysowanie było najdziwniejszym zajęciem na świecie. Potem zmarszczyła brwi, koncentrując się na swojej opowieści i kolejności wydarzeń. – Jakies dwa tygodnie... nie, tydzień temu oboje zniknęli. Jak kamień w wodę. Pytałam dziewczyn, czy wiedzą, co się z nimi stało, ale podobnie jak ja nie miały pojęcia. Jerry czasami zabiera którąś na krótkie wakacje, jeśli naprawdę dobrze jej idzie albo jeśli trzeba przemówić jej do rozumu, ale zazwyczaj nas o tym uprzedza... Tak czy inaczej wracam któregoś wieczoru do hotelu i kogo zastaję pod bramą? Nadine! Stała cała zapłakana, bo nie chcieli jej wypuścić, widać Jerry nieuregulował na czas rachunku. – Być może mając nadzieję, że ją wspomogę jeszcze jednym banknotem, pożaliła się: – O moim też czasami zapomina i muszę sama płacić z tego, co zarobię... – Kiedy nie zareagowałam w żaden sposób, westchnęła ciężko i ciągnęła: – Przeszmuglowałam ją przez tylne drzwi... wspominałam ci już, że Nadine była trochę dziwna? Przecież sama mogła na to wpaść... i pomogłam wyważyć drzwi do jej pokoju, żeby zabrała swoje rzeczy... – urwała i posłała całusa w stronę klienta.

– Co robiła przez te parę dni, kiedy jej tu nie było?- zapytałam, przypominając o swojej obecności.

– Nadine twierdziła, że Jerry zjawił się u niej któregoś wieczoru i powiedział, że idą na przyjęcie. No i rzeczywiście, wchodzą do wielkiego mieszkania...

– Gdzie?

Dziewczyna popatrzyła na mnie obrażona, że jej przerywam.

– Skąd mam to wiedzieć?!... No więc wchodzą do tego mieszkania, a tam ani żywego ducha... Ja bym od razu się domyśliła, ale Nadine, jak już mówiłam, była dziwna, no i sporo czasu upłynęło, nim zrozumiała, że wcale nie przyszli na przyjęcie, tylko kogoś obrabować – zaśmiała się chrapliwie. – Pewnie robiła w majty ze strachu... Jerry kazał jej pilnować drzwi i narobić rabanu, gdyby ktoś chciał wejść...

Stary numer – prowodyr w razie czego uciekał oknem, a ofiara na szpicy trafiała za kratki.

– Złapano ich?

– Czekaj, teraz będzie najlepsze. Jerry dość długo kręcił się po mieszkaniu, ale w końcu chyba znalazł to, czego szukał, bo wreszcie zabrał roztrzęsioną Nadine i razem zeszli do wozu zaparkowanego przy wejściu. I właśnie w chwili, kiedy mieli odjeżdżać, tuż za nimi ustawiał się inny samochód! Jerry zbladł jak płótno, Nadine mówiła, że myślała nawet, że dostał zawału, cha, cha – nie ma to jak cudze nieszczęście, żeby się dobrze pośmiać – a ona na ten widok zaczęła się jeszcze bardziej trząść, bo dotarło do niej, że zostali przyskrzynieni...

że ktokolwiek siedzi w aucie zaparkowanym błotnik w błotnik z ich wozem, musi być albo z policji, albo z tego cholernego mieszkania. Najdziwniejsze jest to, że nikt do nich nie podszedł, choć był na to czas, ani nawet potem nie ścigał, jak gdyby zupełnie wystarczyło, że Jerry wiedział, że został złapany na gorącym uczynku.

– Hmm... – nic z tego nie rozumiałam. – Co się stało z Nadine?

– Nie mam zielonego pojęcia – dziewczyna rozłożyła ręce.

Spróbowałam inaczej.

– Dokąd się udała, kiedy już zabrała swoje rzeczy z hotelu?

– Nie mam zielonego pojęcia – powtórzyła ze zniecierpliwieniem. – Mnie powiedziała tylko, że ma się gdzieś spotkać z Jerryem i że przyczają się na parę dni, aż sprawa przycichnie. Jak dotąd żadne z nich się nie pokazało.

– Wiesz, co ukradli z tego mieszkania? – Tonący brzytwy się chwyta.

– Herę – odparła z uśmiechem. – Nadine mówiła, że to musiała być hera, bo Jerry był bardzo nerwowy przed napadem i skąpił jej proszku jak ostatnie skąpiradło, a potem się uspokoił i nawet odpalił jej trochę za darmo. Podzieliła się ze mną... – Popukała wymownie w czoło, utwierdzając się w przekonaniu, że Nadine była dziwna jak cholera.

– A u kogo Jerry normalnie się zaopatruje?

– Tego nie wiem – potrząsnęła zalotnie włosami, zbierając się do odejścia – ale słyszałam, że utopiłby dostawcę w łyżce wody, gdyby mógł. Ponoć facet się sadzi na kogoś lepszego od niego, co doprowadza Jerry'ego do szalu.

Wyszło mi na to, że Jerry ubrał Nadine w napad na ustawionego dilera, przez co oboje znaleźli się w nielichych tarapatach. No pięknie...

Coś jeszcze nie dawało mi spokoju. Poczekalam, aż dziewczyna dopije drinka, i w ostatniej chwili zapytałam ją:

– Jak to jest, że Jerry przestał się tu pokazywać, a ty nadal przychodzisz do pracy?

– Och, Jerry to już przeszłość. Teraz mam nowego przyjaciela... Arniego... Zaopiekował się nami, jak Jerry zniknął. Miałyśmy sporo szczęścia. – Objęła się chudymi ramionami, by ukryć drżenie. – Uwierz mi, nie chciałabyś być zdana na siebie w takim miejscu...

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Niezbyt wiele się dowiedziałam, jak dotąd. Nadine poznała McFalla, kiedy wciąż jeszcze studiowała, i to on otoczył ją opieką, gdy wyrzucono ją z college'u Barnarda. Potrafiłam sobie wyobrazić jego zagranie. Omamił ją czułymi słówkami i odzywkami w stylu: „Nic się nie martw, kochanie. Wszystkim się zajmę, a ty nie będziesz musiała kiwnąć nawet małym paluszkami”. Potem wysłał ją do „Rosy” – a może była to jej własna decyzja – ale jak tylko się okazało, że jej zarobki nie wystarczą, by pokryć wydatki na herę dla niej i zachcianki Jerry'ego, zdecydowali – razem lub osobno, tego wciąż nie byłam pewna – że w „Royale” będzie miała większe szanse umawiać się z facetami na boku. „Och, kochanie, naturalnie że nie chcę, byś zadawała się z innymi, ale pomyśl tylko: jak inaczej popłacimy rachunki za nasze gniazdko?” Jeszcze później zakwaterował ją w hotelu: skoro już znalazła się na haczyku, po co miał pozwalać jej pętać się koto siebie – to by tylko psuło mu koniunkturę – niemniej nadal racył ją swymi kłamstewkami. „Kochanie, pomieszkaś tam troszkę, dopóki nie uda nam się uzbierać sumki na coś własnego, najlepiej na wsi. Te inne dziewczęta? Przecież wiesz, że one nic nie znaczą! Jak możesz mnie w ogóle o coś takiego podejrzewać. Robię to dla nas, żebyśmy mieli więcej pieniędzy...”

W którymś momencie ich znajomości McFall wpadł na szatański pomysł obrobienia swego dilerka. Niewiele mi ta informacja dawała, bo jego dostawcą mógł być dosłownie każdy nowojorczyk. Zgoda, heroina trafiała do miasta za sprawą mafii, ale zanim docierała na ulice, czyli oczko niżej niż tam, gdzie Jerry McFall się zaopatrywał, co najmniej dziesięć razy zmieniała właściciela. Niejeden diler nigdy w życiu nie brał i prawdopodobnie u kogoś takiego właśnie kupował McFall. U człowieka interesu o prawie czystych rękach – z pewnością nie był to ktoś z mafii ani żadna gruba ryba w branży, ale także nie ćpun rozprowadzający towar po to, by mieć na następną działkę. Trochę to zawężyło listę podejrzanych, lecz niestety tylko trochę. To, że Jerry gościa nie lubił, niewiele mi pomagało, bo tak się złożyło, że Jerry McFall nie lubił prawie nikogo. Z wzajemnością.

Kimkolwiek obrobiony diler był, Jerry i Nadine wpadli i teraz musieli się ukrywać. W Nowym Jorku, chociaż niekoniecznie. Równie dobrze mogli się zamelinować w szopie u jego ciotki w Idaho...

Byłam gotowa zapomnieć o całej sprawie. No bo jaki miałam powód, żeby odnaleźć



Nadine? Pierwszy tysiąc już był mój bez względu na rezultat poszukiwań, a drugi – cóż, nie byłam naiwna i od samego początku powątpiewałam w uczciwość Nelsonów. W końcu nie dali mi gwarancji na piśmie, że solennie wybulą to, co obiecali, a w ferworze wyrównywania rodzinnych porachunków w ogóle mogli o mnie zapomnieć. Zwłaszcza że Nadine, którą by zobaczyli, znacznie odbiegałaby wyglądem i zachowaniem od przykładowej córeczki, jakiej się spodziewali. Tęsknili za studentką martwiącą się tym, czy jest lubiana przez członkinie miejscowego klubu w Westchesterze, a w ich ręce trafiłaby – przy pomyślnych wiatrach rzecz jasna – ćpunka, która przespała się z taką liczbą facetów, że cały rzeczony klub nie dalby im rady w ciągu roku. Niewykluczone, że ledwie by na nią spojrzeli, już nie chcieliby na nią patrzeć, o zabranii pod własny dach nawet nie mówiąc. A ja, jako się rzekło, nie miałam nic na piśmie i raczej nie miałam możliwości pozwać ich do sądu za niedotrzymanie warunków dzentelmeńskiej umowy.

W takiej sytuacji powrót do zawodu – czyli podprowadzania portfeli i obrabiania sklepów z biżuterią – wydawał się jedynym naprawdę rozsądnym wyjściem. Mając tysiąc dolarów, lekko tylko napoczęty, mogłam nawet myśleć o rozkręceniu własnego szalbierczego interesu. Albo przeznaczyć wszystko na ciuchy. Albo zrobić sobie wakacje – na Florydzie miałam przyjaciółkę, której dawno nie widziałam, a w Nowym Orleanie byłego chłopaka...

Poza tym nie brakowało mi własnych problemów, a znalezienie Nadine – które z początku wydawało mi się łatwe: ot, przyprowadzić córę marnotrawną do domu – nagle okazało się trudniejsze, niż mogłam przypuszczać. Nadine bowiem wcale nie zaginęła z rodzinnego domu; ona naprawdę zaginęła. Nikt, nawet jej przyjaciele (czy raczej ludzie, z którymi w braku prawdziwych przyjaciół się zadawała), nie miał pojęcia, gdzie ona się podziewa. Całkiem gładko poszło mi wytropienie jej aż do „Royale”, ale tu wszelki ślad po niej ginął. Utknęłam w martwym punkcie, a trudno żeby do dalszych poszukiwań zachęcała mnie świadomość, że w mieście jest – lekko licząc – dziesięć tysięcy dziewcząt takich jak Nadine. Wyglądających jak ona i robiących to co ona. Równie dobrze mogłam udać się na wieś i poszukać igły w stogu siana. Tylko policja miała środki, by ją odnaleźć, a mało prawdopodobne, by zechcieli mi pomóc.

Wiedziałam, że powinnam dać sobie spokój. Cokolwiek Nadine nabroiła, było to jej wyłącznym problemem. Miała życie usłane różami i z niego zrezygnowała, na litość boską! Z mojego punktu widzenia była w czepku urodzona – całkiem ładna, utalentowana, zamożna, no i miała rodziców, którzy naprawdę się o nią troszczyli. Moja matka nie mogła się doczekać, kiedy wyprowadzę się z domu, i gdy wreszcie to zrobiłam, cieszyła się jak proszę w deszcz, mimo że byłam znacznie młodsza od Nadine. Być może stanowiłam wyrzut na jej

sumieniu – martwiłam się o jedzenie i ubranie, i takie tam nudne rzeczy, psując jej całą zabawę, za jaką miała swoje życie. Kto jak kto, ale ona z pewnością nie wysłałaby za mną prywatnego detektywa, żeby upewnić się, że sobie radzę, a jeszcze lepiej sprowadził mnie z powrotem do domu. Nic dziwnego, że kiedy umierała, nie widziałyśmy się na oczy od dziesięciu lat.

Nelsonowie posłali Nadine do college'u! Ja nawet nie znałam żadnego studenta, z trudem przychodziło mi sobie wyobrazić, co oni takiego robią, że jest wokół tego tyle szumu. Edukację zakończyłam na pierwszej gimnazjalnej i nigdy się nie dziwiłam, że moje życie potoczyło się tak, jak się potoczyło. Nie potrafiłam rysować ani robić nic, co byłoby zgodne z prawem, no i nie miałam wiele do stracenia. Ale ona? Lekką ręką odrzuciła to, za co dziewięćdziesiąt procent populacji nie wahałoby się zabić! Nagle przestało mnie obchodzić, czy rodzice bili ją, gdy była dzieckiem, albo czy jej matka zaglądała do butelki. Bez względu na wszystko Nadine nie miała powodu uciekać z domu. Więcej nawet: ona nie miała prawa tego zrobić. A ja nie widziałam powodu, żeby jej dalej szukać. Zresztą podejrzewałam, że sama wróci do domu – raczej prędzej niż później, bo jakoś ciężko mi ją było sobie wyobrazić, jak znosi brutalne traktowanie przez klienta albo inną dziwkę. Byłam pewna, że przy pierwszej okazji, gdy ktoś podniesie na nią rękę, Nadine podkuli ogon i z płaczem wróci do mamusi, do Westchesteru, skąd wyślą ją w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie otrzyma fachową pomoc. Dla takich jak ona byli najlepsi lekarze i najlepsze lekarstwa – nie minie wiele czasu, a będzie mogła podjąć swoje życie tam, gdzie je nieopatrznie przerwała. Pozna miłego chłopca z dobrej rodziny, wyjdzie za niego za męża, ustatkuje się i nikt nie będzie nawet pamiętał o jej krótkim szaleństwie w mieście.

Podjęłam zatem decyzję, by dać sobie spokój. Nie miałam najmniejszego powodu, żeby szukać Nadine, nic nie byłam jej winna. Niech to cholera, koniec z tym!- krzyczałam w duchu.

Nim opuściłam „Royale”, zaszłam do damskiej toalety. Była obszerna, z małym salonikiem przy wejściu – „Royale” to był porządny teatr, jakiś tysiąc lat wcześniej – z którego ścian miejscami obłaziła szaroróżowa tapeta. Dalej po jednej stronie ciągnął się rząd zamykanych ubikacji, na wprost znajdowało się parę umywalek, a po drugiej stronie tkwił marmurowy blat z lustrem wielkim na całą ścianę i paroma krzeselkami. Siedziały przy nim dwie dziewczyny, żartując przyjaźnie i poprawiając makijaż. Na moje oko miały po dwadzieścia parę lat, chociaż widząc je tylko z tyłu ktoś mógłby dać im osiemnastkę, takie były zgrabne. Zdradzały je jednak oczy, starsze niż one same. Jak wszystkie kobiety w tym przybytku nosiły zbyt ciasne sukienki i zbyt mocny makijaż. Żadna nie zachowała swego

naturalnego koloru włosów – nakładane regularnie henna i perhydrol zrobiły swoje.

Zajęłam wolne krzeselko obok nich i wzięłam do ręki puderniczkę. Platynowa blondynka uśmiechnęła się do mnie niepewnie. Sama nie wiedząc czemu, zamiast przypudrować sobie nos i wrócić do swego starego życia, sięgnęłam do torebki raz jeszcze.

– Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu... – podałam fotografię blondynce  
– ...że was o coś zapytam. Widziałyście kiedyś tych ludzi?

Obie uważnie przyjrzały się uwiecznionym na celuloidzie postaciom, po czym wymieniły szybkie spojrzenia. Już się nie uśmiechały.

– Jestem Joey – przedstawiłam się.

– Miriam – pierwsza odezwała się ruda.

– Hazel.

Kiedy prezentacja dobiegła końca, dziewczyny nadal unikały mojego wzroku, popatrując na siebie w lustrze. Wreszcie Miriam szturchnęła koleżankę kolanem.

– Powiedz jej – szepnęła. – Przecież to samo może ją spotkać...

– Co takiego? – włączyłam się do rozmowy, nie chcąc, by się rozmyśliły. – Co takiego może mnie spotkać?

– No więc... – zaczęła Hazel głosem równie niepewnym jak jej wcześniejszy uśmiech. Popatrzyła na leżące przed nią kosmetyki, potem poszukała wzrokiem moich oczu odbitych w lustrze. – Hmm... Chodzi o to, że...

Urwała i bezradnie zaczęła się bawić szczoteczką do rzęs. Chciała mi to powiedzieć, tyle widziałam, ale z jakiegoś powodu nie mogła.

Okręciłam się na krześle, tak że byłam zwrócona do niej twarzą, i utkwivszy w niej poważne spojrzenie, zapytałam:

– Co on takiego zrobił?

Hazel milczała, robiąc porządek w kosmetyczce, jakby od tego zależała przyszłość świata. Zamiast niej odezwała się Miriam.

– W takim razie ja ci wszystko powiem. Najpierw zabrał ją gdzieś parę razy... No wiesz, na kolację, na tańce...

– Miriam, daj spokój! – Blondynka wyraźnie się czegoś obawiała, próbowała powstrzymać koleżankę przed dalszymi zwierzeniami, ale jej się nie udało.

– ...a potem – kontynuowała niewzruszona rudowłosa – jakby nigdy nic polazł do niej...

– Miriam! Przecież to nic takiego...

– ...i chciał... no wiesz...

– Jasne.

Miriam opowiadając zrobiła się czerwona na twarzy.

– Żadna z niej była dziewica, podobnie jak ja, ona – skinęła głową w stronę cichej już Hazel – czy ty...

– Zgadza się.

– ...ale na miłość boską, ona ledwie go znała! Nie przepadała za nim zbytnio, a on wcale nie miał zamiaru płacić. Powiedziała mu więc, że nie chce tego z nim zrobić, że powinni po prostu gdzieś pójść, tak jak zawsze dotąd, ale on już zabierał się do bicia! Jakby była jego własnością czy coś... Miała potem podbite oko i przez parę dni nie wychodziła z pokoju... – Sapnęła, szykując się do wyrzucenia najtrudniejszego. – A potem...

Hazel przybrała kamiennie-pudrową maskę, pod którą skrzywiła się nieznacznie i poczyniła ostatnią próbę zmytgowania wygadanej przyjaciółki.

– Doprawdy, Miriam...

– A potem i tak ją zmusił? – domyśliłam się zakończenia.

– Tak! – Miriam nie posiadała się z oburzenia.- Zrobił z nią, co chciał, mimo że była cała posiniaczona, miała rozciętą wargę i wciąż go od siebie odpychała. Nie zrozum mnie źle, wszystkie mamy coś podobnego za sobą, ale ten facet nie był przecież naszym klientem...- Przez chwilę szukała właściwego słowa: – Udawał, że jest jednym z nas.

– Pamiętasz, kiedy to było?

– Parę tygodni temu?... – Miriam straciła gdzieś dotychczasową pewność siebie.

Hazel podniosła na nas wzrok. Po jej policzkach spływały ciurkiem łzy, żłobiąc sobie drogę w grubej warstwie makijażu.

– Taa... – potwierdziła. – Będzie już ze dwa miesiące.

Zapadła cisza, w której obie dziewczyny wróciły do poprawiania urody, chociaż wcale tego nie potrzebowały. Przedstawienie dobiegło końca, znów byłyśmy trzema nieznanymi, które przypadkiem spotkały się w klubowej toalecie.

– Więc lepiej na siebie uważaj – dodała jeszcze Miriam. – Z tym facetem nie ma żartów.

Podziękowałam im i obiecałam, że nie dam sobie zrobić krzywdy.

Nadal byłam przekonana, że Nadine dostała to, o co się prosiła. Zamarzyło jej się wolne życie i *voilà!* znalazła się na ulicy. Teraz może się przekonać na własnej skórze, na czym ono polega. Zanim zmądrzeje, oberwie parę razy, tracąc przy tym kilka zębów, całą swoją dumę i dobre maniery wyniesione z college'u, na który się wypięła. Było chodzić do innej szkoły – pomyślałam... Ciekawe, czy wciąż sądziła, że jej talent uchroni ją przed

brutalnymi klientami i policjantami uważającymi, iż należy im się numerki za darmo? To, że jest niebrzydka, tylko pogarszało sprawę: koleżanki po fachu znienawidzą ją, a w facetach jej uroda i delikatność rozbudzi nie tyle większą namiętność, ile perwersyjną chęć uczynienia jej poważnej krzywdy.

Nadine nie była lepsza ode mnie, nie była lepsza od żadnej z pracujących w „Royale” dziewczyn. Dlaczego nie miałam jej pozwolić przez to wszystko przejść, tak jak myśmy przez to przeszły w swoim czasie?

Powinłam była zapomnieć o Nadine Nelson, machnąć ręką na drugi tysiąc dolarów i własne sumienie. Postąpiłam jednak inaczej...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W hotelu czekała na mnie u Lavinii wiadomość: około dziewiątej wieczorem Jim miał być u pana Chana. Nie zaszedłszy nawet do swego pokoju, na łeb, na szyję pognałam do Chinatown. Restauracja pana Chana znajdowała się tam, odkąd pamiętałam, a jej początki zapewne sięgały czasów na długo przed moimi narodzinami, pan Chan zaś znany był z tego, że Nowy Jork nie miał przed nim tajemnic. Jeśli to on założył lokal, jak chciała plotka, musiał być stary jak próchno, ale nie wyglądał ani trochę starszej niż Jim. Kiedy kwadrans po dziewiątej weszłam do środka, siedzieli ramię w ramię w tej samej co zawsze łoży, a Jim – jak zwykle – udzielał panu Chanowi rad co do giełdy. Ze staruszka także był pocziwina: jeśli człowiek źle się czuł, dostawał porcję zupy, która smakowała ohydnie, ale od razu stawiała na nogi, a gdy się zdarzyło, że było się splukanym, można się było u niego żywić na kreczę, do czasu gdy fortuna znowu się uśmiechnęła do ofiary losu.

Podchodząc do nich, słyszałam, jak Jim mówi z ożywieniem:

– Chan, jeśli jeszcze nie masz akcji Pittsburgh Industrial, teraz jest ostatni dzwonek, żeby dokonać transakcji. Mnie możesz zaufać, za nic bym nie pozwolił, żeby mój przyjaciel wtopił.

– Akurat! A co powiesz o poprzednim razie, kiedy cię posłuchałem? Mało brakowało, a byłbym wtedy wszystko stracił!...

Nie zważając na poważne tony, przysiadłam się do nich.

– Cześć, Jim! Dzień dobry, panie Chan!

Podnieśli się z siedzeń na parę centymetrów, po czym na powrót na nie opadli.

– Josephine – pan Chan od razu przeszedł do rzeczy – wierzysz temu skurczybykowi?

Nieznacznie wzruszyłam ramionami: skąd miałam wiedzieć, czy Jim naciąga pana Chana czy mu radzi z dobrego serca? Przy sprzedaży nieistniejących udziałów wiele się nauczył i teraz sam grał trochę na giełdzie, niewykluczone więc, że zupełnie bezinteresownie chciał się podzielić z kimś swoją wiedzą.

– Wierzę – odparłam z uśmiechem – ale nie jestem pewna, czy dobrze robię.

Chan roześmiał się i wstał, żeby przypilnować naszej kolacji, natomiast Jim z miejsca zainteresował się, jak mi idą poszukiwania. Opowiedziałam mu pokrótce o tym, co dotychczas osiągnęłam – nie było tego wiele, zważywszy, że większość tropów zaprowadziła

mnie w ślepe uliczki. Tymczasem Albert, jeden z synów pana Chana, przyniósł do naszego stolika wazę z zupą i dwie ręcznie malowane miseczki. Podobnie jak „U Lenny’ego”, tutaj także nie musieliśmy zamawiać. Jim był stałym bywalcem od ponad dwudziestu lat i zawsze dostawał to co najlepsze.

Gdy Albert ułożył wszystko na stole zgodnie z rytuałem, Jim nalał nam zupy i zapytał:

– Skoro szukasz narkomanki, dlaczego nie pójdziesz tam, gdzie są narkotyki?

Spojrzałam na niego zaskoczona. Narkotyki były przecież wszędzie. Musiał zauważyć moje zdziwienie, bo dodał:

– Kiedy ty sama brałaś – podmuchał na zupę – gdzie spędzałaś większość czasu?

– Ha! – odparłam, parząc się w język.

Jak zwykle okazałam się mniej przewidująca – i pomysłowa – niż Jim.

Paula już odwiedziłam. Tyle że to był zaledwie czubek góry lodowej, albo jak kto woli: niewielki fragment monstrualnej pajęczyny oplatającej całe miasto. Heroina nie tkwiła skupiona w jednym miejscu, przemieszczała się wraz z dilerami i ćpunami we wszystkich kierunkach, wszakże pewne rejony zdawały się ją przyciągać szczególnie. Wyobraziłam sobie plan Nowego Jorku, na nim zaś niczym wyspy zaświeciły się na czerwono okolice, które upodobali sobie narkomani. Sto Trzecia Ulica. Róg Siedemdziesiątej Siódmej i Broadwayu. Czterdziesta Druga. Czternasta. Z każdym z tych miejsc kojarzył mi się określony typ ludzi: przegrani staruszkowie tacy jak Yonah, Portorykańczycy, nie mniej paskudne od nich białe oprychy – Nadine jakoś mi nie pasowała do żadnego z tych miejsc. Ale zaraz, na East Side spotykały się typy wszelkiej maści, także ci, którzy dopiero zaczynali brać. Nie chciałam tego wszystkiego pamiętać, ale cóż, skoro moja przeszłość była silniejsza ode mnie... Ta druga, ciemna strona miasta wciąż nie miała przede mną tajemnic.

– Bystrzak z ciebie – powiedziałam do Jima.

– Tobie też nic nie brakuje – zrewanżował się.

Przez resztę kolacji rozmawialiśmy o liście, który Jim otrzymał właśnie od Gary’ego. Szef pisał, że za miesiąc przyjedzie do Nowego Jorku oskubać grupkę prawników, na których ostrzył sobie zęby od czasu morskiej podróży do Anglii – na statku poznał najważniejszego z nich, omotał go do szczętu i teraz niczego nie spodziewająca się ofiara miała wystawić mu pozostałych. Zdążył sobie zorganizować współpracowników, ale potrzebował również Jima, gdyż ten był niezastąpiony, kiedy przychodziło do odgrywania zadowolonego i wdzięcznego inwestora. Mojego przyjaciela czekało więc trochę roboty: wyprawa po markowe ubrania (koniecznie grafitowe, szyte z najlepszej wełny garnitury) i pomoc przy urządzeniu wynajętego już na ten cel pomieszczenia, które na krótki czas miało zamienić się w dom

maklerski.

Słuchałam piąte przez dziesiąte, kiedyśmy kończyli posiłek i wychodzili na zewnątrz, po tym jak już Jim uregulował rachunek. Parędziesiąt metrów od restauracji stanęłam jak wryta, wiedziona nagłym impulsem okręciłam się na pięcie i pognałam z powrotem. Chan siedział za kasą i wydierał się po chińsku na swego drugiego syna. Niecierpliwie czekałam, aż skończy. Wtedy pokazałam mu fotografię Nadine i McFalla i zapytałam, czy ich kiedykolwiek widział.

Chan zachmurzył się jeszcze bardziej, kiedy jego wzrok padł na zdjęcie.

– Jej nie znam, jego tak – udzielił mi rzeczowej odpowiedzi. – Ma tu zakaz wstępu.

– Za co?

– Przyprowadził tu kiedyś dziewczynę, taką jak ta ze zdjęcia, ale inną. Zasłała w toalecie, a ja musiałem wzywać pogotowie. Przeklęte narkotyki! – mówił wzburzony. – Ten facet zostawił ją tutaj na pastwę losu, moja żona siedziała z nią do przyjazdu ambulansu... Znasz go? – spytał nieoczekiwanie.

– Nie – odparłam, niemal zgodnie z prawdą. Życząc sobie, żeby to była prawda. – Ktoś mnie poprosił, abym go odszukała.

Pan Chan przypatrzył mi się uważnie i z ojcowskim zatroskaniem rzekł:

– Jeśli chcesz mojej rady, przestań szukać. To nie jest ktoś, kogo chce się znaleźć.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Park Bryanta był przyzwoitym parkiem – kiedyś. Spory obszar zieleni w środku miasta, z alejkami i ławkami, dokąd okoliczne gospodynie domowe zabierały swoje dzieci i psy, a w weekendy także mężów. Wtedy gdy wciąż jeszcze ziemię porastała tam gęsta trawa, ławki były czyste, wysokie drzewa dawały schronienie przed słońcem, a całości sielskiego obrazka dopełniały różnobarwne kwiaty rosnące na zadbanych klombach. Park leżał na tyłach biblioteki miejskiej zajmującej słynny stary budynek na rogu Piątej Alei i Czterdziestej Drugiej Ulicy – ten, którego fronton zdobiły lwy. Biblioteka także była kiedyś przyzwoitym miejscem. Jim w dalszym ciągu chodził tam co najmniej raz w tygodniu, no ale on był mężczyzną, toteż mógł sobie na to pozwolić. Mnie wystarczyła jedna wizyta (tuż po tym jak przestałam ćpać, cierpiałam na nadmiar wolnego czasu i pomyślałam sobie, że mogę go spożytkować nadrabiając zaległości w lekturze) – podczas której naoglądałam się tyłu szczegółów męskiej anatomii, ilu nie widziałam w trakcie całego swego życia – aby rozsądnie uznać, że jednak lepiej będzie, jeśli pozostanę przy swym dotychczasowym zajęciu, czyli kradzieży. Nowy Jork schodził na psy. Odkąd w parku rozpanoszyli się narkomani, a w klasycystycznym gmachu biblioteki zagnieździli zbrojeńcy, nikt już nie zawracał sobie głowy koszeniem trawy, przycinaniem żywopłotów ani sadzeniem różnobarwnych kwiatów. Okolicę spowijał cierpkomdłący zapach moczu, który na równi z widokiem snujących się ludzi skutecznie odstraszał każdego, komu życie było miłe.

Ja sama nie zapuściłam się tam od dobrych paru lat. Moje nieoczekiwane pojawienie się w parku wywołało przelotne zainteresowanie – podniosły się głowy co przytomniejszych, ten i ów zastanawiał się, kim jestem i czego chcę. Wszyscy, którzy wodzili za mną zamglonym wzrokiem, mrużyli oczy w ostrym słońcu, jakby byli nieprzyzwyczajeni do światła dziennego. Spacerowałam zapuszczonymi alejkami tak długo, aż zobaczyłam kogoś, kogo znałam. Monte siedział pod okazałym kasztanowcem, paląc papierosa. Miał na sobie letni garnitur w kolorze jasnego beżu, upstrzony kilkoma plamami, i kapelusz z szerokim rondem, który sprawiał wrażenie, że należał do tuzina osób, zanim wreszcie trafił do obecnego właściciela. Minęły trzy lata, odkąd widziałam Montego po raz ostatni, lecz on postarzał się w tym czasie dziesięciokrotnie bardziej niż ja. Ważył niecałe pięćdziesiąt kilogramów, był prawie zupełnie łysy, brakowało mu zęba na przodzie i dorobił się następnej

blizny na twarzy – tuż przy lewym uchu, gdzie ktoś jak nic dziabnął go nożem.

Dostrzegłam te wszystkie zmiany, gdyż dobrze pamiętałam Montego, mimo że od tak dawna się nie widzieliśmy. W końcu przez wiele lat był moim mężem.

Zanim i on mnie zauważył, przyglądałam mu się przez dłuższą chwilę, przeżywając jak gdyby podróż w czasie. Zamiast zniszczonego życiem wychudzonego ćpuna zobaczyłam młodego mężczyznę wypełnionego ciałem, z czego większość stanowiły mięśnie, w nienagannym świeżo odprasowanym garniturze, w którego kieszonce jak zwykle tkwiła nieskazitelnie biała chusteczka. Gęste płowe włosy raz po raz opadały mu na czoło, bez względu na to jak często zaczesywał je do tyłu, ponieważ Monte nie potrafił usiedzieć na miejscu – zawsze był w ruchu, gotów w każdej chwili do działania. Jak dziś pamiętałam pionową zmarszczkę między brwiami i nerwowe postukiwanie paznokciami o blat stołu, kiedy obmyślał nowy plan.

A plany rodziły się w jego głowie niemal bez ustanku. Na początku dotyczyły tego, jak zarobić wystarczająco wiele, byśmy wreszcie mogli opuścić podłą dzielnicę i zamieszkać w jakimś przyzwoitym miejscu. Monte chciał podjąć pracę w fabryce u kuzyna, przy taśmie albo jeszcze lepiej jako sprzedawca, bo wtedy jego zarobki byłyby wprost proporcjonalne do włożonego przezeń wysiłku. Znał nawet pewnego gościa, który w New Jersey prowadził salon samochodowy Cadillaca, i gdyby tylko mógł się tam zaczepić, jak nic przynosiłby do domu kilka setek na miesiąc. Potem coraz częściej obmyślał, skąd by wziąć pieniądze na heroinę. Nie interesowała go już uczciwa robota, marzył mu się za to skok stulecia. Kiedyś wyczał dom jakichś bogatych staruszków, mieszczący się na rogu Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy i Piątej Alei, w którym właściciele zawsze zostawiali jedno okno szeroko otwarte – pozostawiało tylko niezauważenie wdrapać się na trzecie piętro. Innym znów razem przebąkiwał, że lepiej działa się w grupie i że lada dzień skuma się z chłopakami z sąsiedztwa, stając się mózgiem jakiegoś dochodowego przedsięwzięcia. W chwilach wyjątkowej desperacji szykował napad na lokalnego mafiosa – parę kawałków za parę minut roboty, jak mówił. Jeszcze później zaczął kombinować, jak rzucić heroinę. Ileż to razy słyszałam, że od jutra, góra od następnego tygodnia przestaje brać. Obiecywał, że zacznie mieszać heroinę z wodą, najpierw pół na pół, stopniowo zwiększając ilość wody i zmniejszając ilość narkotyku, aż w końcu będzie sobie wstrzykiwał czystą niegroźną wodę, nie odczuwając przy tym skutków odstawienia. Albo że wyjedzie do Lexingtonu w Kentucky, gdzie w jakimś szpitalu przeprowadzano ponoć rewelacyjne kuracje odwykowe, po których nikt nie sięgał więcej po choćby miękkie narkotyk. W przyszłym tygodniu, najpóźniej za miesiąc...

Wreszcie zarzucił wszystkie swoje ambitne dalekosiężne plany i skoncentrował się na sprawach prozaicznych: wstać z łóżka rano, w południe wziąć kąpiel, pod wieczór uczesać włosy, jeśli starczy siły. Odzianie się w nie poplamiony garnitur przekraczało już wtedy jego możliwości, podobnie jak niegdyś poza jego zasięgiem była praca u sprzedawcy cadillaków.

Rozstaliśmy się jakieś pięć lat temu, w czasie jednej z moich prób rzucenia narkotyków. Wtedy mi się nie udało – nie przestałam brać – ale przynajmniej zrobiłam krok do przodu na długiej i bolesnej drodze: odeszłam od człowieka, który mnie w to wszystko wprowadził. Nie zrobiłam tego dlatego, że miałam mu za złe, ani tym bardziej nie dlatego, że przestałam go kochać. Po prostu czułam, że muszę go zostawić, jeśli kiedykolwiek mam znów zacząć żyć jak człowiek.

– Monte – powiedziałam teraz, podchodząc do niego w parku.

– Joe!

Na mój widok uśmiechnął się i wstał, by mnie przywitać. Objęliśmy się mocno.

– Jezu, Monte, ale z ciebie chudzielec – stęknęłam, oswobodzając się z uścisku. Pod opuszkami palców wciąż czułam jego kanciaste łopatki.

Roześmiał się i pociągnął mnie za sobą na ławkę.

– Tak, wiem, jestem trochę za szczupły... – Przypatrzył mi się dobrze, po czym kiwając z aprobatą głową, dodał: – Ale ty wyglądasz w sam raz, Joe. Z daleka poznać, że jesteś czysta.

Przytaknęłam.

– Będzie już ze dwa lata.

Monte znów się do mnie uśmiechnął. Zęby, które mu pozostały, były pożółkłe i ukruszone, ale to był wciąż ten sam uśmiech, którym kiedyś mnie oczarował i za który tak bardzo go pokochałam.

– Strasznie się cieszę, Joe... – Wiedziałam, że mówi szczerze. – Nigdy nie chciałem...

Przerwałam mu delikatnie.

– Wiem, Monte, wiem. To co się stało, to moja wina. Wyłącznie moja... Hej, co u ciebie? W porządku?

– Jasne! – pośpieszył z zapewnieniem. – To znaczy, może być... Nie jest najgorzej. A ty?... Co porabiasz?

Wzruszyłam ramionami.

– Och, to i owo. W zeszłym tygodniu obrobiłam Tiffany'ego...

– Wspaniale! – ucieszył się. – Nie zapomniałaś starych sztuczek, co? – Pokręciłam głową. Monte pokiwał. Musieliśmy wyglądać jak para marionetek. – To dobrze, to naprawdę

dobrze...

– Słuchaj, wpadłam ostatnio na Yonaha...

– Poważnie? Co u niego?

– Nie zmienił się ani trochę, wciąż ten sam stary dobry Yonah...

– A Shelley? Widziałem jej zdjęcie w porannej gazecie... Reklama mydła czy czegoś takiego...

– Shelley świetnie sobie radzi, naprawdę świetnie.

– Pomaga ci trochę? – dopytywał się Monte.- Sypnie ci czasem co nieco, kiedy ci się gorzej przędzie?

– Nie. Niby czemu miałyby to robić?

Ze smutkiem potrząsnął głową.

– Gdyby nie ty, pewnie by dawno nie żyła. Nie poradziłaby sobie sama... Gdyby nie ty...

Znowu mu przerwałam.

– Wiem, że nigdy za nią nie przepadałeś, ale...

– Nie, to nie o to chodzi – wpadł mi w słowo Monte. – Po prostu dość dla niej zrobiłaś.

Teraz przyszedł czas, żeby ci się odwdzięczyła.

Zesztywniałam na całym ciele.

– Czy ty sobie wyobrażasz, Monte – spytałam – że ona zarabia miliony na tym pozowaniu? Pewnie ma mniej na życie niż ty czy ja. Poza tym nic mi nie jest winna.

Monte chciał powiedzieć coś jeszcze, ale podniosłam ręce w górę w ostrzegawczym geście.

– Dość tego!

Milczeliśmy przez parę chwil. Ciszę przerwał urywany śmiech Montego.

– Hej, Joe, kłócimy się jak za starych dobrych czasów. Jakbyśmy nadal byli małżeństwem...

– Taa... – roześmiałam się do wtóru.

Siedzieliśmy nie odzywając się do siebie, aż w końcu rzuciłam niby od niechcenia:

– Ej, wiesz co? Dostałam właśnie robotę. Rodzice pewnej dziewczyny zapłacili mi, żebym ją odnalazła. Ciekawe, czy mogłeś ją gdzieś tutaj widzieć...

Kiedy zaczęłam szperać w torebce szukając fotografii Nadine i McFall'a, czułam na sobie wzrok Montego.

– Pracujesz i zarabiasz? To dobrze, to naprawdę dobrze... – mruczał. Pokazałam mu zdjęcie, a on niemal natychmiast skrzywił się, jakby wdepnął w gówno. – Jerry... Jasne, że go

znam. Niezły z niego numer...

Cóż, to już wiedziałam, i to nie tylko z autopsji. Jak dotąd nie spotkałam nikogo, kto by się uśmiechnął i powiedział coś miłego na temat Jerry'ego McFall'a.

– Pokazuje się tutaj ostatnio?

– Zdarza się... – Monte zmarszczył czoło w namyśle – ...ale nie za często.

– Wiesz może, u kogo się zaopatruje?

Zamiast odpowiedzieć, położył mi dłoń na kolanie. Chwilę później tuż przed naszą ławką przedefilował mężczyzna w eleganckim szarym garniturze. Oczywiście trudno było z góry określić, kto jest stróżem prawa, lecz ten z pewnością nie był jednym z nas. Oczekaliśmy jeszcze chwilę, aż intruz oddalił się na bezpieczną odległość, i dopiero wtedy podjęliśmy przerwana rozmowę.

– To zabawne – stwierdził Monte – ale nie mam zielonego pojęcia, skąd Jerry bierze towar. Wiem tylko, że zawsze ma go w bród i że na pewno nie kupuje od gości z Brooklynu czy Harlemu. No i jeszcze to, że towar jest dobrej jakości...

– Kupujesz od niego? – spytałam zdziwiona. Monte sam zajmował się sprzedażą, z tego się utrzymywał.

– Czasami, kiedy moje zwykłe źródła są suche.

– I jak się z nim kontaktujesz? Masz jego numer telefonu czy co?

– Nie – wzruszył ramionami – po prostu zdarza się, że na niego przypadkiem wpadam.

– Mógłbyś mi o nim opowiedzieć coś więcej – poprosiłam – cokolwiek...

Monte zamyślił się głęboko. Przechylił głowę na prawą stronę, tak jak zawsze to robił, gdy ktoś zaskoczył go trudnym pytaniem, a ja znów miałam to wrażenie, że przeniosłam się w czasie i że minione piętnaście lat wcale się nie wydarzyło, a my wciąż jesteśmy dziećmi, które po raz pierwszy przyszły do parku Bryanta.

– Jerry pokazuje się tu czasem z facetem, którego znasz... z Chudym Harrym. Wydaje mi się, że Harry wykonuje dla niego drobne zlecenia, dostarcza towar i takie tam... – Monte urwał, z niepokojem śledząc zmianę w wyrazie mojej twarzy. – Chryste, Joe, wyglądasz jak kot, który dopadł kanarka.

Nie wiedziałam, czy tak wyglądam, lecz z pewnością tak właśnie się czułam. Sprawa Nadine została rozwiązana, a ja mogłam robić miejsce w kieszeni na kolejny tysiąc dolców.

– Wiesz może, gdzie znajdzie Harry'ego? – zapytałam słodkim głosem.

– Pewnie. Noc w noc siedzi w takim barze na Czternastej Ulicy... „Red Rooster”, mówi ci to coś? – Kiedy skinęłam głową, rozluźnił się i z uśmiechem na ustach zaczął wspominać dawne czasy: – A skoro już zgadało się o Harrym, pamiętasz, jak raz w

Buffalo...?

Chwilę później śmialiśmy się już oboje.

Monte nie miał wiele więcej do powiedzenia na temat Jerry'ego McFalla, a Nadine, jak twierdził, w życiu nie widział na oczy. Niemniej jakoś nie chciało mi się stamtąd odchodzić, toteż rozmawialiśmy o tym i o owym, udając, że czas rzeczywiście stanął w miejscu. Zналиśmy się na wylot – było nie było, spędziliśmy ze sobą prawie dziesięć lat – toteż z łatwością przychodziło nam przymknąć oko na to, że on nie jest już taki młody, przystojny i bystry jak niegdyś, a ja to mimo wszystko nie ta sama Josephine co przed parunastu laty. Przez ten krótki moment chciałam wierzyć, że Monte ma wszystkie zęby i że nie stracił nic ze swej inteligencji, że park Bryanta i okoliczne ćpyny napawają go obrzydzeniem i że faktycznie lada dzień – no, najpóźniej w przyszłym tygodniu – zbierze się w sobie i wreszcie rzuci narkotyki w diabły. Podobnie jak kiedyś, teraz także wiele bym dała, żeby opracowana przez niego metoda rozcieńczania heroiny zdała egzamin i żeby Monte nie musiał więcej cierpieć. Żeby tym razem dostał tę pracę w fabryce czy w autosalonie i żebyśmy wreszcie rozpoczęli normalne życie... Jednakże ten moment szybko minął i potem już tylko udawałam, że słucham. Kiwałam głową, kiedy powtarzał swoją mantrę o stopniowym odstawieniu heroiny, machinalnie przytakiwałam, zapewniając, że mu wierzę, oczywiście, jakżeby inaczej, czemu nie? Byłam bowiem od niego mądrzejsza o pewne doświadczenie – ja naprawdę rzuciłam heroinę i wiedziałam, że jeśli człowiek decyduje się na ten krok, przestaje głądzić i po prostu robi to, co trzeba zrobić. Czcze przechwałki, że to łatwizna, że już jutro, góra za tydzień itede, itepe, nie przybliżały delikwenta do normalności, wręcz przeciwnie. Kiedy się już wygadał, czuł, że odwalił kawał dobrej roboty i że zasłużył sobie na kolejną szprycę w celu podbudowania morale. Jednym słowem cała ta gadka o rzucaniu była gównem warta i stanowiła wariant niekończącej się rozmowy, w której jako tematy królowały ludzka fizjologia i ekonomia światowa.

Co najciekawsze, to nie heroina powstrzymywała Montego i takich jak on przed rzuceniem nałogu. To prawda, że odstawianie narkotyku nie należy do przyjemności, ale ostatecznie każdy zdołałby wytrzymać tydzień piekła, gdyby mu zależało. Nie, tym co naprawdę powstrzymywało ich wszystkich przed posłaniem białej śmierci w cholere, była obawa przed tym, co czeka ich tam, na zewnątrz, poza dotychczasowym światkiem, w którym się tak długo obracali. Przecież znaleźli już swoje miejsce na ziemi – wiedzieli, kim są. Byli kimś. A tu nagle groziło im, że znów staną się nikim. Montemu na przykład groziło, że na powrót zamieni się w faceta z podłej nowojorskiej dzielnicy, któremu nic nigdy się w życiu nie udało, w kogoś, kto dzień w dzień zasuwa do pracy w fabryce, a wieczorami chleje

piwsko.

To dlatego wszyscy zaczynają brać i dlatego biorą, chociaż w każdej chwili mogliby przestać – żeby stać się kimś. Narkomanem. Ćpunem. Lepsze to, niż być nikim...

Kiedy w końcu pożegnałam się z Montem, obeszłam cały Times Square w poszukiwaniu kiosku, gdzie wciąż byłaby w sprzedaży poranna gazeta z reklamą mydła. Monte się nie mylił – w wannie wypełnionej pianą zanurzona po szyję tkwiła Shelley. Nie miałam problemów z rozpoznaniem jej, gdyż na ustach błąkał jej się charakterystyczny uśmiezek, który nie raz widziałam na żywo. Podpis pod spodem głosił fantazyjnymi zakrętasami: „To więcej niż kąpiel! To prawdziwa kuracja upiększająca!”

Gdy tylko znalazłam się w domu, ostrożnie wycięłam fotografię z podpisem i umieściłam ją w albumie za okładką razem z reklamą sukni, którą otrzymałam od Yonaha. Tym razem pozwoliłam sobie tylko na szybkie przekartkowanie albumu, nim wybiegłam poszukać Harry’ego.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdyby jakiś encyklopedysta szukał spelunki w naturze, by uwiecznić ją na fotografii przy odpowiednim haśle, „Red Rooster” byłby jak znalazł. Długi jak tramwaj mroczny bar, w którym nie podawano posiłków, a muzyka leciała z szafy grającej o sztucznym metalicznym brzmieniu. Kiedy tam weszłam, uderzył mnie zaduch i harmider, chociaż do godziny szczytu pozostało jeszcze sporo czasu. Jednakże ci, którzy zdążyli już wpaść na swe codzienne piwo albo coś mocniejszego, robili wystarczająco dużo hałasu i wydzielali dość potu. Szybkim spojrzeniem omiotłam wąskie pomieszczenie i wyłowiłam z tłumu jedną czy dwie kobiety, niewątpliwie prostytutki, parunastu facetów w ponaciąganych garniturach, garstkę elegantów w samych koszulach i kilku młodych byczków w podkoszulkach. Chudy Harry siedział z tyłu sali przy stoliku i w samotności popijał drinka.

Przezwisko musiał zdobyć w swych wczesnych latach i tak się złożyło, że przyłgnęło do niego na dobre, mimo że zbliżając się do czterdziestki nie był już wcale taki chudy. Wszelako w dalszym ciągu niewiele sobą prezentował, zupełnie jak wtedy gdy go poznałam w trzydziestym dziewiątym. Od tego czasu stracił trochę włosów, których resztki wyglądał brylantyną i zaczesywał na pożyczkę, a wraz z nimi cały swój gust – o ile kiedykolwiek go posiadał – sądząc po tym, co tamtego dnia miał na sobie: byle jakie spodnie nieokreślonego koloru, szarobiałą koszulę i kraciastą kurtkę przypominającą koc Świńskie oczka utkwiał w stojącym przed nim kuflu z piwem, ale kiedy pił, strzelał nimi na boki sponad brzegu naczynia. Zauważywszy mnie, sposepniał jeszcze bardziej i chciał się rzucić do ucieczki, lecz byłam od niego szybsza. W okamgnieniu znalazłam się przy jego stoliku, położyłam mu rękę na ramieniu, zmuszając w ten sposób, by usiadł z powrotem, i sama klapnęłam na sąsiednie krzesło.

– Harry... – zaczęłam groźnie i po wyrazie jego twarzy zorientowałam się, że nie będę miała z nim najmniejszych problemów.

– Joe, posłuchaj... Pewnie sądzisz, że wtedy w Buffalo was orznąłem...

Przerwałam mu bezceremonialnie.

– Harry, ja wiem, że nas orznąłeś. Mało tego, najpierw wystawiłeś i dopiero potem oskubałeś! Jesteś mi winien tyle kasy, ile nie uzbierasz do końca swych dni! Ty też o tym dobrze wiesz, więc nie zgrywaj niewiniątka. Nawiasem mówiąc słyszałam, że wszystko



przepuściłeś na dziewczynkę, której kazałeś się wychłostać biczem. To obrzydliwe, Harry, naprawdę obrzydliwe, ale nie dlatego tu jestem...

W jego oczach mignęło zainteresowanie.

– Nie?

– Nie – pokręciłam głową. – Po prostu potrzebuję drobnej przysługi, a przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda? – Mocniej wpiłam paznokcie w jego ramię.

– Jasne, Joe, jasne!... – potwierdził gorliwie, o mało co nie mocząc sobie spodni.

– Zatem wyświadczysz mi drobną przysługę? – drażyłam. – Pomyśl, jak to będzie miło nareszcie zapomnieć o tym całym przykrym wydarzeniu, które spotkało nas w Buffalo...

– Masz rację, Joe... Mów, co mogę dla ciebie zrobić!

– Świetnie. Znasz Jerry'ego McFalla?

– Znam.

– Tym lepiej dla ciebie. Gdzie on teraz jest?

Harry przełknął ślinę i zaczął podnosić do ust kufel z piwem. Po jego oczach widziałam, że rozpaczliwie próbuje wymyślić jakieś kłamstwo, a ja nie chciałam wysłuchiwać żadnych kłamstw. Teraz ani nigdy. A już na pewno nie od niego.

– No, Harry, daj spokój. Przed chwilą powiedziałaś, że zależy ci, byśmy wreszcie byli kwita. Mów więc prawdę, albo do końca życia nie będziesz pewien dnia ani godziny.

Zmarszczył brew w wyraźnym wysiłku umysłowym.

– Jesteś pewna, że to wyrówna nasze rachunki? – zapytał podejrzliwie.

– Masz to jak w banku – zapewniłam bez zmużenia oka, chociaż wcale nie miałam zamiaru mu odpuścić. – Pod warunkiem że wyśpiewasz teraz jak na spowiedzi, gdzie znajdę Jerry'ego.

– Ale Joe, on mnie bardzo prosił, żebym tego nikomu nie mówił, kazał mi nawet obiecać...

– Harry... – poklepałam go uspokajająco po ramieniu. – Jerry z pewnością nie miał na myśli mnie. Dzieląc się tą informacją ze mną, nie złamiesz swojej obietnicy.

Harry opadł na oparcie krzesła, przetrawiając w duchu moje słowa. Nachyliłam się, by ponownie ścisnąć go za ramię.

– No dobrze – wydusił z siebie w końcu. – Słyszałem, że ostatnio zatrzymał się w Sunset Park.

– Sunset Park?! A gdzie to, do cholery, jest?

– W Brooklynie, róg Czterdziestej Piątej Ulicy i Piątej Alei... Nie patrz tak na mnie... nie moja wina, że to tak daleko... Nie pamiętam numeru, ale budynek jest na samym rogu,

taka ceglana kamienica...

– Byłeś tam? – dźgnęłam go oskarżycielsko.

Westchnął i pokiwał głową.

– Parę dni temu. Wpadłem z krótką wizytą, no wiesz... Przyniosłem mu też trochę ciuchów.

– O co w tym chodzi? – zażądałam odpowiedzi. – Czemu Jerry się ukrywa?

– Powiedział mi tylko tyle, że ktoś niesłusznie podejrzewa go o oszustwo... – Harry uniósł brwi i mrugnął do mnie porozumiewawczo – ...oczywiście zapewniał, że tego nie zrobił, że w interesach zawsze postępuje uczciwie, ale i tak na wszelki wypadek postanowił na trochę zejść wszystkim z oczu, żeby gorące głowy się przestudziły.

– Kogo oszukał?

– Tego mi nie powiedział.

– A ta dziewczyna, Nadine? Jest z nim?

– Taa, ma ze sobą dziewczynę. Małą młodą blondyneczkę, naprawdę ładniutką... – Oczy mu się zaszkliły na wspomnienie ładniutkiej blondyneczki McFalla. Uważałam, że to obrzydliwe.

– W porządku – puściłam go, przewracając oczami – wystarczy. Lepiej, żeby to wszystko była prawda.

Kiedy wstawałam, Harry złapał mnie za rękę i wybełkotał:

– Teraz jesteśmy kwita, Joe?

– Idź do diabła, Harry! – wyrwałam mu się z obrzydzeniem. – Choćbyś żył sto lat i wyświadczył mi tysiąc przysług, nigdy nie będziemy kwita.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jim od niedawna mieszkał przy Piątej Alei, kawałek na północ od Washington Square Parku, w nowo wybudowanym ekskluzywnym apartamentowcu, którego hall był cały przeszklony, tak że przypominał akwarium. Jak dotąd nigdzie nie zapuścił korzeni na dłużej – przeprowadzał się dwa lub nawet trzy razy w roku, zajmując lokale, które odpowiadały mu pod względem czynszu i prestiżu, co zawsze ściśle wiązało się z wykonywaną przez siebie pracą oraz tym, kogo w danym momencie udawał lub kim chciał być. W tym jego lokum jeszcze nie byłam.

Odźwierny skomunikował się z nim teraz przez domofon, z kamienną twarzą informując, że panna Marlena Dietrich przyszła z wizytą, i zapytując, czy „szanowny pan zechce ją przyjąć?” Jim odparł, że jak najbardziej, po czym wcale się nie śpieszył, by otworzyć znakomitemu gościowi drzwi – musiał przecież poprawić fryzurę i nałożyć marynarkę.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy mnie zobaczył, co mnie ucieszyło, gdyż jego dobry humor zwiastował powodzenie mojego przedsięwzięcia.

– Witaj, Marleno! Dasz się zaprosić na drinka?

– Hmm... raczej nie. Ale być może będziesz mógł zrobić dla mnie coś innego... – zagaiłam tajemniczo.

Wiedziałam, że muszę postępować bardzo ostrożnie. Jim miał bzika na punkcie swego wozu.

– Dla ciebie wszystko. Wejź do środka, proszę.

Apartament Jima był naprawdę imponujący – największe wrażenie zrobił na mnie okazałych rozmiarów salon, urządony na tip-top, gdzie nowiusieńki adapter odtwarzał płyty czterdziestki piątki, a błyszczące forniture meble były po oczach. Kanapa i fotele ustawione były tak jak statki szykujące się do walki na morzu. Pełna obaw przysiadłam na sofie obitej turkusową skórą, pozwalając Jimowi czynić honory pana domu. Kiedy już przyszykował nam cocktaile, podane w wysmukłych szklankach z wymalowanymi na ściankach złotymi i turkusowymi muszelkami, podzieliłam się dobrą nowiną.

– Chyba wiem już, jak dotrzeć do Nadine Nelson.

– To wspaniale! – Jim wyraźnie się ucieszył i wznosił toast z okazji mojego sukcesu.

Stuknąwszy swoją szklanką o moją, zapytał: – Jak ci się udało ją wytropić?

Opowiedziałam mu o spotkaniu z Chudym Harrym, nie przemilczając naszych zadawnionych porachunków. Jim znał trochę Harry'ego, zaśmiewał się więc do łez.

– No i to właśnie on dał mi cynk, że McFall i Nadine zaszyli się aż w Brooklynie, tam gdzie, zdaje się, nie dochodzi metro... – Śmiech zamarł Jimowi na ustach. – A ja muszę się tam dostać tak szybko jak to możliwe – Jim przestał się nawet uśmiechać – i pomyślałam sobie, że może mógłbyś mi pożyczyć swój wóz – zakończyłam z drżeniem serca.

Jim przez długą chwilę wpatrywał się w swoją szklankę, wreszcie zaproponował:

– Mogę wezwać dla ciebie taryfę, pokryję wszystkie koszty... Przecież taryfą się tam dostaniesz, prawda?

– Prawda. To szalenie miło z twojej strony, że chcesz mi pomóc, ale wiesz... taryfa będzie się tam wyróżniać... Chodzi mi o to, że pewnie będę musiała na nich trochę poczekać, poobserwować to miejsce, gdzie się zatrzymali... Czająca się pod domem taryfa mogłaby ich przestraszyć, a ja przecież muszę zawiadomić rodziców dziewczyny o jej aktualnym adresie, mając pewność, że wciąż tam jest. Jeśli McFall i Nadine się rozdzielą albo co gorsza prysną, wrócę do punktu wyjścia, a sam wiesz, ile zachodu mnie kosztowały dotychczasowe poszukiwania. Niełatwo będzie ich znowu wytropić...

– Racja, racja... – zaszepił się Jim. – Tylko że mój rocket 88 nie na wiele więcej ci się zda. To nowe cacko, wyobraź je sobie w takiej okolicy...

– Będzie tam bardziej pasować niż taryfa – zauważyłam przytomnie.

Jim bił się z myślami.

– Masz czyste konto? – zapytał z powagą.

– Czyścusięńkie – zapewniłam go prędko. – W życiu nie dostałam nawet mandatu za złe parkowanie. – Nie była to do końca prawda.

– Na pewno? – Jim przyglądał mi się podejrzliwie.

Bez wahania sięgnęłam do torebki i wyjęłam z niej swoje prawo jazdy. Podając mu je, rzuciłam od niechcenia:

– Możesz sprawdzić, jeśli chcesz.

Wiedziałam, że jest za późno, by dodzwonił się do wydziału transportu nowojorskiej policji, w przeciwnym razie nie podsunęłabym mu tego pomysłu.

Jim zerknął na telefon i roześmiał się sztucznie.

– No dobra, chyba mogę ci zaufać... Ale pamiętaj, że masz jechać powoli...

– Przysięgam, że nie przekroczę sześćdziesiątki.

– ...i uważaj, jak będziesz parkowała...

Podniosłam rękę jak skaut.

– Zostawię co najmniej trzy metry odstępu.

– I żadnego picia – zarządził kategorycznie.- Żadnych napojów, jedzenia, papierosów, nic z tych rzeczy. Taką tapicerkę okropnie ciężko się czyści...

– Jim – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy. – Będę traktować ten wóz, jakby to było moje nowo narodzone dziecko.

– W takim razie w porządku. – Jim wypuścił długo wstrzymywane powietrze i starał się pozbyć zafrasowanej miny. Nadaremno. – Długo rozgrzewaj silnik. Zamykaj starannie wszystkie zamki, kiedy będziesz wysiadać... Ale lepiej z niego nie wysiadaj, Joe. Nie zostawiaj go samego w Brooklynie, zwłaszcza na zewnątrz... – rozważył coś w duchu i dodał niechętnie: – chyba że będziesz naprawdę musiała. I koniecznie do mnie zadzwoń, jak tylko wrócisz do centrum, żebym wiedział, że nic ci się nie stało.

– Chciałeś powiedzieć, żebyś wiedział, że nic nie stało się autu.

Jim popatrzył na mnie z posępną miną.

– Nie, Joe, żebym wiedział, że nic tobie się nie stało – powtórzył dobitnie.

Potem nalegał, żebyśmy poszli coś zjeść, zanim wyruszę na swoją wyprawę. Śpieszyło mi się, więc zamiast do „Le Bouche”, dokąd chciał udać się Jim i które to miejsce niewątpliwie było najlepszą knajpą otwartą o tej porze, pod warunkiem że lubi się kuchnię francuską – ślimaki, gęsie wątróbki i takie tam paskudztwa, skierowaliśmy się do taniej jadłodajni na Sheridan Square, gdzie podawano ohydą kawę i gdzie kelnerka nie rozpoznała Jima, co według jego standardów było niewybaczalne. Szybką kolację „umilał” nam siedzący po przekątnej facet przechwalający się donośnym głosem, jak to zaszalał z Ritą Hayworth w Cannes.

– Na miłość boską! – wykrzyknął Jim, przypatrując się swemu omletowi. – Na kim ten facet chce zrobić wrażenie?

– Nie wiem – odparłam z pełnymi ustami. – Po prostu go nie słuchaj.

Jim nie wziął sobie mojej rady do serca.

– Co on sobie wyobraża, że kim jest?! Że gdzie jest? W Stork Clubie? A my to śmietanka światowej kinematografii?

– Nie wiem – powtórzyłam dobitniej.

Jim odwrócił się i posłał chwalipięcie paskudne spojrzenie. Ułamek sekundy później zapytał mnie:

– Hej, czy to przypadkiem nie Shelley?

Po raz pierwszy zainteresowałam się nadającym na cały regulator gościem. Był to

mężczyzna w średnim wieku, z okazałym brzuszkiem i sporą łysiną, wbity w trzyczęściowy czarny garnitur – zza kamizelki wystawał kawałek krawata z diamentową spinką. Kiedy facet gestykulował, w oczy rzucał się wielki brylant na jego małym palcu, nie to jednak najbardziej przykuło mój wzrok, obok niego bowiem rzeczywiście siedziała Shelley.

To znaczy w pierwszym momencie pomyślałam, że to Shelley. Przyjrząwszy się kobiecie dokładniej, nie byłam już tego taka pewna. W niczym nie przypominała osoby, którą znałam, za to wykazywała uderzające podobieństwo do modelki z reklamy sukni, podarowanej mi przez Yonaha. Na krótko obciętych utlenionych na platynowy blond włosach upięła mikroskopijny kruczoczarny kapelusik – czy raczej coś w rodzaju toczka – idealnie harmonizujący z małą czarną, jaką miała na sobie; i tak ładne oczy podkreśliła odrobiną tuszu, usta pomalowała na zmysłowy czerwony kolor. Zaśmiewała się z opowieści gaduły, jakby nigdy w życiu nie słyszała kogoś równie fascynującego, nachylając się przy tym do niego i przęcając biust, który o mało co nie wyskoczył zza skąpego dekoltu.

Po tym poznałam, że to jednak Shelley. Tyle że wyglądała, jak gdyby właśnie wróciła z jakiegoś sanatorium, gdzie najpierw usunięto z niej każdy kawałeczek Hell's Kitchen, a potem puste miejsca wypełniono czymś szlachetniejszym. W efekcie była to Shelley i zarazem nie była.

Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, czy powinnam się przywitać, kiedy nasze spojrzenia się spotkają, gdy nagle brwi Shelley uniosły się nieznacznie – zapewne byłam ostatnią osobą, jaką spodziewała się ujrzeć – a usta rozciągnęły w lekkim uśmiechu. Delikatnym skinieniem głowy wskazała drzwi toalety. Zaczekałam, aż ona pierwsza wstanie, po czym także podniosłam się z miejsca i chwilę później padłyśmy sobie w objęcia.

Ścisnęłyśmy się mocno i długo – było nie było, nie widziałyśmy się prawie rok.

Shelley to moja siostra. Była ode mnie pięć lat młodsza i przez pewien czas miała poważne szanse pójść w moje ślady. Obracałyśmy się w tym samym towarzystwie, wpadałyśmy w podobne kłopoty, jarałyśmy wspólny towar. Ale podczas gdy moje życie zaczęło się kręcić wokół heroiny, a ja sama potrafiłam myśleć tylko o tym, skąd wezmę następną działkę, Shelley jakimś cudem udało się wyrwać z tego zakłętego kręgu. Przestała zadawać się z typkami spod ciemnej gwiazdy, wyprowadziła z Hell's Kitchen na dobre, znalazła sobie pracę w porządnej restauracji – była kimś pomiędzy szatniarką i bramkarzem, jednym słowem oceniała ubiór gości i w razie potrzeby wypożyczała im krawat albo marynarkę, dzięki czemu miała możliwość poznać odpowiednich mężczyzn. A teraz po tych wszystkich latach mój album pękał w szwach od reklam i programów sztuk, w których Shelley występowała. Miałam też parę fotek, które kazała zrobić specjalnie – zbliżenie twarzy

w pełnym makijażu – z jej nazwiskiem pod spodem: Shelley Dumere, bo taki obrała sobie pseudonim. Przypuszczałam, że Flannigan brzmiało w pewnych kręgach zbyt pospolicie, a poza tym w niczym by się jej nie przysłużyło, gdyby wyszło na jaw, skąd pochodzi i z kim jest spokrewniona.

– Rany, Joe... – mówiła teraz z wielkim uśmiechem, dokładnie takim, jaki prezentowała na wszystkich swoich zdjęciach. Uśmiech był na wskroś fałszywy. – Jak dobrze cię znów zobaczyć!... Mam tylko minutkę, wiesz...

Żeby nie tracić czasu, zaczęła poprawiać makijaż. Jej twarz odbijała się w jednym dużym lustrze i ulegała powieleniu w małych zwierciadłach rozwieszonych na przeciwległej ścianie. Oparłam się o mur i obserwowałam ją uważnie, gdyż nawet tak prozaiczna czynność jak pudrowanie nosa w jej wykonaniu była dziełem sztuki.

– Kim jest ten facet? – spytałam, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu radości. Cieszyłam się jak cholera, że znów ją widzę.

– To producent! – odparła ze szczerym podnieceniem. – Nie teatralny, ale telewizyjny. Teatr już się przeżył, wiesz... Teraz liczy się tylko telewizja.

– Jaką rolę dostaniesz?

– Och, to całkiem nowy program! – trajkotała podekscytowana. – Ma być na antenie co czwartek o ósmej wieczorem. Jeszcze nie wymyślili tytułu, ale generalnie będzie traktował o głupiutkiej gospodynie domowej, która popełnia masę błędów, no wiesz... przypała obiad dla męża i tak dalej. Nadaję się do tej roli jak mało kto! – Popatrzyła sobie w oczy w lustrze i uśmiechnęła się do własnych myśli. Przypomniawszy sobie o mojej obecności, dodała: – Może nie jest to jeszcze rola życia, ale w Nowym Jorku aż się roi od bezrobotnych aktorów, Joe... Znam takich, co dosłownie zabiliby za najmniejszą rolę. Nawet nie wiesz, ile mnie kosztowało, żeby zdobyć ten angaż...

– Domyślam się – powiedziałam i aby nie wdawać się w szczegóły, gdyż nie chciałam zepsuć nastroju chwili, zapytałam: – Bierzesz jeszcze lekcje aktorstwa?

– Nie – pokręciła głową, pudrując jakąś widoczną tylko dla niej niedoskonałość na czole. – Wiesz, Joe, teraz jak już jestem w środku show-biznesu, mam pojęcie, jak to działa. Wszystko sprowadza się do tego, kogo się zna. A grać potrafię równie dobrze jak te wszystkie dziwki. Mam rację?

– Jasne, Shelley. Jasne, że masz rację.

Zmrużyła oczy i pewną ręką zaczęła poprawiać czarny kontur wokół lewego oka.

– A co u ciebie? – zainteresowała się nagle. – Co ty i Jim robicie tak późno na mieście?

– Skoro już pytasz... Właściwie być może mogłabyś mi pomóc. Widzisz, szukam takiej jednej dziewczyny... Jej rodzice mnie zatrudnili...

Ręka Shelley drgnęła, kiedy się roześmiała.

– To teraz jesteś prywatnym detektywem? No, no – pokręciła głową – kto by pomyślał... Ty ze wszystkich ludzi... – Ponownie się zaśmiała, lecz zaraz spoważniała, zabierając się do prawego oka. – No więc kogo szukasz?

Zamiast opowiadać, pokazałam jej fotografię Nadine i McFalla.

Shelley zmarszczyła brwi, jakby próbując sobie coś przypomnieć, po czym powiedziała:

– Hmm... Możliwe, że go już gdzieś widziałam... Ale to było lata temu.

– Naprawdę? A pamiętasz, gdzie to było?

– Och, Joe, nie pamiętam. To mogło być wszędzie – westchnęła. – Po prostu ta twarz wydaje mi się znajoma, ale przecież sama wiesz najlepiej, że od dawna nie zadaję się z ludźmi tego pokroju. To znaczy z ludźmi – poprawiła się szybko. To ciekawe, że w moim towarzystwie zatracala powoli cały ten swój sznyt. Żeby zatuszować złe wrażenie, szybko dodała: – Joe, Joe, jeśli chcesz odnieść sukces w swoim nowym zawodzie, przede wszystkim musisz wiedzieć, kogo o co pytać.- I znów się roześmiała.

– Jasne, znowu masz rację – zgodziłam się z nią.- No a poza tym wszystko u ciebie dobrze? Widziałam twoje zdjęcia w paru gazetach...

Uśmiechnęła się szeroko.

– Poważnie? A reklamę mydła widziałaś? Świetnie na niej wyszłam, nie? – Odłożyła kredkę do kosmetyczki i wyjęła z niej szminkę w grubej złotej tulei. – Dobrze mi się wiedzie, Joe, naprawdę dobrze... Ten facet na przykład uważa, że będzie ze mnie gwiazda telewizji! – Przejechała szminką po ustach. – Wyobraź sobie: ja gwiazdą telewizji!

Jak zwykle przemawiała przez nią wrodzona skromność, ale że coraz gorzej wychodziło jej udawanie, już na odległość widać było, że ona sama uważa, iż doskonale się do tej roli nadaje. Wreszcie skończyła się malować, schowała kosmetyczkę do torebki i odwróciła się do mnie.

– Chyba powinnam już wracać. Mój producent pewnie zastanawia się, gdzie się podziewam...

– W porządku, mną się nie zajmuj – powiedziałam.

Nigdy nie potrzebowaliśmy wielu słów; Shelley nie musiała mówić, że nie wolno mi w żaden sposób zdradzić przed producentem naszego pokrewieństwa – to się rozumiało samo przez się. Uściskałyśmy się znowu.



– Przykro mi, że tak długo nie dawałam znaku życia – rzekła na odchodnym Shelley. – Odezwe się niebawem, dobrze? Mieszkasz tam gdzie przedtem?

– Tak, wciąż w „Sweedmore”.

– Świetnie! – ucieszyła się. – Obiecuję, że się z tobą skontaktuję.

– Dzwon albo wpadnij bez uprzedzenia!

Oczywiście wiedziałam, że ani nie zadzwoni, ani nie przyjdzie z wizytą i po prawdzie wcale nie miałam do niej żalu. To, że zapewniłam jej parę gorących posiłków i kupiłam parę kiecek, nie rekompensowało długiej listy rozczarowań, których jej przysporzyłam. Gdyż to właśnie robią narkomani: rozczarowują wszystkich dokoła – zwłaszcza swoich bliskich. Mówią na przykład, że przyjdą na kolację, a pokazują się w domu dopiero na śniadanie, albo zarzekają się, że w tym miesiącu zapłacą czynsz w terminie, a kiedy przychodzi co do czego, przeznaczają ostatnie pieniądze na kolejną działkę, której nie potrafią sobie odmówić, bądź też w jednej chwili przysięgają na wszystkie świętości, że zawsze można na nich liczyć, by w następnej przeżywać odjazd – właśnie wtedy gdy są komuś najbardziej potrzebni. Ja i Shelley nie miałyśmy ojca, a nasza matka niezbyt dobrze sobie radziła z wypełnianiem obowiązków rodzicielskich. Byłyśmy więc zdane tylko na siebie. Chociaż od dawna byłam czysta, Shelley nie miała najmniejszego powodu, żeby mi wybaczyć. Wiem, bo ja na jej miejscu też bym sobie nie wybaczyła.

Shelley wyszła z toalety pierwsza, a ja odczekałam pełną minutę, żeby nie wyglądało, że wychodzimy razem. Zanim podeszłam do stolika, jej producent był już w połowie następnej opowieści – tym razem o swojej ostatniej wyprawie do Los Angeles.

– Może powinienem się z nią przywitać? – Jim myślał na głos. – W końcu nie widziałem się z nią od wieków.

– Daj spokój – osadziłam go w miejscu. – Shelley nie chce być kojarzona z takimi jak my.

Jim popatrzył na mnie uważnie i chyba chciał coś powiedzieć – coś radosnego i podnoszącego na duchu – ale że nie było nic takiego do powiedzenia, zmilczał.

W ciszy kończyliśmy posiłek, a ja od czasu do czasu pozwalałam sobie rzucić spojrzenie w kierunku stolika, przy którym siedziała Shelley i jej producent. W pewnym momencie przysiadł się do nich mężczyzna w mniej więcej moim wieku, prawdopodobnie jeszcze jeden z jej wielbicieli. Och, to prawda, że większość kobiet w podobnej sytuacji utraciłaby obu mężczyzn, ale Shelley zawsze była dobra w żonglerce. Mogła siedzieć przy tym samym stoliku z dwoma swoimi kochankami i niczym się nie zdradzić. Z fascynacją obserwowałam, jak równomiernie obdziela ich swoją uwagą, raz tego, raz tamtego, jak gdyby

kibicowała przeciwnikom na korcie. Ten drugi wydawał mi się z lekka znajomy, ale jak słusznie zauważył Tony, po tylu latach oni wszyscy wyglądają tak samo.

Jim zapłacił rachunek i wyszliśmy na zewnątrz, spacerkiem kierując się w stronę garażu, gdzie trzymał swoje cacko. Później Jim poszedł do domu na piechotę, a ja wsiadłam do jego oldsmobila i udałam się do Brooklynu.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Czarne auto Jima lśniło nowością i czystością zarówno zewnątrz, jak i w środku, ale kiedy przejeżdżałam przez most Brookliński, kątem oka dostrzegłam, że coś leży pod fotelem pasażera. Coś jakby kawałek brązowego papieru. Na najbliższym czerwonym świetle schyliłam się i wydobyłam spod siedzenia lekką paczkę obwiązaną sznurkiem. Dużymi drukowanymi literami Jim napisał:

MAM NADZIEJĘ, ŻE BĘDZIE PASOWAĆ.

W środku była sukienka, ta, którą Jim kupił od Micka. Oryginalna kreacja Bergdorfa, w granacie, dopasowana w talii i z rozkloszowanym dołem. Będzie leżała jak ulał, pomyślałam i w tej samej chwili z tyłu rozległ się klakson. Światło zdążyło zmienić się na zielone, gdy podziwiałam prezent, toteż nacisnęłam na pedał gazu, gestem uspokajając kierowcę za mną. Cała ta sytuacja – kosztowny podarunek, to że prowadziłam niemal nowy wóz – uderzyła mi trochę do głowy i już snułam plany, jak to za resztę honorarium kupuję sobie ekskluzywne ciuchy, a może nawet jakieś auto. Jeszcze nigdy nie miałam samochodu na własność. Oczywiście nie kupiłabym niczego równie ekstrawaganckiego jak rocket 88 Jima – za nowy wóz tej klasy musiałabym wydać jak nic ze dwa patyki, czyli wszystko, co zarobię, jeśli uda mi się sprawę doprowadzić do końca – ale mogłam pokusić się o coś trochę starszego, choć nie mniej atrakcyjnego, przynajmniej dla mnie. Jim na pewno pomógłby mi dokonać właściwego wyboru.

Tymczasem znalazłam się w Brooklynie. Choć wcześniej wydawało mi się, że trafię na miejsce bez problemu, to jednak mniej więcej w połowie drogi musiałam się zatrzymać na stacji benzynowej, żeby kupić mapę. Przy okazji chciałam też zatankować wóz, ale kiedy zobaczyłam, że za galon benzyny żądają aż dwadzieścia pięć centów, uznałam, że prędeż oddam Jimowi parę litrów własnej krwi, niż nakarmię jego czarnego smoka. Z mozołem i z sercem w gardle przedzierałam się dalej, aż wreszcie dotarłam do skrzyżowania Czterdziestej Piątej Ulicy i Piątej Alei, czy raczej ich brooklińskich odpowiedników. Zdziwiło mnie, że Sunset Park bardzo przypomina porządną dzielnicę mieszkalną na Manhattanie, z tą różnicą

że tu było jeszcze więcej drzew. Wzdłuż ulic ciągnęły się rzędy domków o niegdyś jasnych elewacjach, które wciąż mogłyby wyglądać ładnie, gdyby ktoś zadał sobie choć odrobinę trudu, a tu i ówdzie stały kamienice mające swe najlepsze lata dawno za sobą i żadnych szans na świetlaną przyszłość. Tak jak twierdził Harry, dokładnie na rogu znajdował się niewielki ceglany budynek, trzy piętra po prawdopodobnie dwa mieszkania na każdym poziomie. Wchodziło się od strony Czterdziestej Piątej Ulicy, a wyjść można było którymiś schodami przeciwpożarowymi. Miejsce to, z metalowymi drzwiami i obdrapanymi skrzynkami na listy wbudowanymi w mur od frontu, nie zrobiło na mnie dobrego wrażenia i nie sądziłam, by ktokolwiek z tutejszych mieszkańców z radością wracał do domu.

Zaparkowałam kawałek dalej po przeciwnej stronie ulicy, po to by sama będąc nie zauważoną, móc obserwować wejście w lusterku wstecznym. Później wysiadłam z wozu i spacerkiem przeszłam z powrotem, dyskretnie zadzierając głowę i zaglądając w okna. Większość była ciemna, a w tych, za którymi paliło się światło, zaciągnięto zasłony. Ostatecznie zdecydowałam się jeszcze sprawdzić nazwiska na skrzynkach na listy, ale i to niewiele mi dało – Kanstowski, Koen, Dubinski nic mi nie mówiły, a reszta skrytek była nieopisana. Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do auta i czekać. Jeśli Harry mnie nie okłamał, Nadine i Jerry byli gdzieś tam w środku i przecież musieli prędzej czy później stamtąd wyjść. Postanowiłam, że najpierw upewnię się co do ich miejsca pobytu, a potem skontaktuję z rodzicami Nelsonówny – niech oni decydują, czy chcą sami po nią przyjechać czy może wolą poprosić o pomoc policję, czy też mnie zlecą przekonanie jej, że najrozsądniej będzie wrócić do domu po dobroci.

Rozpierałam się wygodnie w oldsmobilu Jima, wlepiając oczy w lusterko wsteczne, ale drzwi wejściowe do budynku ani drgnęły. Nikt nie wchodził ani nie wychodził; prawdę powiedziawszy, cała okolica zdawała się pogrążona w głębokim śnie, nawet mnie zaczęły opadać powieki. Aby nie zasnąć, włączyłam radio. Na pierwszym kanale były właśnie wiadomości, w których trąbiono o komunistach – jak to czają się za każdym krzaczkiem i że jeśli nie będziemy czujni, przyjdą i porwą nasze dzieci, żeby je przekabacić. Taa... – pomyślałam – a wszyscy dilerzy mają wąsa... Przełączyłam na inny kanał, gdzie akurat nadawano słuchowisko kryminalne. Po paru chwilach już wiedziałam, że czarny charakter przegra z kretesem, kryształowy detektyw wygra, a jedyna postać żeńska będzie tylko achąć i ochać, nie popychając akcji do przodu. Tak minęło mi parę godzin i w końcu naprawdę zachciało mi się spać; przysypiałam od czasu do czasu, ale zawsze przynajmniej jednym okiem kontrolowałam sytuację. W dalszym ciągu nic się nie działo.

O wpół do szóstej wzeszło słońce, niewiele później z domków i kamienic zaczęli się

wysypywać ludzie zmierzający jak co dzień do pracy – przyglądałam się im na wszelki wypadek, ale jak było do przewidzenia, Nadine i Jerry nie należeli do klasy robotniczej. Około ósmej wędrówki ludów się skończyły i znów popadłam w odrętwienie.

Kiedy wybudziłam się z krótkiej drzemki, punktualnie dziesięć po jedenastej, i rzuciłam okiem w lusterko, niemal krzyknęłam z radości. Z budynku na rogu wyszła dziewczyna ubrana w niebieskie dzinsy i męską koszulę przewiazaną w pasie – młoda i ładna o jasnych włosach związanych w kucyk. Mimo że nie była to Nadine Nelson, nie zmartwiłam się, gdyż obok niej stał McFall.

Na jego widok ogarnęło mnie dziwne uczucie. Wyglądał dokładnie tak samo, jak go zapamiętałam, tyle że było w nim również coś nowego. Zewnętrznie nie zmienił się ani o jotę – nadal był wysoki i szczupły i miał szczurzą twarz, i ubierał się nieco ekstrawagancko (do szarych spodni włożył żółtą koszulę, bez marynarki, a na głowę wsunął nieodłączną fedorę), jednakże biła z niego radość życia, a tego się po nim nie spodziewałam. Jerry uśmiechał się, delikatnie obejmując dziewczynę, z jego oczu wyzierała łagodność i dobroduszość, ust nie wykrzywił kpiący grymas. Gdybym nie poznała go z najgorszej strony, pomyślałabym, że to zupełnie zwyczajny mężczyzna, taki, co ma dziewczynę, którą kocha, i pracę, którą lubi i w której jest dobry – może jest stolarzem albo murarzem, utrzymuje dobrosąsiedzkie stosunki i muchy by nie skrzywdził. W tamtej chwili zrozumiałam, dlaczego nabrał tyle kobiet: mógł się podobać i budził zaufanie. Przynajmniej tak było ze mną. Kiedyś. Bo teraz już wiedziałam, że Jerry McFall to nie zwykły poczciwina, w którym można się zakochać, tylko zimnokrwisty drań, kłamca i brutal, siłą zaciągający dziewczynę do łóżka i każący jej potem na siebie pracować na ulicy. Potrafiłam sobie wyobrazić, jak przestaje być miły dla swojej porannej towarzyszki i groźbami i biciem zamienia ją w zwykłą dziwkę, i nic dziwnego, bo wciąż miałam w pamięci swoje pierwsze z nim spotkanie. Na samo wspomnienie chciałam go zatłuc gołymi rękami, a potem popełnić samobójstwo, lecz na szczęście trwało to tylko ułamek sekundy.

Odczekałam, aż zniknęli za rogiem, po czym ruszyłam ich śladem. Nie bałam się, że McFall mnie rozpozna – minęło zbyt wiele czasu i zbyt małą rolę odegrałam w jego życiu – tak że wystarczyło nie rzucać się zanadto w oczy. Utrzymując dystans, zobaczyłam, że Jerry wypuszcza dziewczynę z objęć i ujmuje ją za rękę, na co ona uśmiecha się promiennie. Chwilę później przeszli przez ulicę jak dwoje małych dzieci i weszli do kawiarenki na rogu Piątej Alei i Czterdziestej Szóstej Ulicy. Wyszli po półgodzinie, wciąż trzymając się za ręce, i skierowali się do pobliskiego sklepu, gdzie zrobili pokaźne zakupy (każde wyniosło sporą torbę), po czym wrócili do siebie.

Na moment zanim zniknęli za obskurnymi metalowymi drzwiami, powiedziałam na głos:

– Jerry McFall.

Zatrzymali się jak wryci i odwrócili w moją stronę. Po raz pierwszy tamtego dnia zobaczyłam na twarzy McFalla tak dobrze mi znany wyraz – ten sam, który uchwycił fotograf robiący zdjęcie jemu i Nadine i który zapamiętali Monte i Yonah, i dziewczyny z „Royale”. Stary dobry Jerry. Nie powiedział ani słowa. Dziewczyna wodziła wzrokiem od niego do mnie i z powrotem, wyraźnie zbита z tropu.

– Jerry McFall – powtórzyłam. – Możemy porozmawiać?

W dalszym ciągu milczał, gapiąc się na mnie jak wół na malowane wrota, do tego musiał zmrużyć oczy, bo słońce świeciło zza moich pleców, ale ja nie poruszyłam się o włos, żeby mu ułatwić zadanie. Wreszcie nachylił się do swojej towarzyszki, szepnął jej coś do ucha, wręczając torbę z zakupami. Dziewczyna rzuciła mi jeszcze jedno zdziwione spojrzenie, obróciła się na pięcie i zniknęła w głębi budynku.

Od razu przeszłam do rzeczy.

– Szukam Nadine Nelson na zlecenie jej rodziców. Z tego co wiem, ostatnio widziano ją z tobą.

McFall znał różne sztuczki, wiedział więc, że przedłużające się milczenie zbija przeciwnika z pantałyku. Ze mną też prawie mu się udało. Prawie.

– Nie obchodzą mnie twoje ciemne sprawy. Po prostu chcę znaleźć Nadine.

Nie wiem, czy sprawiły to moje słowa czy to, że nie przestawałam go naciskać – w każdym razie nareszcie się odezwał. Głos miał taki, jaki zapamiętałam z dawnych czasów: niby słodki i łagodny, a w rzeczywistości przesycony gniewem.

– Żaden ze mnie Jerry McFall – powiedział – i nic nie wiem o żadnej Nadine.

Imię Nelsonówny dosłownie wypluł, jakby to było przekleństwo, i zaczął mocować się z drzwiami.

– Ej, ty! – złapałam go za rękaw koszuli. – Powiedz mi tylko, gdzie jest Na...

Podziałało. Nie wszedł do środka. Zamiast tego odwinął się i przywalił mi prosto w splot słoneczny. W jednej chwili stałam i szarpałam go za odblaskowożółtą koszulę, a w drugiej leżałam na chodniku, z trudem łapiąc powietrze i obmacując zębra. Do wesela się powinno zagoić – myślałam – ale boli jak cholera. Jerry dla pewności kopnął mnie jeszcze w plecy.

– Mówiłem przecież grzecznie, że żaden ze mnie Jerry McFall.

To powiedziawszy splunął i tyle go widziałam. Poleżałam trochę w pozycji

embrionalnej, próbując złapać oddech i walcząc z mdłościami, co trwało dłużej, niżbym sobie życzyła. Jakaś staruszka, cała ubrana na czarno, wracała ze sklepu, ciągnąc za sobą wózek pełen zakupów. Wymijając mnie, obdarzyła mnie kąśliwym spojrzeniem i wymamrotała:

– Przekłęci pijacy.

W domu byłam dopiero o drugiej po południu. Czułam się, jakby mnie kto przepuścił przez wyżymaczkę, więc tylko zatelefonowałam do Jima, żeby uspokoić go, że ze mną i z autem wszystko w porządku, po czym wdrapałam się na piętro, starannie zamknęłam za sobą drzwi pokoju, zrzuciłam ubranie i jak nieżywa padłam do łóżka.

Mimo wczesnej pory zasnęłam w okamgnieniu.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nazajutrz rano obudziło mnie walenie do drzwi. Podnosząc się z łóżka, poczułam ostry ból, toteż zanim wstałam, zadarłam piżamę i przyjrzałam się miejscu, w które przyłożył mi McFall. Skóra na brzuchu nabrała już purpurowofioletowego odcienia i wyglądała naprawdę paskudnie, lecz wiedziałam, że na tym się skończy – poboli mnie najwyżej do wieczora, a siniak zejdzie w ciągu paru dni. Uderzenie było silne, ale w swoim życiu zebrałam już mocniejsze razy. Mimo wszystko chwilę trwało, nim podeszłam do drzwi, i w tym czasie rytmiczne walenie przeszło w istny łomot, jak gdyby ktoś chciał zburzyć odgradzającą go ode mnie ścianę albo i cały budynek. Gliny – pomyślałam. Któż inny dobijałby się do mojego pokoju o dziewiątej rano? Jak dotąd wszelkie tego typu pobudki zawdzięczałam właśnie stróżom prawa.

Nie traciłam czasu na przebieranie się, bo to by ich tylko rozsierdziło, a sądząc po narastającym łomocie, już nie byli w najlepszym humorze. Ledwie przekręciłam klucz w zamku, do pokoju wepchało się dwóch gliniarzy – jeden w mundurze, drugi zaś w tanim garniturze i meloniku.

– Witaj, Springer – powiedziałam do tego w garniturze – masz jakieś dobre wieści?

– Nie dla ciebie, Flannigan – odparł burkliwie.

Obaj rozglądali się uważnie, a z ich oczu wyczytała podejrzliwość, jakby spodziewali się zobaczyć u mnie trupa na podłodze i hańdę brauna na nocnym stoliku. Springera znałam od niepamiętnych czasów. Zaczynał jako zwykły krawężnik na posterunku przy Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy, gdzie się niemal wychowałam, potem został awansowany na „złego glinę” przy przesłuchaniach, aż wreszcie dochrapał się pozycji detektywa w wydziale zabójstw. Mimo awansu wciąż musiał niewiele zarabiać, gdyż regularnie uderzał – dosłownie i w przenośni – do swych dawnych podopiecznych, zwłaszcza wtedy gdy zbliżał się termin płacenia czynszu. Springer był wielkim facetem o nalanej mięsistej twarzy, która rozpromieniała się w uśmiechu wyłącznie wówczas, kiedy było się z kogo pośmiać. Skłamałabym mówiąc, że darzyliśmy się sympatią. Tego drugiego nigdy wcześniej nie widziałam na oczy – był chyba młodszy ode mnie i zdaje się, że przeszedł do służb mundurowych prosto z ringu bokserskiego, albo po prostu lubił się bić, o czym świadczyła jego masywna, krępa i przysadzista sylwetka i sponiewierana twarz, która pewnie nigdy nie



grzeszyła urodą.

Odwrociłam się do nich plecami i poszłam do swojej „kuchni”, gdzie włączyłam maszynkę do kawy. Kątem oka widziałam, jak węszą po całym pokoju, najwięcej uwagi poświęcając pustym szklankom i czasopismom rozrzuconym na lawie.

– No więc, Flannigan, co to za historia z Jerrym McFallelem? – zapytał Springer, kiedy przestał już myszkować. – Leci ci pięć dolców? A może nie przyszedł na randkę?

Mundurowy sarknął pod nosem, co w jego wydaniu zapewne równało się śmiechowi. Oblicze Springera tryskało dumą z powodu błyskotliwości, jaką swoim zdaniem właśnie się wykazał.

– Nie znam żadnego McFalla – stwierdziłam bezbarwnym głosem.

– Co ty nie powiesz? – Springer pokręcił głową z niedowierzaniem. – To czemu od tylu ludzi słyszałem, że go szukasz?

– Nawet jeśli, to co z tego? Od kiedy to szukanie kogoś jest sprzeczne z prawem?

– Nie próbuj mnie przegadać, Josephine! – Springer z trudem hamował gniew. – Przymknij się albo ja ci zamknę tę twoją niewyparzoną jadaczkę...

Przymknęłam się. Z torebki wyciągnęłam kopertę, którą trzymałam tam na właśnie takie okazje – w środku tkwił nowiutki banknot dwudziestodolarowy.

– Oho, coś mi się zdaje, że w tym roku Gwiazdka nadeszła wcześniej niż zwykle...

Springer skwapliwie przyjął podany mu banknot, ale nadal stał i patrzył na mnie, zamiast regulaminowo zabrać dupę w troki i dać mi święty spokój.

– Słuchaj no – przybrałam bardziej ugodowy ton. – Na więcej mnie nie stać, sam zobacz, jak mieszkam...

Oczywiście miałam wciąż resztę honorarium, równiutkie dziewięćset dwadzieścia pięć dolarów i pięćdziesiąt centów schowane pod klepką podłogową pod łóżkiem. Nawet gdyby wpadło im do głowy przesunąć ciężkiego metalowego grata, nie znaleźliby skrytki, bo dopilnowałam, żeby klepka idealnie wróciła na swoje miejsce.

– Dzięki za dotację, Joe – rzekł Springer – ale tym razem to nie wystarczy.

I nie chodziło mu o kwotę, draniowi. To wtedy zorientowałam się, że sprawa jest poważniejsza, niż myślałam. Nie mając wyjścia, pozwoliłam im przeszukać pokój, podczas gdy sama siedziałam i piłam świeżo zaparzoną kawę. Zaglądali we wszystkie nudne miejsca, w jakich tępy złodziejasek mógłby ukryć swój łup: pod materac i do komody, nawet do słoika z cukrem. Przeglądając zawartość szuflady z bielizną mieli niezły ubaw, ale chwilę potem ogarnęła ich złość, że nic nie znaleźli, i jednym ruchem wyrzucili wszystko na podłogę, po czym z wyraźną przyjemnością zmietli ze stołu całe szkło. Niemniej wynik ich

poszukiwań pozostał taki sam, ponieważ w moim skromnie urządzonej pokoju nie było nic do znalezienia.

– Jeśli szukacie narkotyków, możecie sobie dać spokój – poradziłam im spokojnym głosem. – Od dawna jestem czysta i doskonale o tym wiecie.

– Nie szukamy narkotyków – wypluł z siebie Springer. – Mam w dupie, czy ćpasz czy nie. Interesuje nas broń.

Chyba za krótko spałam, bo nie bardzo zrozumiałam.

– Broń? Dlaczego?

– Bo zeszłej nocy ktoś zastrzelił Jerry’ego McFalla. – Popatrzył na mnie z satysfakcją.

– Tak, dobrze słyszałaś. Domyślałam się, że jesteś w szoku i zaraz pogrążysz się w żałobie, ale na mój użytek nie musisz przybierać takiej cierpiętniczej miny.

Postarałam się zmienić wyraz twarzy, choć Bóg mi świadkiem, nie miałam pojęcia, jaką minę przybrałam.

– McFall zginął minionej nocy – powtórzył Springer – i podejrzewamy, że to ty go zabiłaś. Pewna miła staruszka widziała cię w pobliżu miejsca jego zamieszkania, no i popytałam trochę, co ostatnio porabiałaś, a że głównie szukałaś McFalla, sprawa jest właściwie jasna.

Nie wiedziałam, co powiedzieć na takie dictum, toteż przez długą chwilę nie mówiłam nic. Springerowi znudziło się czekanie, aż odzyskam język w gębie, więc mnie uprzedził:

– Ubieraj się, Joe. Pójdiesz z nami.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

W wozie policyjnym opowiedziałam Springerowi o Nelsonach. O tym, jak wynajęli mnie, bym odnalazła ich córkę, i że McFalla szukałam wyłącznie dlatego, że Nadine włączyła się ostatnio właśnie z nim. Podałam nawet numer telefonu i adres biura, w którym odbyła się nasza rozmowa – w końcu w zaistniałej sytuacji zbyt wiele miałam do stracenia, by przejmować się niedotrzymaniem tajemnicy zawodowej, o ile coś takiego w ogóle mnie dotyczyło.

– Taa... – Springer zaśmiał się paskudnie. Jego partner mu zawtórował. Przypuszczałam, że nawet nie wie, z czego rzy, i że po prostu naśladuje we wszystkim swojego szefa. – Chcesz mi wmówić, że spośród wszystkich ludzi w Nowym Jorku ktoś wybrałby naćpaną kurewkę, żeby odnalazła mu dziecko? Josephine, nie przeginaj, dobrze? I nie obrażaj mojego intelektu.

Potem poinformował mnie, że McFalla znaleziono martwego minionego wieczoru około ósmej w mieszkaniu jego dziewczyny w Sunset Park. Choć poznali się zaledwie parę dni temu – McFall poderwał ją w jakimś barze – ślicznotka już pozwoliła mu się do siebie wprowadzić. Wczoraj wyszła na spotkanie z przyjaciółką, a kiedy wróciła do domu, zastała Jerry'ego w kałuży krwi, z dziurą w piersi. Zasłyszawszy, że od pewnego czasu węszyłam za Jerryem, kiedy jeszcze żył, Springer powziął podejrzenie, że maczałam w tym palce. Oczywiście nie zdradził, kto mu podsunął ten pomysł.

Wtedy naprawdę zaczęłam się bać.

Chwilę potem dojechaliśmy na posterunek przy Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy, gdzie przywitał nas dyżurny sierżant.

– Witam pana, detektywie. Cześć, Josephine...

– Czołem, Phillips.

Uśmiechnęłam się ponuro na widok paru znajomych twarzy – zarówno wśród funkcjonariuszy, jak i aresztantów, którzy czekali na swoją kolejkę – uznałam jednak, że to nie jest właściwy moment, by nawiązać z kimkolwiek towarzyską pogawędkę. Zresztą nawet gdybym chciała zamienić z kimś parę słów, nie dałabym rady, gdyż Springer już mnie ciągnął do pokoju przesłuchań. Wyposażenie wyglądało znajomo: stalowy stół przyśrubowany do podłogi, cztery ciężkie, stalowe krzesła i pomalowane na szarobury kolor ściany, w których

nie było ani jednego okna. Bardzo możliwe, że już kiedyś tam byłam.

– Byłaś tutaj, Joe – powiedział Springer, jakby czytając w moich myślach. Zajął miejsce naprzeciwko mnie i wolnym ruchem sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. – Jakieś dwa albo trzy lata temu, pamiętasz? Siedziałaś na tym samym krześle i milczałaś jak zaklęta, nawet wtedy gdy powinnaś była błagać o działkę hery... Zamiast tego trzęsłaś się tylko i pociłaś jak mysz, a potem zarzygałaś sobie całą sukienkę. Zgadza się?

– Zgadza się – potwierdziłam matowym głosem.

Springer zapalił papierosa i wydmuchnął dym w moją stronę.

– Ile wtedy dostałaś? Miesiąc? Trzy miesiące?

– Miesiąc – przełknęłam ciężko ślinę. Sama chętnie bym zapaliła, ale za nic nie chciałam się prosić. – Za naruszenie porządku publicznego.

– A wcześniej? Wtedy gdy przyskrzyniliśmy cię za kradzież? Co to takiego było, bo już nie pamiętam?

– Sukienki u Saksa przy Piątej Alei – przypomniałam mu.

– Otóż to! – rozpromienił się Springer. – Ile ci za to wlepili?

– Pół roku.

Nie raz w przeszłości tak się przekomarzaliśmy, przywołując wydarzenia, w których wyniku nasza znajomość się zacieśniała, lecz tym razem tylko Springer dobrze się bawił. Tym razem w grę wchodziło morderstwo, a to kazało mi się pilnować i zachowywać czujność na każdym kroku.

– Zapalisz? – spytał nagle, jakby się zorientował, że nie zachowuje się jak na dżentelmena przystało.

– Pewnie.

Wyjął papierosa z prawie pustej już paczki, włożył go sobie do ust, przystawił doń zapalniczkę, po czym podał mnie. Drugą ręką przesunął w moją stronę popielniczkę, tak że znalazła się równo pośrodku stołu. Musiałam użyć całej siły woli, by nie zaciągać się łapczywie.

– A przedtem?

– Pół roku za posiadanie narkotyków... A jeszcze wcześniej współudział we włamaniu – informowałam dalej sama z siebie. – Słynny napad Minellego.

Springer roześmiał się szczerze.

– O, wtedy mało brakowało, a poszłabyś sobie posiedzieć na dłużej.

Uśmiechnęłam się, choć wcale nie było mi do śmiechu.

– No, ale wykręciłam się psim śwędem. Sędzia miał do mnie słabość...

– Dalej, Joe, mów jak na spowiedzi, bo nie chce mi się iść po twoje akta. Mam je gdzieś na biurku, ale dawno tam nie robiłem porządku...

Zmarszczyłam brwi, próbując się skupić.

– Raz czy dwa przymknęli mnie za posiadanie narkotyków, z pięć razy byłam oskarżona o zakłócanie porządku publicznego, nagabywanie i oferowanie swoich usług... Kiedyś udowodniono mi kradzież, miałam wtedy z osiemnaście lat...

Springer słuchał, kiwając głową i patrząc na mnie z dziwnym wyrazem twarzy – niemal tak, jakby mi współczuł albo był po mojej stronie.

– No, wtedy ci się powinęła noga, pewnie z braku doświadczenia – rzucił. – Ale wiesz co? Naprawdę jesteś dobra w tym, co robisz. Tylko dwie udowodnione kradzieże w ciągu długiego życia, w którym niewiele innego robiłaś... Radzisz sobie o niebo lepiej niż większość tych ofiar tutaj – machnął ręką w kierunku korytarza.

– Dzięki.

Springer znów się na mnie zapatrzył z tym dziwnym wyrazem twarzy, do tego doszła pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami, jak gdyby usilnie nad czymś myślał.

– Wiesz, Joe, zawsze uważałem cię za spryciarę – powiedział w końcu. – Zawsze żałowałem, że twoje życie potoczyło się tak a nie inaczej, że nawet nie dostałaś swojej szansy, wychowując się u boku tej kobiety... Strasznie wcześnie wzięłaś na swoje barki odpowiedzialność za dom i za Shelley, puszczałaś się niemal jako dzieciak, żeby było co do garnka włożyć. To znaczy zanim wpadłaś po uszy w to gówno, na długo zanim poznałaś Montego. Tysiąc razy mogłaś dać nogę, ale nie zrobiłaś tego, bo nie chciałaś zostawić młodszej siostry na pastwę losu. To ci się chwali, Joe, naprawdę. Odwaliłaś kawał dobrej roboty, wyprowadzając tę małą na ludzi... Zapewniłaś jej wikt i opierunek, łożyłaś na jej lekcje tańca i aktorstwa, to dzięki tobie wyrwała się z Hell's Kitchen i dostała swoją pierwszą uczciwą pracę. Jak widzę jej zdjęcia w gazetach, czuję swego rodzaju dumę, wiesz? I tym bardziej mi szkoda, że sama spisałaś się na straty. Wyszłaś za tego dupka, dałaś mu się wpędzić w nałóg...

– Dzięki, Springer – wpadłam mu w słowo – ale naprawdę nie było tak źle.

Popatrzył na mnie spode łba.

– Po prostu próbuję ci uświadomić, Joe, że to, w co teraz wdepnęłaś, to zupełnie inna sprawa niż tamte wcześniejsze wybryki. Nigdy ci się porządnie nie oberwało, dostawałaś góra pół roku... Ale teraz chodzi o morderstwo! Bekniesz za to solidnie, dostaniesz dożywocie albo nawet czapę, bez względu na to czy spodobaś się sędziemu czy nie, i nic tu nie pomogą twoje Izy. Nie masz już osiemnastu lat, Joe, takie sztuczki na nikim nie zrobią wrażenia.

– Wiem – odpadam, zduszając niedopałek. Żadna z moich sztuczek nie robiła na nikim wrażenia od bardzo dawna. – Tyle że to nie ja zabiłam McFallę. Musisz mi uwierzyć, Springer, bo mówię ci tu szczerą prawdę.

W odpowiedzi rozciągnął usta w uśmiechu i zapalił dla mnie następnego papierosa.

– Joey – pokręcił głową – chyba nie słuchałeś, co do ciebie mówiłem. Od kwadransa staram ci się uświadomić, że jeżeli się przyznasz, może zdołam cię wybronić od krzesła elektrycznego. Masz na to moje słowo. Jak dobrze pójdzie, powinniśmy wynegocjować ładny króciutki wyrok, zawsze znajdują się jakieś okoliczności łagodzące, co nie? – puścił do mnie oko. – Z pewnością miałeś dobry powód, żeby drania zastrzelić. Znam cię nie od dziś, Joe, i po prostu wiem, że nigdy nie zrobiłabyś czegoś takiego bez naprawdę ważnego powodu... No i sąd na pewno weźmie pod uwagę, w jakich warunkach się wychowywałaś, jaką miałaś matkę i to wszystko, co zrobiłaś dla Shelley. Więc mów mi tu wszystko jak na spowiedzi – zażądał.

Zatem opowiedziałam mu raz jeszcze o Nelsonach, o każdym swoim kroku, odkąd przyjąłem zlecenie, i o tym, w jaki sposób dowiedziałam się, że Nadine ma coś wspólnego z Jerryem McFalle. Springer nie był naiwny, wiedział, że Monte i Yonah nadal ćpają i że „U Rosy” i w „Royale” w najlepsze odchodzi prostytutka, toteż nie miałam powodu, by cokolwiek zataić. Rzeczywiście wyznałam wszystko jak na spowiedzi. Kiedy skończyłam, Springer wybuchnął śmiechem.

– Josephine, daj spokój...

Nagle umilkł, zerwał się z miejsca, złapał popielniczkę i cisnął ją nad moją głowę w ścianę z tyłu.

– Do cholery, Joe! – ryknął na całe gardło. – Przyznaj mi się zaraz albo przysięgam, że rozwalę ci ten głupi łeb!!

Siedziałam bez ruchu, wlepiając wzrok w blat stołu. Kątem oka widziałam, jak popiół z popielniczki z wolna osiada na nielicznych sprzętach, jak gdyby w pokoju przesłuchań rozpadał się śnieg, który był już brudny, zanim dotknął ziemi. Słyszałam ciężki oddech Springera, kiedy podchodził do stołu i siadał na swoim krześle, wkrótce potem w moim polu widzenia pojawiła się jego nalana, poczerwieniała z gniewu twarz.

– Podnieś popielniczkę, Joe – powiedział z pozorami spokojnym głosem.

Posłusznie wstałam, ujęłam puste naczynie z grubego szkła, które wytrzymało impet uderzenia, i postawiłam je pośrodku stołu.

– Zapalimy? – spytał.

Kiwnęłam głową.

Wyciągnął dwa ostatnie papierosy, jednego przypalił dla siebie, drugiego dla mnie i mi go podał. Przez chwilę paliliśmy w milczeniu, a jego twarz powoli odzyskiwała swą normalną barwę. Ciszę przerwało pukanie do drzwi. Springer ryknął, żeby wejść, i w niewielkiej szparze pokazała się głowa jakiegoś żółtodzioba, który ze strachu o mało co nie narobił w gacie.

– Przepraszam na moment...

Obaj zniknęli na korytarzu. Nie zdążyłam wypalić papierosa do połowy, kiedy Springer był z powrotem. Sam.

– O'Reilly sprawdził te numery, które nam podałaś... Nic tam nie ma.

Zatkało mnie.

– Co? Jak to: nic tam nie ma?

Springer wzruszył ramionami.

– Ktoś cię nabił w butelkę, Joe. Nawet jeśli faktycznie był ktoś, kto by cię krył, gość poszedł po rozum do głowy. W biurze Nelsona – Springer sarknął – nikt nie odbiera. Linia jest głucha. Pewnie twój wspólnik postanowił zaszaleć za te parę dolców, które mu dałaś na rachunek telefoniczny, i poszedł w ciąg. No dalej, Joe, przyznaj, że nigdy nie było żadnych Nelsonów.

„Nigdy nie było żadnych Nelsonów...” – odbijało się echem w mojej głowie. Długą chwilę nic nie mówiłam, próbując sobie wszystko poukładać. Wreszcie zareagowałam jak automat:

– Springer, przysięgam, że rozmawiałam z Nelsonami. Znajdę ich i ci przyprowadzę...

„Nigdy nie było żadnych Nelsonów...” Po raz pierwszy tamtego dnia zrozumiałam, do czego cały czas zmierzał Springer. Skoro nie było zleceniodawców, którzy mogliby potwierdzić moje słowa, sytuacja przedstawiała się naprawdę kiepsko. No ale przecież oni istnieją – pocieszałam się w duchu. – Pewnie linia się zawiesiła albo zepsuł się telefon w biurze, albo ten cały O'Reilly nie potrafił dobrze wybrać numeru...

– ...tak jak ci mówiłem, Joe – z zamyślenia wyrwał mnie twardy głos Springera – im szybciej się przyznasz, tym lepiej. Nie licz na to, że ktokolwiek uwierzy w twoją bajeczkę o pracy detektywa!

– Znajdę ich – powtórzyłam, starając się nadać głosowi pewne brzmienie. Było to o tyle trudne, że powoli zaczynałam tracić tę resztkę pewności siebie, którą jeszcze miałam. – Znajdę ich i wtedy zobaczysz, że mówiłam prawdę.

Springer popatrzył na mnie groźnie.

– Nie przeciągaj struny, Joe. Oboje wiemy, że wszystko zmyśliłaś. Na litość boską, kto

by cię wynajął, żebyś odszukała mu dziecko?! Ale jak na razie nie mam przeciwko tobie żadnych dowodów, nic, co by cię łączyło ze śmiercią McFalla, i niestety muszę cię puścić wolno.

Wstałam, ale Springer skinął na mnie ręką, kazując mi na powrót usiąść.

– Z drugiej strony coś tam jednak na ciebie mam. Wiem, że węszyłaś za McFallem i nawet mam na to świadków. Ty oczywiście możesz powiedzieć, że go nie znasz i że szukałaś go tylko ze względu na Nadine Nelson – prychnął – ale policja i sąd połączą inne fakty. Zналиście tych samych ludzi, on był dilerem, ty jesteś narkomanką, piękny przykład na porachunki w świecie ćpunów, zresztą co ja ci będę mówił. Wpadłaś w gówno po same uszy, Joe, i nie wygląda na to, byś miała z tego wyjść czysta.

Wreszcie, kiedy uznał, że napędził mi wystarczająco dużo strachu, kazał mi się zabierać. Na odchodnym usłyszałam jeszcze, że mam dbać o siebie i nie robić żadnych głupot, bo będą mnie mieli na oku.

Opuściłam posterunek najszybciej jak potrafiłam i zatrzymałam się dopiero przy najbliższej budce telefonicznej. Wybrałam domowy numer Nelsonów, pod który miałam dzwonić, by zdawać im relację z poszukiwań, ale zamiast oczekiwanego głosu Nathaniela czy Maybelline usłyszałam kogoś obcego.

– Czy to dom państwa Nelsonów? – spytałam z drżeniem serca.

– Tu centrala. Poprzedni abonent został odłączony.

– Jest pani pewna? Jak to w ogóle możliwe? Nie wydaje mi się, żeby ludzie ot, tak zmieniali numer telefonu.

– Proszę pani – kobieta na centrali zaczynała się niecierpliwic – oczywiście, że jestem pewna.

Rozłączyłam się nawet jej nie podziękowawszy, po czym od razu wybrałam numer biura Nelsona. W słuchawce odezwał się ten sam kobiecy głos co przed chwilą. Nie widziałam sensu, by znów z nią dyskutować.

Taryfą podjechałam w miejsce, gdzie zaparkowałam wóz Jima, przesiadłam się i z piskiem opon ruszyłam w stronę Fulton Street. Przez całą drogę rozmyślałam o tym, co powiedział Springer: „Chcesz mi wmówić, że spośród wszystkich ludzi w Nowym Jorku ktoś wybrałby naćpaną kurewkę, żeby odnalazła mu dziecko?”

Cóż, teraz nawet mnie z trudem przychodziło w to uwierzyć.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W biurowcu przy Fulton Street przywitał mnie ten sam odzwierny co wtedy, zignorowałam tego samego portiera i ta sama winda zawiozła mnie na piąte piętro. Drzwi do biura Nelsona nie były zamknięte na klucz. Otworzyłam je, weszłam do środka i czując, jak ogarniają mnie dreszcze, rozejrzałam się dookoła. W ułamku sekundy zebrało mi się na mdłości.

Biurko zniknęło razem z maszyną do pisania i ebonitowym aparatem telefonicznym, skórzanymi fotelami, fikuśnym stolikiem, puszystym dywanem i ładniutką brunetką rządzącą tym królestwem. Nie było nawet paskudnego pejzażu na ścianie. Wszystko co pozostało to kawałek przewodu wystający z gniazdka telefonicznego. Na miękkich nogach przeszłam do drugiego pokoju. Również świecił pustkami. Przez duże, niczym nie osłonięte okno, wpadały promienie popołudniowego słońca, w których tańczyły drobinki kurzu. Przy każdym moim stąpieniu rozlegało się upiorne echo.

Mdłości nie ustąpiły, za to dołączyły do nich zawroty głowy, tak że musiałam przysiąść na gołej podłodze, żeby dojść do siebie. Chwilę potrwało, nim pomieszczenie przestało wirować mi przed oczami.

Niemniej nadal było całkowicie opustoszałe.

Wciąż lekko się trzęsłam, zjeżdżając windą na parter i podchodząc do portiera, by zapytać go, co stało się z panem Nelsonem.

– Z panem Nelsonem? – powtórzył niepewnie.

– Z tym prawnikiem z piątego piętra – dodałam. Przeraził mnie ton własnego głosu: brzmiał tak, jakbym o coś błagała.

Mężczyzna popatrzył na mnie spod chabrowego daszka czapki ze złotym otokiem, wzruszył nieznacznie ramionami i powiedział:

– Chwileczkę, zaraz sprawdzę. – Sięgnął pod kontuar i wyciągnął stamtąd imponujących rozmiarów księgę, z rodzaju tych, do których można wpiąć dowolną liczbę kartek, a także usunąć je bez śladu, i zaczął kartkować. Doszedłszy do litery „N”, podniósł na mnie wzrok i zasugerował: – Może to była firma Nation?

– Nie.

– Pan Norman? – spróbował ponownie.

– Nie – odparłam, tracąc cierpliwość. – Jestem przekonana, że chodzi o Nelsona.

– Przykro mi, panienko, nie mamy tu żadnego Nelsona.

– Piąte piętro – błaganie w moim głosie było wyczuwalne chyba nawet dla niego – ostatnie drzwi.

Portier wyglądał na szczerze zdziwionego.

– To biuro stoi puste od wielu miesięcy. Naprawdę bardzo mi przykro...

Po wyjściu z biurowca wsiadłam do wozu Jima i pokręciłam się trochę po ulicach, bo zawsze najlepiej myślało mi się za kółkiem, a poza tym ręce w dalszym ciągu mi się trzęsły, a zęby dzwoniły, toteż nie czułam się na siłach, by zrobić cokolwiek innego.

Jadąc przed siebie, doszłam do wniosku, że musiało być tak: Jerry McFall podprowadził komuś sporą ilość heroiny i ten ktoś chciał ją odzyskać, choćby po trupach, tyle że nie miał pojęcia, gdzie szukać złodzieja. Gdyby zaczął o niego wypytywać – tak jak ja – wystawiłby się policji na strzał – tak jak ja – więc przezornie zatrudnił parę ludzi: aktorów na zasiłku, oszustów, znajomych winnych mu przysługę czy kogo tam, żeby odegrali przede mną zatroskanych Nelsonów, gdyż dostał cynk, że Jerry i Nadine są razem. Każdy by się na to złapał – nie tylko ja; w końcu odnaleźć zagubioną dziewczynę to chwalebny czyn, zwłaszcza że w grę wchodził tysiąc, a może nawet i dwa tysiące dolarów. Z kolei nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby, że uczciwy człowiek szuka McFalli. Tak więc „Nelsonowie” zatrudnili mnie, bym odszukała ich córkę, i dali mi zadatek, który zapewne stanowił niewielką część wartości ukradzonej heroiny. Główny zleceniodawca deptał mi po piętach, a kiedy naprowadziłam go na trop McFalli, rozprawił się z nim, strzelając mu prosto w serce i odbierając swoją własność. A ja obudziłam się z ręką w nocniku.

Dopiero gdy się nieco uspokoiłam, zaczęłam zwracać uwagę, dokąd jadę, i z niemałym zdziwieniem skonstatowałam, że znalazłam się na Czterdziestej Drugiej Ulicy, tuż przy parku Bryanta. Zaparkowałam przy najbliższym hydrancie, ale nie od razu wysiadłam z wozu.

Długą chwilę walczyłam sama ze sobą, czując, jak ogarnia mnie szaleństwo głodu. Mięśnie mi zwiotczały, usta wypełnił kwaskowaty posmak, jak gdybym ostatni raz dała sobie w żyłę osiem godzin wcześniej, a nie dwa lata temu. Jak gdybym nigdy nie była czysta. Do tego dochodziła świadomość, że Monte jest w parku. Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości, podobnie jak byłam stuprocentowo pewna, że podzieli się ze mną tym, co ma

schowane na czarną godzinę, i że zrobi to z radością. Mogłam się u niego zatrzymać do czasu, aż przyjdzie po mnie Springer albo aż hera upomni się o swą kolejną ofiarę – w zależności od tego co stałoby się wcześniej. Jim trochę by za mną popłakał, Monte chyba też, może jeszcze parę osób, ale niezbyt wiele i niezbyt długo. Shelley... cóż, prawda była taka, że Shelley już mnie nie potrzebowała. Sama dała mi to do zrozumienia, i to nie raz. Zrobiłam dla niej co się dało, tego nikt nie mógł mi odebrać, ale teraz stanowiłam dla niej tylko ciężar. Tak naprawdę nikt by za mną nie tęsknił.

Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Nawet gdyby udało mi się oczyścić z zarzutów w sprawie McFalla i jakimś cudem uniknąć stryczka, istniały duże szanse, że znów zacznę brać, tak jak robili to wszyscy, których znałam. Przecież nie byłam w niczym lepsza od Yonaha, Montego czy Cory – a każde z nich rzucało ćpanie przynajmniej kilkadziesiąt razy i proszę, gdzie teraz byli? W moim wypadku powrót do nałogu oznaczał rychłą śmierć, czułam to. Niektórym udawało się jarać do starości, bo nigdy nie kupili towaru zbyt czystego albo wymieszanego ze strychniną, nigdy nikomu nie podpadli i nie dali się złapać glinom, lecz ja nie miałam tyle szczęścia. Mówiąc ściśle: miałam w życiu wiele szczęścia, ale zasranego. Nawet jak byłam dzieckiem i do Hell's Kitchen przychodziły dobre bogate panie, żeby wyłuskać spośród biedoty małych geniuszy albo małe piękności i im pomóc, czy to kupując im jedzenie i temperując rodziców, czy to posyłając do lepszej szkoły albo – tylko z rzadka – adoptując, dla mnie nikt nigdy nie kiwnął palcem. Przypuszczam, że miałam wypisane na czole: „Z Josephine Flannigan nie wyrosnie nic dobrego”. Pamiętam, jakiego szoku doznałam, gdy pewna moja koleżanka powiedziała kiedyś przy mnie, że będąc dzieckiem chciała zostać nauczycielką lub pielęgniarką. Ja nigdy nie miałam podobnych marzeń, bo od małości wiedziałam, że nie mam szans na normalne życie. Wszyscy wokół rokowali mi, że stanie się cud, jeśli dotrwam do dwudziestki, a o tym, żebym w jakim takim zdrowiu miała przekroczyć trzydziestkę, nikt nawet nie wspomniął inaczej niż w żartach. Tymczasem udało mi się i bardzo nie podobała mi się myśl, że gdzieś ktoś życzy mi teraz, bym nie dożyła czterdziestych urodzin. Chciałam decydować o sobie sama. Nie potrzebowałam, by Springer, Monte czy heroína babrali się w moim życiu. Być może nie było ono wiele warte, zgoda, ale było moje własne. Tylko ja wiedziałam, czym okupiłam każdy dzień swego istnienia, i z pewnością nie miałam zamiaru z niego zrezygnować dla czyjegós widzimisię.

Postanowiłam trzymać się życia pazurami, dopóki sama nie będę gotowa odejść.

Postanowiłam, że dowiem się, kto mnie zrobił i kto zabił McFalla. Ani mi było w głowie doprowadzić drania przed wymiar sprawiedliwości. Kiedy już go dopadnę – myślałam

– sama się nim zajmę.

Zamiast więc wysiąść z wozu, podjechałam jeszcze kawałek i znalazłam przyzwoity jak na tę okolicę parking, po czym przeszłam park na wskroś, zmierzając do biblioteki. Ignorowałam znajome miejsca i słabość w kolanach, skupiając się na świeżo wytyczonym celu. Na miejscu poprosiłam bibliotekarkę o wykaz prawników praktykujących w Nowym Jorku.

– Ma pani na myśli książkę telefoniczną? – spytała z sardonicznym uśmiechem, niezadowolona, że przerwałam jej pasjonującą lekturę. Na blacie przed nią leżała otwarta powieść w wydaniu kieszonkowym, zatytułowana „Morderstwo na Manhattanie”. – A może chodzi pani o „Who’s Who” albo kroniki towarzyskie?

– Chodzi mi o wszystkie trzy tytuły – odparłam, starając się nadać głosowi równie wyniosłe brzmienie. Miałam ochotę skopać sobie tyłek za to, że nie wpadłam na pomysł przejrzzenia książki telefonicznej.

Kobieta zaśmiała się.

– Chwileczkę... – Schyliła się za kontuarem i ze stęknieniem położyła na nim trzy opasłe tomiszczą. Kiedy rzuciłam się na pierwsze z brzegu i chciałam je otworzyć, bibliotekarka potrząsnęła głową i wskazała mi stolik po przeciwnej stronie. – Czytelnia jest tam.

Wzruszyłam ramionami, położyłam książki jedną na drugiej i postępując zaniósłam we wskazane miejsce.

Nathaniela Nelsona nie znalazłam ani w kronikach towarzyskich, ani w „Who’s Who”. Niemniej był wyszczególniony w książce telefonicznej.

*Nathaniel Nelson, Nelson i Spółka, 667 Madison Avenue...*

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Pod numerem 667 na Madison Avenue wyrastał z ziemi budynek zrobiony prawie wyłącznie ze szkła i tak wysoki, że chcąc zobaczyć ostatnie piętro, trzeba było niemal wyłamać sobie kark. Od razu wiedziałam, że dostępu do pana Nelsona będzie bronić więcej niż jedna ładna dziewczyna, ale w najśmielszych wyobrażeniach nie przewidziałam aż czterech! Pierwsza, recepcjonistka w hallu na dole, nie była groźnym przeciwnikiem – po prostu poleciła mi wjechać windą na trzecie piętro, skręcić w prawo i zadzwonić do zamkniętych drzwi. Zrobiłam, jak kazała, i znalazłam się w dużym pomieszczeniu umeblowanym nowoczesnymi meblami i wyłożonym grubym dywanem; królowała tam brunetka cała ubrana na różowo. Z tą nie poszło mi już tak łatwo. Wypytała mnie, jakiej natury jest moja sprawa do pana Nelsona („Prywatnej” – odparłam) i jak się nazywam (podałam swoje prawdziwe nazwisko, przyglądając się uważnie twarzy mojej rozmówczyni w poszukiwaniu śladów jakiejś reakcji, nadaremno jednak). Zatelefonowała dokądś, przez chwilę mówiła do słuchawki przyciszonym głosem, po czym odwróciła się do mnie i łaskawie pozwoliła mi wjechać kolejne dwa piętra wyżej. Na górze miałam skręcić w lewo i znaleźć drzwi z tabliczką „Zarząd”, które otworzyła mi blondynka w błękitach. Nie uszło mojej uwagi, że dziewczęta były coraz ładniejsze. Litania pytań się powtórzyła, odpowiedzi już znałam na pamięć – niestety i tutaj nikt nie słyszał o Josephine Flannigan, chyba że w szkołach dla sekretarek uczyli obecnie także aktorstwa. Doszłam do wniosku, że nie nadawałabym się na sekretarkę, ba, więcej nawet: cieszyłam się, że nie muszę dzień w dzień zrywać się skoro świt z łóżka, by zdążyć do biura przed szefem, żeby tam parzyć mu kawę, otwierać dlań listy i wysyłać jego przepecone koszule do pralni – jednym słowem robić wszystko, by jego życie było znośniejsze – cały czas mając nadzieję, że pewnego dnia mnie zauważy i doceni, co oczywiście nigdy nie miało nastąpić.

Blondynka także skontaktowała się z kimś przez telefon, konferowała chyba z minutę, po czym powiodła mnie przez następne drzwi. Czwarta z kolei dziewczyna nadawała się do Hollywood. Miała kruczoczarne włosy i przepastne oczy, w których można było zatonać, a ubrana była w połyskujący czarny kostiumik, po którym na odległość poznać było, że został uszyty na miarę. Jej elegancko odziana sylwetka idealnie harmonizowała z mahoniową boazerią, dębowymi meblami i ciemnobrązowymi skórzanymi obiciami. No – pomyślałam –

jestem w domu, chyba że dalej czeka na mnie Miss World w bikini pośród ścian obitych futrem z norek.

– W czym mogę pani pomóc, panno Flannigan? – zapytała czarnula śpiewnym głosem, uśmiechając się do mnie miło.

– Chciałabym widzieć się z panem Nelsonem.

– Pan Nelson zazwyczaj nie przyjmuje nikogo, kto nie był wcześniej umówiony – poinformowała mnie. – Ma niezwykle napięty terminarz spotkań. Czy zechce mi pani wyjawić, w jakim celu chce się pani z nim widzieć?

Wciąż się uśmiechała. Przypuszczam, że wchodziło to w zakres jej obowiązków. Patrzyłam na jej mlecznobiałą cerę i czułam się jak garbuska w pałacu. Mimo to za nic nie zamieniłabym się z nią na rolę.

– Moja sprawa jest natury osobistej.

– A ja jestem osobistą sekretarką pana Nelsona. Myślę, że może mi pani zdradzić, czego dotyczy pani sprawa. – Teraz dosłownie rozpływała się w uśmiechach.

– Jego córki – odparłam krótko.

Z satysfakcją obserwowałam zmiany zachodzące na jej twarzy.

– Cóż, w takim razie proszę za mną – wstała zza biurka i poprowadziła mnie przez jeszcze jedne drzwi, które otwierały się na mały korytarzyk wiodący wprost do gabinetu Nathaniela Nelsona.

Był to oczywiście gabinet narożny, z widokiem na miasto ciągnącym się za przeszklonymi ścianami, o powierzchni mniej więcej stu metrów na kilometr. Wszystkie meble były z litego drewna, tak że człowiekowi wydawało się, iż jest w lesie, zwłaszcza że grubaśny dywan tłumiał kroki niczym poszycie z mchu – ledwie po nim stapałam w swych butach na wysokim obcasie.

– Panie Nelson – dokonała prezentacji osobista sekretarka – oto panna Flannigan.

Nelson siedział za ciężkim mahoniowym biurkiem rozmiarów cadillaka, skąd miotał spojrzenia mówiące, że jest bardzo ważnym i zajęтым człowiekiem i lepiej, żebym o tym nie zapomniała. Dobijał do wieku średniego, był kwadratowy w ramionach i blondwłosy, choć z nitkami siwizny tu i ówdzie. Nigdy przedtem go nie widziałam.

– Proszę siadać – władczym gestem wskazał krzesło stojące po przeciwnej stronie biurka. Nie uśmiechnął się przy tym ani nie wstał, kiedy siadałam. – Panno Flannigan, co pani ma mi do powiedzenia o mojej córce? Mam nadzieję, że więcej niż policjanci, którzy również złożyli mi dziś wizytę...

– Czy pańska córka ma na imię Nadine? – spytałam. Nelson potaknął. – Czy ma pan

może jakieś jej zdjęcie?

Pomiędzy jego ściągniętymi brwiami pojawiła się bruzda. Popatrzył na mnie podejrzliwie i zapytał:

– O co tu chodzi? Kim pani właściwie jest?

– Jestem prywatnym detektywem... czy raczej pracuję dla prywatnego detektywa – powiedziałam. – Mamy podstawy, by sądzić, że pańska córka była świadkiem zbrodni...

– Jakiego rodzaju zbrodni? – przerwał mi obcesowo.

– Panie Nelson – pokręciłam głową, jakby właśnie zadał najśmieszniejsze pytanie pod słońcem – jest pan prawnikiem, rozumie więc pan wymogi tajemnicy zawodowej. Mam do pana tylko parę pytań, to nie zajmie długo – zapewniłam go, widząc, że zamierza wezwać swoją asystentkę. – Zatem wspomniał pan, że była u pana policja...

Sama nie wiem, jak udało mi się przemawiać doń takim głosem – gładkim i uspokajającym, choć zarazem nieco śliskim – nigdy wcześniej tak nie mówiłam, ale uznałam, że w danych okolicznościach wypada bardzo dobrze. I co najważniejsze – działa.

Nelson ponownie skinął głową.

– Zasyпали mnie masą pytań, ale sami nie zdradzili się nawet słówkiem. Proszę mi przynajmniej powiedzieć, co to za historia z Nadine i jakąś zbrodnią?...

Zamiast odpowiedzieć wprost, odparłam:

– Wcale mnie nie dziwi, że policja już tutaj była.

Oczywiście w głębi ducha zdziwiłam się, że Springer jednak postanowił sprawdzić moją wersję. Z tego co sama zobaczyłam, moje alibi nie wypadło zbyt przekonująco, niemniej postanowiłam kontynuować grę.

– Będę potrzebowała tych samych informacji, których udzielił pan policjantom. Jak pan zapewne wie z własnej praktyki, stróże prawa nie zawsze stają na wysokości zadania... Zatem czy ma pan jakieś zdjęcie Nadine?

Na biurku stały trzy fotografie w ramkach – wszystkie obrócone w stronę Nelsona, tak że ich nie widziałam, wszakże byłam przekonana, że przynajmniej jedna z nich przedstawia Nadine. Myliłam się. Nelson sięgnął do górnej szuflady, poszperał w niej chwilę, po czym wydobył na wierzch zdjęcie w srebrnej oprawie i mi je podał. Widniała na nim Nadine, zanim jeszcze zeszła na złą drogę. Ubrana była na białą, w satynową suknię o gorsecie z małych kwiatuśzków – prawdopodobnie właśnie wprowadzano ją w wielki świat. Twarz miała rozpromienioną uśmiechem, co mnie w pierwszej chwili zaszokowało – jakoś nigdy nie wyobrażałam jej sobie uśmiechającej się, bo niby z jakiego powodu miałyby to robić?

– Gzy wie pan, gdzie ona teraz jest?

Nelson potrząsnął ze smutkiem głową.

– Nie widziałem jej od miesiący.

– Czy próbował ją pan odnaleźć? – dociekałam. – A może zatrudnił pan kogoś, żeby ją znalazł?

Popatrzył na mnie, jakbym zwariowała.

– Policja pytała mnie dokładnie o to samo. Proszę mnie posłuchać, młoda damo. Nie mam pojęcia, kim pani jest ani czego pani chce, ale tyle mogę pani powiedzieć: nie wynajmowałem nikogo, żeby odnalazł moją córkę. Widzi pani, ja dobrze wiem, kim, a może raczej czym jest moja córka. Nie wiem, gdzie jest ani jeśli już o to chodzi, czy jest żywa czy martwa. I nic mnie to nie obchodzi!

Trudno powiedzieć, jakiej reakcji się po mnie spodziewał, ale tak czy inaczej żadnej nie otrzymał. Po jakiejś minucie zmęczyła go cisza – albo stęsknił się za brzmieniem własnego głosu – i podjął:

– Dałem jej wszystko. Jej i pozostałym moim dzieciom. W sumie mam trójkę... Tamci są normalni, chwalić Boga. Chłopak studiuje medycynę, a dziewczyna zaręczyła się niedawno z przyzwoitym młodzieńcem, który robi u mnie aplikację. Ale Nadine... zawsze przysparzała nam problemów... Wszystko zaczęło się od tej sprawy z sąsiadem...

– Jakiej sprawy z sąsiadem?

– Niedaleko nas mieszka mój przyjaciel, najpocziwszy ze wszystkich znanych mi ludzi. Nadine wygadywała o nim straszne rzeczy, dziwaczne rzeczy...

– Rozumiem.

– Od tamtej pory spędzała nam sen z powiek. Wysłałem ją do Barnarda... czy ma pani pojęcie, ile to kosztuje?... a ona nawet tam wpakowała się w kłopoty, lekkomyślnie opuszczała zajęcia. Przestała nawet wracać na weekendy do domu.

– A gdzie państwo mieszkają?

– W New Village, w Westchesterze – padła automatyczna odpowiedź. – Ale właściwie sam nie wiem, czemu pani to wszystko mówię. Przecież Nadine to mój problem, nie pani. Proszę sobie nie wyobrażać, że za jej odnalezienie jest jakaś nagroda czy coś w tym stylu. Nikt jej nie szuka...

– Rozumiem, naprawdę. Mimo to chciałabym zadać panu jeszcze parę pytań, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Wspomniał pan, że przestała wracać do domu...?

– Zgadza się. Nie pamiętam, kiedy ostatnio była w domu. W mieście poznała nowych przyjaciół, artystów – wypluł to słowo, jakby go parzyło w język – i takich tam. Moim zdaniem to wszystko szumowiny i przez nich wdepnęła w narkotyki. Z początku pragnęliśmy



jej pomóc uporać się z nałogiem, chwytałyśmy się tysiąca sposobów, ale ona zwyczajnie nie chciała pomocy. Skończyło się na tym, że wyrzucono ją ze szkoły i odtąd przestała się z nami zupełnie kontaktować.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Jakiś miesiąc przed tym, jak skreślono ją z listy studentów. Jej matka do tej pory nie może tego przeboleć.

– I od tego czasu nie dała znaku życia?

– Nie. I jeśli o mnie chodzi, może tak zostać. Nadine nie jest już moją córką.

Na stacji benzynowej zaopatrzyłam się w mapę, żeby bez problemu trafić do New Village, a potem jeszcze zatrzymałam się przy budce telefonicznej, gdzie sprawdziłam dokładny adres Nelsonów. Oczywiście słyszałam wcześniej o miejscach takich jak New Village, ale nigdy nie widziałam żadnego na własne oczy, toteż z niedowierzaniem wpatrywałam się w rzędy identycznych domków, ciągnące się po obu stronach niezbyt szerokich ulic – wyglądały tak jakby pewnego dnia, najpewniej na wiosnę, wyskoczyły wprost z ziemi. Na każdym podjeździe stał lśniący nowością wóz, w każdym ogródku trawa była przycięta tak równiutko, że nie wystawało ani jedno źdźbło, a tam gdzie na trawnikach panie domu założyły sobie rabatki z kwiatami, biedne rośliny także zostały poddane musztrze i prezentowały swe – koniecznie różowe! – główki karnie jak nie przymierzając kompania wojska. W okolicy nie dało się uświadczyc żywego ducha, co było zrozumiałe, zważywszy na całkowity brak chodników: frontowe ogródki kończyły się przy samej jezdni. W miarę jak się zagłębiałam w tę dzielnicę, czułam, że coraz bardziej cierpnie mi skóra. Eleganckie tabliczki informowały, że właśnie mijam Słoneczny Zaulek, Uliczkę Kolibrów czy Klonową – każda nazwa kojarzyła się z czymś przyjemnym. Nelsonowie na przykład mieszkali przy Alei Miłej.

Drzwi otworzono mi już po pierwszym dzwonku.

– Czy mam przyjemność z panią Nelsonową? – zapytałam niepewnie, nie wiedząc, czy w New Village służba jest na porządku dziennym.

– Tak? Słucham?

Maybelline Nelson uśmiechała się, ale z jej oczu wycierało zmęczenie i smutek. Była grubo przed pięćdziesiątką, zgrabna i niebrzydka z grzywą blond włosów okiełzanych przez mistrza fryzjerskiego, który bez dwóch zdań szkolił się w Paryżu. Choć miała na sobie skromną niebieską sukienkę, jej twarz zdobił wyjściowy makijaż. Kto, na Boga, się maluje – pomyślałam – po to tylko, by cały dzień spędzić w czterech ścianach?! W tej samej chwili

usłyszałam rozmowę w głębi domu, ale kiedy spojrzałam ponad ramieniem gospodyni, zorientowałam się, że to nie goście wypełniają głosami spory salon położony na wprost wejścia, lecz postaci z ekranu telewizora. Przez moment nie mogłam oderwać wzroku od urządzenia, które dotychczas widywałam wyłącznie na wystawach sklepów. To było jak... jak teatr przeniesiony z Broadwayu do tego domu, tyle że obraz był miniaturowy i trochę zamazany. Mimo to nawet z tej odległości widziałam, że przedstawia dwie kobiety siedzące przy kuchennym stole. „Nic nie rozumiem” – mówiła jedna. Na jej czole rysował się głęboki mars, jakby przeżywała nie lada dylemat. – „Bob przestał jadać śniadania!” Druga popatrzyła na nią wzrokiem pełnym współczucia, a zarazem wyższości. „A czy podajesz mu co rano VITA-CRUNCH?” – spytała ze śmiertelną powagą i zaraz dodała: – „Większość lekarzy zaleca spożywanie VITA-CRUNCH każdego ranka!” Znów poczułam zadowolenie, że moje życie w niczym nie przypomina tego wiedzonego przez sekretarki i żonę Nathaniela Nelsona. Być na każde skinienie szefa albo wyczekiwać całymi dniami na męża, za jedyną rozrywkę mając kosmetyki i reklamy płatków śniadaniowych, to nie dla mnie – pomyślałam.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – Maybelline przestąpiła z nogi na nogę i popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Być może – odparłam. – Chodzi o pani córkę, Nadine.

Uśmiech, i tak ledwie trzymający się jej warg, zniknął zupełnie.

– Czy z nią wszystko w porządku?

Ani słowem nie wspomniała o wizycie policjantów, mogłam zatem przyjąć, że postanowili nie zwracać głowy matce i ograniczyli się do męskiej rozmowy z Nelsonem w jego biurze.

– Tego nie wiem, ale właśnie w tej sprawie do pani przyszłam...

– Zechce pani wejść do środka? – Maybelline otworzyła szerzej drzwi.

– Nie, dziękuję. – Wnętrze domu bardziej przypominało grobowiec niż miejsce, gdzie żyją ludzie, a ja w dalszym ciągu miałam gęsią skórę. – Pani Nelson, jestem bliskim współpracownikiem prywatnego detektywa z Nowego Jorku. Obawiamy się, że Nadine była świadkiem zbrodni... – gestem uciszyłam swoją rozmówczynię – ...ale jak to w życiu bywa: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Otóż żywimy nadzieję, że pani córka zdoła nam pomóc i sprawiedliwości stanie się zadość. Czy wie pani może, gdzie ona obecnie przebywa?

– Nie... Ja... Czy... Czy z Nadine wszystko w porządku? – wydukała wreszcie.

Przestałam się z nią patyczkować.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– Około miesiąca temu.

– A potem wynajęła pani kogoś, żeby ją odnalazł, czy tak?

Popatrzyła na mnie skonfundowana.

– Nie... To znaczy... My się widzimy... Widzi pani, od czasu do czasu wybieram się do miasta i tam się spotykamy.

– Gdzie dokładnie?

Zawahała się.

– W... w kawiarni. Nie mogę zabrać jej do porządnej restauracji, nie z jej obecnym wyglądem...

– Co pani ma na myśli?

Pani Nelson wzdrygnęła się.

– No... jest chuda i niezbyt... niezbyt czysta... – Po czym zebrała się w sobie i na jednym wydechu rzuciła: – Wygląda jak narkomanka i ulicznica! – Chwilę potem zapytała: – Ma pani dzieci?

– Nie. Nie mogę zająć w ciążę.

Obdarzyła mnie przeciągłym spojrzeniem. Cóż, kiedy zdrowa na oko kobieta wyznaje, że nie może zająć w ciążę, powód jest zazwyczaj jeden. Być może ktoś z jej pozycją zdołałby znaleźć lekarza z prawdziwego zdarzenia, gdyby zaszła taka potrzeba, ale mnie się to nie udało.

– Przykro mi – powiedziała, spuściwszy wzrok. Pozostawiłam to bez komentarza. Po chwili znów na mnie spojrzała i drżącym głosem żaliła się dalej: – To straszne widzieć własną córkę w takim stanie.

– Próbowала pani namówić ją do powrotu do domu?

– Och nie, nie mogłabym tego zrobić! Jej ojciec... – unikała mojego spojrzenia – jej ojciec nigdy by się na to nie zgodził. Nadine nie może wrócić...

– A co na to jej brat i siostra?

Szybki ruch głową.

– Nigdy nie byli sobie bliscy... Nadine jest od nich sporo młodsza... – Na jej usta wypełzł słaby uśmiech. – Ja także... Ja też miałam drobne kobiece powikłania i byłam pewna, że nie mogę mieć więcej dzieci, do czasu aż na świecie pojawiła się Nadine.

Darowałam sobie wyrazy współczucia.

– Gdzie Nadine mieszkała, kiedy widziałyście się ostatnim razem?

Pani Nelson bezradnie wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam... przypuszczam, że z jakimiś przyjaciółkami. Nigdy mi nie mówiła... Niewykluczone, że mieszkała z mężczyzną. – Zadarła głowę i hardo spojrzała mi w oczy. –

Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, gdzie mieszka, ani o jej pracy. Ilekroć się spotykałyśmy, zawsze ją czymś wspomogłam, ale Nathaniel... mój mąż... jest bardzo skrupulatny i wydziela mi tylko niewielkie kieszonkowe. Dał mi jasno do zrozumienia, że nie chce, bym wspierała naszą najmłodszą córkę. O tych spotkaniach w ogóle nie wiedział.

– A jak się kontaktowałyście? Zostawiła numer telefonu...?

– Nie. W takich miejscach, w jakich mieszka, z pewnością nie ma telefonów. To Nadine dzwoni do mnie, kiedy... kiedy potrzebuje pomocy.

– A ten sąsiad? Słyszałam, że zanim Nadine przepadła, były jakieś problemy z mężczyzną z sąsiedztwa?

Pani Nelson wbiła wzrok we własne pantofle.

– N... nie wiem. Nathaniel twierdził, że to niemożliwe, że Nadine wysłała wszystko z palca. Zawsze była lekko histeryczna... dusza artysty, rozumie pani...

– Tak. Widziałam jeden z jej rysunków. Był naprawdę udany.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Maybelline. Odwzajemniłam go.

– Dobrze rysuje, prawda? Ma to po mnie, ja też zawsze lubiłam coś tam sobie bazgrać, ale nie miałam takich zdolności jak ona. Ani możliwości... – zadumała się. – Bardzo się cieszyłam, kiedy postanowiła kształcić się w tym kierunku. A teraz... teraz to moja... jej ostatnia nadzieja. Przynajmniej ma coś, co...

Urwała, jej ciałem targnął szloch. Szybko wzięła się w karby, lecz niestety dalsza rozmowa nie wniosła już nic nowego. Na koniec poprosiłam ją, by przypomniła sobie nazwy lokali, w których spotykała się z Nadine, ale potrafiła tylko podać ich orientacyjne położenie – ukraińska kafejka na Lower East Side i kawiarnia przy Times Square. Niewiele mi to dało. Na Lower East Side znajdował się z tuzin knajp prowadzonych przez Ukraińców, a na Times Square roило się od kawiarni.

– Myśli pani, że ona jakoś się trzyma? – zapytała mnie Maybelline, kiedy się żegnałyśmy.

– Taa – skłamałam. – Na pewno wszystko z nią w porządku. A jeśli chodzi o tę sprawę kryminalną, to sądzę, że zaszła pomyłka. Nie wydaje mi się, żeby ktoś taki jak Nadine mógł być wplątany w zbrodnię, choćby w charakterze świadka. Musi chodzić o jakąś inną dziewczynę, może trochę do niej podobną. Dam pani znać, gdy czegoś się dowiem.

– Naprawdę? – Skinęłam głową, ale ona uczepiła się jednej myśli: – Naprawdę myśli pani, że z nią wszystko w porządku?

– Jestem tego pewna. – Zmusiłam się do uśmiechu pełnego otuchy. – To wszystko jedno wielkie nieporozumienie. Nadine nie ma z tym nic wspólnego.

Zalała ją namacalna fala ulgi, która niemal zmiotła mnie na jezdnię.

– Dla kogo pani pracuje? – zawołała za mną. – Tak mnie pani zaskoczyła, że zupełnie zapomniałam...

– Jak tylko dowiem się czegoś o Nadine, zaraz dam pani znać! – odkrzyknęłam, wsiadając do wozu.

Przejeżdżając koło sąsiedniego domu, nie mogłam sobie odmówić pewnej drobnej przyjemności. Zatrzymałam auto, podniosłam z ziemi pierwszy lepszy kamień i z całej siły cisnęłam nim w szybę na piętrze. Potem opuściłam New Village.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Choć droga powrotna dłużyła mi się niemiłosiernie, nuda mi jednak nie groziła – w myślach obracałam na wszystkie strony konkluzję spotkań z obojgiem Nelsonów: to nie oni zlecili mi odszukanie ich córki, nie zrobił tego nawet nikt przez nich podstawiony. Kiedy zebrałam do kupy wszystkie poznane fakty, wyszło mi na to, że Jerry uwolnił się od towarzystwa Nadine, gdy tylko na horyzoncie pojawiły się problemy. Wprawdzie dziewczyna z „Royale” twierdziła, że Nadine miała się jeszcze z Jerrym zobaczyć, ale znając go, wystawił ją do wiatru i nie poczuł z tego powodu najłżejszych wyrzutów sumienia. Nikomu na niej nie zależało – ani Jerry’emu, ani jej rodzonemu ojcu, no może trochę matce, ale ta była tak zastraszona przez pana i władcę, że nie kiwnęłaby palcem w obronie córki – i nikt nie wiedział, gdzie teraz jest. A ja bardzo potrzebowałam tej informacji, albowiem tylko Nadine wiedziała, kogo obrobili tamtej nocy, *ergo* kto zabił McFalla. Oczywiście mogłam sobie robić złudne nadzieje, ale prawda była taka, że moje szanse odnalezienia jej w Nowym Jorku równały się zeru. Tropienie Nadine z szukania igły w stogu siana zamieniło się w... czy ja wiem co? Równie dobrze mogłam usiąść na Times Square licząc, że ktoś wręczy mi czek na milion dolarów. O ile wcześniej utknęłam w martwym punkcie, to teraz znalazłam się na cmentarzysku. Jeśli chciałam odkryć, kto zamordował McFalla, musiałam dać sobie spokój z Nadine i zabrać się do sprawy inaczej.

W Bronksie, daleko na północy, gdzie wciąż rozciągały się tereny wiejskie, wypatrzyłam samotną stację benzynową i zatankowałam rocketa 88 do pełna. Ten krótki przystanek uświadomił mi coś dziwnego. Czarny Chevrolet, który jechał za mną aż z New Village – zwróciłam na to uwagę, bo auto było wielkie i niewyobrażalnie zakurzone, chociaż niewykluczone, że wóz Jima nie prezentował się pod tym względem o wiele lepiej – i którego nie straciłam z oczu ani na chwilę, mimo że często zmieniałam pasy, bo tak mi się śpieszyło, otóż ten sam chevrolet wjechał za mną na stację benzynową. Byłoby to zrozumiałe, gdyby kierowca chciał napełnić bak, ale nie, on przejechał koło dystrybutorów z paliwem i zatrzymał się przy budce, jak gdyby miał zamiar coś kupić, tyle że nawet nie wysiadł. Do licha! – pomyślałam.- Na trasie minęliśmy z pięć stacji benzynowych, a ta, gdzie się zatrzymałam, niczym nie różniła się od poprzedniczek... Podskoczyłam na siedzeniu, kiedy chłopak z obsługi zastukał w okno.

– Ojej, chyba zapomniałam portfela! – jęknęłam. – Przyjadę później.

Popatrzył na mnie jadowicie, wzruszył ramionami i odszedł zamiatając nogami.

Nie przekręciłam kluczyka w stacyjce. Oczekałam równą minutę, obserwując czarną maskę chevroleta, ale w dalszym ciągu nikt z niego nie wysiadał. Zaklęłam, uruchomiłam silnik i wyjechałam na drogę prowadzącą do miasta. Chevrolet jak cień podążył moim śladem. Trzymałam się tego samego pasa, żeby śledzący mnie kierowca mógł mi usiąść na ogonie, ale widać nie był taki głupi, żeby dać mi się podziwiać w lusterku wstecznym, bo tym razem zachowywał dystans. Przedtem gnębiło mnie, jak to się stało, że ktoś podążał za mną, gdy jechałam do Sunset Park, a ja nic o tym nie wiedziałam, ale teraz przekonałam się, że śledzenie to całkiem prosta sprawa. Pewnie gdybym nie zjechała wcześniej na stację, nigdy by mi nie przyszło do głowy, że poczciwy chevy mnie szpieguje. A tu proszę, drugi zjazd, bo zaświeciła się lampka stanu paliwa, i znowu mam towarzystwo. Tym razem pozwoliłam obsłudze napełnić bak, dyskretnie przyglądając się, jak mój „ogon” znowu podjeżdża pod budkę pełniącą funkcję kasy, biura i sklepu w jednym. Gdy się zatrzymał, zwinnym ruchem wysliznęłam się z wozu i podeszłam do niego szybkim krokiem, lecz nim zdążyłam zajrzeć do środka, ruszył z piskiem opon, co najmniej jakbym wymierzyła do niego z broni palnej.

Nie tyle przeszkadzało mi, że ktoś mnie śledzi – w końcu to żadna tajemnica, dokąd pojechałam – ile irytował mnie fakt, że nie mam pojęcia, kto to robi. No i mogła to być ta sama osoba, która towarzyszyła mi w drodze do Brooklynu, co z kolei oznaczało, że być może właśnie miałam przed sobą zabójcę McFall'a, ewentualnie zleceniodawcę. Wykluczone, żeby kogo innego interesowało, jak spędzam wolny czas. Żałowałam, że nie udało mi się przyłapać drania na gorącym uczynku i ustalić jego tożsamości. Następnym razem będę sprytniejsza – postanowiłam.

Bo nie miałam wątpliwości, że będzie następny raz.

Jim otworzył drzwi trzymając w ręce „Daily News”.

– Chodź, przeczytasz sobie – powiedział, machając stroną z działem rozrywki.

Kiedy usadowiłam się na kanapie, podał mi otwartą gazetę. Pierwsza rzuciła mi się w oczy duża fotografia Shelley.

*Uroczą i nie pozbawioną seksapilu Shelley Dumere wcieli się w rolę gwiazdy nowego cotygodniowego programu zatytułowanego „Życie Lydii”, w którym partnerować jej będzie Tad Delmont. Lydia Livingston to niezbyt rozgarnięta gospodyni domowa mająca zabawić*

*nas na antenie co czwartek, ale nikt nie ma wątpliwości, że panna Dumere zagra tak, że niefortunne przypadki i gagi nieszczęsnej Lydii będziemy długo pamiętać...*

- Brawo – skwitowałam ten pean na cześć mojej siostry. – Słuchaj, musimy pogadać o twoim wozie... – Jim zrobił się zielony na twarzy – ...nie, nie, z autem wszystko w porządku, ale...

Opowiedziałam mu pokrótce o podejrzeniach policji względem mnie i poprosiłam, bym mogła zatrzymać rocketa 88 na jakiś czas, no bo kiedy człowiek jest oskarżony o morderstwo, ma wiele ważnych spraw do załatwienia. Jim domagał się szczegółów, więc zdałam mu relację ze swych poczynań od czasu naszego ostatniego spotkania, w trakcie której stał odwrócony do mnie plecami i szykował nam drinki.

– Zatem – powiedział, podając mi szklanekę ze złotymi i turkusowymi muszelkami na ściankach – co zamierzasz zrobić?

Chwilę mi zajęło, nim rozgryzłam, co dokładnie nie podoba mi się w tym pytaniu – chodziło nie o to, że nie bardzo wiedziałam, co zrobię, lecz raczej o to, że Jim użył zaimka „ty”. Wybierając się do niego, miałam nadzieję, że uporamy się z tym razem. Wypiłam łyk napoju i przyjrzałam się Jimowi uważniej. Wyglądał tak, jakby coś z niego wyciekło, jakby odgradzał się od rzeczywistości, chroniąc najgłębszą część siebie, z którą nagle nie uśmiechało mu się obnosić – przynajmniej już nie przy mnie. Nie mogłam go za to winić. Był, kiedy go potrzebowałam najbardziej, i wytrzymał ze mną całkiem długo, ale teraz to była zupełnie inna para kaloszy. Morderstwo. Coś takiego bardzo popsułoby jego interesy, a na to nie mógł sobie pozwolić. Gdy się nad tym lepiej zastanowić, mało kto mógł sobie na coś takiego pozwolić.

– Cóż – odparłam, grając na zwłokę – po prostu dowiem się, kto zabił Jerry’ego.

Jim wlepił oczy w swoją szklanekę.

– Jeśli jest coś, co mógłbym... – zaczął i urwał. – Jeśli mógłbym ci jakoś...

Nie powiem, zachował się jak dżentelmen. Mówił dokładnie to, co w takiej sytuacji należało powiedzieć. Tyle że nie patrzył mi przy tym w oczy. Czasem z trudem przychodziło mi uwierzyć, że zarabia na życie oszukiwaniem ludzi. Kiepski był z niego kłamca.

– Dziękuję, ale nie. – Ja też trzymałam się swojej roli, wypowiadając kwestie, których się po mnie spodziewał.

– Postaram się czegoś dowiedzieć – rzucił, patrząc gdzieś przed siebie. – Popytam tu i ówdzie. Może coś z tego ci się przyda.



– Jasne. Dzięki. – Odstawiłam nie dopity cocktail na błyszczący niski stolik i podniosłam się do wyjścia. – Czas na mnie.

W jego oczach zagościł wyraz ulgi. Po raz pierwszy odkąd mu powiedziałam, że jestem wplątana w morderstwo, Jim nie unikał mojego wzroku.

– Joe, jeśli chodzi o wóz. Zatrzymaj go tak długo, jak długo ci będzie potrzebny. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić...

Przynajmniej tyle mógł, fakt. I nie zamierzał zrobić nic więcej.

– Wszystko będzie dobrze, Joe – zapewnił mnie, gdy wychodziłam.

– Jasne, nie martw się o mnie – rzuciłam przez ściśnięte gardło. Przynajmniej tyle mogłam zrobić dla niego.

W domu byłam dobrze po północy. Mimo że od razu padłam na łóżko, nie potrafiłam zasnąć; w głowie huczało mi od wzburzonych myśli, których w żaden sposób nie umiałam uciszyć.

Zresztą z zasypianiem miałam problemy od dawna. Nawet teraz, po prawie dwóch latach, czasami wciąż jeszcze śniła mi się heroina. Sen zaczynał się zupełnie zwyczajnie – szłam sobie Piątą Aleją albo siedziałam w Central Parku – i nagle, niespodziewanie, przenosiłam się do jakiegoś obskurnego pokoiku – jednego z tysiąca obskurnych pokoików, w których się kiedykolwiek znalazłam – gdzie wszyscy ćpali. Ja także miałam przygotowany swój podręczny zestaw, ramię przepasane gumową rurką; ktoś tuż obok podgrzewał na łyżeczce pokątną kupkę brauna, do moich nozdrzy docierał ten subtelny zapach, a potem bach! czułam ukłucie i po moich żyłach rozlewała się upragniona hera. Moment później zrywałam się gwałtownie z miejsca, myśląc: Och nie, to niemożliwe! Nie mogę znowu zacząć brać! Sen przechodził w jawę, siedziałam na łóżku wyprostowana, ciężko dysząc i czując, że cały ten potworny wysiłek z ostatniego półrocza, roku, dwudziestu czterech miesięcy poszedł na marne. Teraz także, nawet nie za sprawą snu, ale ostatnich wydarzeń, znalazłam się w punkcie wyjścia, jakby nigdy nie było tych paruset dni okupionych codziennym cierpieniem i walką z własną oporną wolą, jakbym nigdy nie powiedziała: „Dość!” i nie zważając na mdłości i dreszcze, i płacz, i zgrzytanie zębów, z których kilka do tej pory miałam wyszczerbionych, nie próbowała rzucić tego w cholerę. Raz, drugi, trzeci, do skutku. Było mi tak wstyd, że aż się rozplakałam. O Boże, dlaczego jestem taka słaba, taka głupia – zawodziłam, oplatając się ciasno ramionami. – Czy nie wystarczająco dużo się modliłam? Czy nie próbowałam wystarczająco mocno? O Boże, proszę, nie, tylko nie to, nie znowu...

Zarazem jednak jakąś częścią siebie prosiłam w duchu: Tak, Panie Boże, właśnie tak.

W końcu wstałam z łóżka i skuliłam się na fotelu przy oknie, gdzie zastał mnie świt. Słońce powoli wschodziło nad Drugą Aleją, na której nie było żywego ducha. Całe miasto wyglądało, jakby wszyscy je opuścili, jakby było to miasto duchów. Dachy budynków zmieniały barwę z czerni w szarość, z szarości w róż, z różu w złoto, podczas gdy niebo robiło się coraz jaśniejsze, aż wreszcie kula słońca wyłoniła się – gdzieś tam, hen – zza horyzontu i oślepił mnie blask. Wkrótce potem na ulicach rozległy się klaksony wozów dostawczych rozwożących pieczywo, mleko i gazety, i powoli miasto zaczęło się budzić do życia. Pod niebieszcącym się niebem ludzie po kolei zajmowali swoje miejsca na chodnikach, samochody i autobusy pojawiały się na drogach, wokół głośno było od codziennego harmideru, zupełnie jakby cisza i spokój sprzed zaledwie paru godzin nigdy się nie zdarzyły. Jakby tak właśnie wyglądał świat – kiedyś, teraz i zawsze. Przez moment wydawało mi się, że to miasto należy do mnie, gdy tak spoglądałam na nie z wyżyn swego pokoju, i zapragnęłam, by to nigdy się nie zmieniło.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy dzień wstał na dobre, złożyłam wizytę w „Red Roosterze”. Mimo że Harry’ego tam nie zastałam, nie dałam za wygraną i skierowałam swe kroki na Bowery, do „Księcia Jerzego”. Tam, jak słyszałam, nie tylko recepcję odgradzono metalową siatką od hallu, ale w podobny sposób oddzielono poszczególne łóżka wynajmowane bezdomnym mężczyznom na noc, na tydzień albo na rok, aby uchronić ich przed agresją sąsiada. W takim to miejscu mieszkał Harry.

Jak większość noclegowni „Książę Jerzy” był kiedyś prawdziwym hotelem, ale z tego co dało się stwierdzić, nigdy nie należał do elity. Lada recepcji rozpadła się chyba przed stu laty, a z mebli w hallu wyłaziły trociny, co wszakże nie przeszkadzało amatorom szybkiej drzemki. Zresztą w stanie, w jakim się znajdowali – połowa była naćpana do nieprzytomności, połowa w sztok pijana – nic nie mogło ich wzruszyć, wystrój wewnątrz zaś stanowił najmniejsze ich zmartwienie. Już prędzej zatroskaliby się o kondycję wystrzępionych koszul i wyświechtanych pomiętych kapeluszy, gdyby jeszcze przywiązywali wagę do takich spraw. Jedyna jako tako przytomna para dyskutowała zawzięcie o wyścigach konnych.

– Gdybym miał pieniądze, żeby dostać się do Belmontu – dowodził mniej sponiewierany – zamieniłbym tego oto dolara w piętnaście! Wiem, że dzięki mojej słodkiej Lucy bym tego dokonał.

W hallu oprócz ogólnego chrapania i słów hazardzisty donośnym echem rozlegał się czyjś płacz dochodzący z piętra.

Stąpając ostrożnie po podziurawionym dywanie, zbliżyłam się do recepcji i już miałam zwrócić na siebie uwagę starszego mężczyzny siedzącego za siatką, kiedy ten zerwał się na równe nogi, bynajmniej jednak nie z mojego powodu.

– Ani kroku dalej! – krzyczał do schludnie ubranego człowieka, który chyba zablądził. Zaraz jednak wyszedł na jaw prawdziwy powód zdenerwowania recepcjonisty. – Ile raz mam ci powtarzać, skurwysynu, że twoja noga tu więcej nie postanie?!

Schludnie ubrany człowieczek okręcił się na pięcie i jak stał, wypadł na zewnątrz, tylko mu poły płaszcza zafurkotały.

Recepcjonista skierował uwagę na mnie, toteż pośpiesznie wyjaśniłam, że przyszedłam

w odwiedzinie do Harry'ego i że im szybciej go zobaczę, tym lepiej.

– Też coś – prychnął w odpowiedzi i opadł na krzesło. – Ani mi się śni stąd ruszać, ale jeśli chcesz, możesz poprosić któregoś z nich – machnął ręką na pobojowisko w hallu – żeby ci go sprowadzili.

Bojąc się, że zaraz zmieni zdanie i przegoni mnie, jak przed chwilą tamtego, podeszłam do pierwszego z brzegu mężczyzny, który okazywał jeszcze jakieś przejawy życia. Był to potężny Murzyn, który – miałam nadzieję – mimo setki na karku zdoła wdrapać się na piętro i ściągnąć tu dla mnie Harry'ego.

– Halo, psze pana – potrząsnęłam go za ramię.- Zna pan Chudego Harry'ego? Dostanie pan dolara, jeśli go pan tutaj sprowadzi.

Murzyn otworzył oczy i popatrzył na mnie. Chwilę później wciąż mi się przyglądał. Sięgnęłam do torebki i wyjęłam banknot.

– No, widzi pan? Naprawdę go mam. Będzie pański, jeśli przyprowadzi pan mojego przyjaciela.

Murzyn w dalszym ciągu nie spuszczał ze mnie oka. Czując, że inaczej nie przełamiemy impasu, wręczyłam mu banknot. Murzyn poruszył się, wyciągnął rękę i się uśmiechnął. Nagle przestał wyglądać jak stary zapluty czarnuch czekający na śmierć w hallu „Księcia Jerzego”, a zaczął przypominać człowieka, z którym chętnie napiłabym się kawy i pogawędziła.

– Sierobi – wykonał parodię salutu. – Będzie na dole, nim panienska zdąży splunąć.

Nie miałam najmniejszego zamiaru przyczynić się do ostatecznego upadku „Księcia Jerzego”, toteż nie splunęłam, ale mimo to Harry znalazł się na dole w przyśpieszonym tempie. Ciężko powiedzieć, jakiej perswazji użył mój chłopiec na posyłki, ale Harry zbiegał ze schodów cały w skowronkach, jakby czekała go miła niespodzianka – szczeniaczek, którym mógłby się zaopiekować i który dotrzymywałby mu towarzystwa, albo tania dziwka, którą ktoś dla niego opłacił. Na mój widok uśmiech spelzł mu z twarzy.

– Jezu, Joe, czego ty ode mnie jeszcze chcesz? Mało dla ciebie zrobiłem?

Ujęłam go pod ramię i wyprowadziłam na zewnątrz, chociaż nie wydawało mi się, by wśród zaplutyh staruszków był jakiś szpieg. Niemniej odezwałam się dopiero na ulicy, a Harry na dźwięk mojego głosu skulił się, jakby bał się, że go uderzę.

– Ty skurwielu, wrobiłeś mnie w morderstwo McFalla! – ryknęłam.

Harry wyciągnął głowę z ramion i spojrzał na mnie niepewnym wzrokiem.

– Ale Joe, przecież Jerry żyje. O czym ty, do diabła, mówisz?

– O tym, że McFall jest zimnym trupem bez względu na to, jakie ty masz na ten temat

informacje.

Twarz Harry'ego poszarzała, a w jego oczach zagościł wyraz smutku. Parę razy próbował coś powiedzieć, ale nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Wreszcie wydukał:

– Ja nie mogę... Jerry'ego szlag trafił...

Przytaknęłam.

– Zgadza się. Wyzionął ducha. – Harry był już blady jak płótno, zrobiło mi się go trochę żal, lecz i tak zapytałam: – Na pewno nic o tym nie wiesz?

Potrząsnął głową. – Chyba muszę usiąść albo coś...

Zlitowałam się nad nim i weszliśmy z powrotem do środka. Usiedliśmy na sfatygowanych krzesłach niedaleko pochrapujących starszków – Harry dochodził do siebie, a ja uważnie mu się przyglądałam, chcąc doszukać się ewentualnych dowodów na to, że udaje. W końcu zapytałam go wprost, czy mu coś wiadomo na temat ostatniego skoku Jerry'ego.

– Jezu – powiedział, całkowicie ignorując moje pytanie. – Jerry nie żyje... Zlecał mi różne robotki, no wiesz... i nie dał mi zrobić krzywdy. Zawsze był wobec mnie w porządku. Jak ja sobie teraz poradzę?...

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Nie mogę już pracować – mówił na poły do mnie, na poły do siebie. – Nie dla mnie stare dobre numery, takie jakie wykręcaliśmy w Buffalo albo potem w Chinatown. Do dziś pamiętam zdumioną minę Lewego Mike'a... – Uśmiechnęłam się do tych wspomnień. – Od wojny jestem do niczego – kwękał dalej Harry – coś mi się zrobiło z głową... – na dowód swoich słów plasnął się otwartą dłonią w czoło. – To dlatego już nie obmyślam planów, tylko wykonuję zlecenia. A teraz, kiedy zabrakło Jerry'ego...

– Poradzisz sobie – próbowałam go pocieszyć. – Znajdziesz kogoś takiego jak Jerry i będziesz pracować dla niego. Oczywiście to nie będzie Jerry – podpuszczałam go – nie będzie cię tak dobrze traktował i w ogóle...

Harry nagle się skrzywił.

– Eee tam, tak naprawdę to nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, chociaż lubiłem mówić, że tak jest, tobie i innym. Po prostu odwaliałem za niego czarną robotę... A jemu zdarzało się mnie zwymyślać. Chociaż nigdy mnie nie wyrolował, to muszę przyznać. Mówił mi na przykład: Harry, zanieś tę paczkę do tej i do tej dziewczyny, to dam ci dolca, i zawsze dawał, choć czasami się ze mnie śmiał za plecami, że mam nie po kolei w głowie. Ale to od niego skapywało mi najwięcej, tu ćwiartka, tam cały dolar. O Boże, co ja teraz zrobię...

– Posłuchaj, Harry – przerwałam mu. – Wiem, że nie jest ci lekko, ale czy mógłbyś się

na chwilę skupić? To ważne. Jeśli mi pomożesz, wspólnymi siłami znajdziemy tego, kto zabił McFall'a. Ale musisz się skupić, dobrze? Od kogo Jerry brał towar?

Harry marszczył brwi, robił zęza i w ogóle wyczyniał najróżniejsze rzeczy ze swoją twarzą, co zapewne miało mu pomóc w procesie myślenia. Wreszcie wystękał:

– Nie wiem, Joe, jak Boga kocham, nie wiem. Jerry nigdy mi nic nie mówił. Czasem tylko kazał mi zanieść trochę towaru jakiejś dziewczynie, ale nigdy nie wziął mnie ze sobą do swojego diler'a. Z ręką na sercu, nie mam pojęcia, gdzie się zaopatrywał.

Westchnęłam.

– No dobra. A ten skok? Ten, po którym musiał się chować aż w Brooklynie? O tym też nic nie słyszałeś?

Tym razem Harry dosłownie spocił się z wysiłku umysłowego. Efekt był jednak ten sam.

– Joe, zmiłuj się, ja nic nie wiem o żadnym skoku. Jerry po prostu zadzwonił do mnie z Sunset Park i kazał sobie przywieźć trochę rzeczy ze starego mieszkania. Tylko dlatego wiedziałem, gdzie się ukrył. Złapał mnie w „Red Roosterze”, bo tutaj nie ma aparatu.

– A co dokładnie powiedział, kiedy rozmawialiście przez telefon?

Pionowa bruzda przecięła czoło Harry'ego, zaraz jednak jego twarz się wygładziła, a z ust dobiegła doskonała imitacja głosu McFall'a.

– „Uwolniłem kogoś od towaru, ale nie wszystko poszło zgodnie z planem”, tak powiedział. Oczywiście zrozumiałem, co miał na myśli, bo przecież nie jestem głupi. Chodziło o to, że obrobił kogoś, tyle że został przyłapany. Rzecz jasna zaraz zapytałem, czy wszystko u niego w porządku, a on na to: „W najlepszym, Harry, w najlepszym... Gdybym mógł, zrobiłbym to jeszcze raz, tylko po to żeby zobaczyć minę tego nadętego fagasa. Znasz ten typ... gość myśli, że jest lepszy od nas”.

– I co jeszcze mówił?

– Nic ciekawego. Poprosił mnie, żebym przywiózł mu trochę ciuchów z mieszkania, a potem podał ten adres w Sunset Park...

– Byłeś tam? – Harry skinął głową. – A widziałeś tę dziewczynę?

Wyjęłam fotografię z torebki. Papier na brzegach był już nieco postrzępiony, rogi się lekko zawijały.

– Jasne – uśmiechnął się oblesnie. – Ta ślicznotka od dawna się przy nim kręciła. Bardzo ładna, bardzo miła... Ale w Brooklynie był z inną dziewczyną... Zapytałem go, gdzie się podziewa Nadine, a on odparł, że było z nią więcej kłopotu niż radości. Właśnie tak się wyraził: „Więcej z nią kłopotu niż radości”.

Próbowałam z niego wyciągnąć coś jeszcze, ale Harry zaklinał się, że to wszystko, co wie. Wstawałam już do wyjścia, kiedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Słuchaj no, Harry, nie masz przypadkiem klucza od mieszkania Jerry’ego?

– Pewnie, że mam... O, tutaj – wydobył z przepastnej kieszeni spodni breloczek z jednym kluczem na kółku.

– Mogę go od ciebie pożyczyć?

– Czy ja wiem... – wahał się. – Chyba że to wyrówna nasze rachunki, raz na zawsze? – spytał z nadzieją.

– Harry – powiedziałam uroczyście. – Teraz jesteśmy naprawdę kwita.

Dałam mu jeszcze dziesięć dolarów, a on z ulgą wręczył mi klucz, który wyraźnie parzył go w palce.

Gdy jechałam na północ, raz czy dwa mignął mi w lusterku wstecznym czarny chevrolet. Za drugim razem staliśmy na czerwonym świetle, ale znowu nie mogłam przyjrzeć się kierowcy, bo dzieliło nas kilka aut. Czekając, aż światło zmieni się na zielone, zastanawiałam się gorączkowo, co lepiej zrobić: czy postarać się go zgubić, czy też doprowadzić do konfrontacji, a w najgorszym razie zmusić go, by przejechał koło mnie – w takim wypadku musiałabym zostać na środku skrzyżowania, zbierając cięgi od rozzłoszczonych kierowców, a może nawet narażając się na mandat. Nie był to łatwy orzech do zgryzienia, a czasu miałam tak mało...

Nagle zauważyłam coś jeszcze. Na drugim pasie, też kilka aut za mną, zatrzymał się kolejny czarny chevrolet. Rozejrzałam się dookoła. Trzeci parkował na rogu Bowery i Czwartej Ulicy. Kilka stało na pobliskim parkingu. Metalową bramę wieńczyła spora tablica z rysunkiem czarnego chevroleta i czworgiem ludzi w środku; z tylnego okna wystawała psia morda. Wszyscy byli uśmiechnięci, jakby wybierali się na rodzinny piknik.

Napis pod reklamą głosił:

CHEVROLET – SAMOCHÓD NR 1 W AMERYCE!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jerry mieszkał przy Zachodniej Dwudziestej Siódmej w kamienicy, której elewacja w lepszych czasach zapewne wykończona była czerwonym piaskowcem. Drzwi frontowe ledwie się trzymały na zawiasach, a na klatce schodowej zajeżdżało gotowaną kurą. Na wszelki wypadek mając oczy dookoła głowy, dobrnęłam jakoś na czwarte piętro i przemknęłam nieoświetlonym korytarzem pod właściwe drzwi. Wiedziałam, że postępuję nierozsądnie – wciąż toczyło się śledztwo i w miejscu zamieszkania Jerry’ego w każdej chwili mogły pojawić się gliny – niemniej przy odrobinie szczęścia i pod warunkiem, że uwinę się szybko, miałam szansę nie zostać przyłapana. Włożyłam otrzymany od Harry’ego klucz do zamka i przekręciłam. Moment później byłam już w środku.

Widok, jaki tam zastałam, zaparł mi dech w piersiach. Mieszkanie wyglądało tak, jakby przeszło przez nie tornado, choć bardziej prawdopodobne było, że to policja wywróciła wszystko do góry nogami podczas przeszukiwania albo nawet że zabójca Jerry’ego przekopał je, szukając swojego towaru. Ogarnąwszy wzrokiem skalę zniszczeń, doszłam do wniosku, że najpewniej sprawcami byli i policjanci, i morderca. Szafki, szuflady i półki zostały opróżnione, a ich zawartość zaścielała niemal całą powierzchnię podłogi, meble poprzewracano do góry nogami, nie zapominając o tym, by wcześniej rozpruć tapicerkę. Salon, kuchnia, sypialnia – wszędzie zastałam obraz nędzy i rozpacz. Stąpałam wśród tego rozgardiaszu ostrożnie, nie chcąc niczego dotykać ani zostawić swoich śladów; po krzyżu wędrowały mi ciarki. To żadna przyjemność przebywać w mieszkaniu nieboszczyka.

Ludziom wydaje się, że miejsce, w którym mieszkają, dużo o nich mówi, podobnie każdy uważa, że potrafi wiele wywnioskować na temat właściciela z samego wyglądu jego domu. Tymczasem okazało się, że wcale tak nie jest – lustro Jerry’ego nie krzychało: „Popatrz, to we mnie przeglądał się McFall!” i zupełnie niczym nie różniło się od dziesiątek innych lusterek, wiszących jak to na drzwiach sypialni; sofa w salonie nie przechwalała się, że należała do alfonsa i niejedno widziała, był to mebel jak wiele innych, w kuchni nie dało się nawet zorientować, jaka była ulubiona potrawa Jerry’ego. Sama nie wiem, czego się spodziewałam po tej wizycie... Być może wielkiego napisu na ścianie: „Taki owaki mnie zabił!” Niczego takiego jednak nie znalazłam – ba, nie natknęłam się nawet na najdrobniejszą choćby wskazówkę, o zaszyfrowanej sekretnej wiadomości nie mówiąc. Otaczały mnie



nikomu już niepotrzebne przedmioty, jakich pełno w każdym domu: filiżanki, popielniczki, samotny korkociąg, dwa otwieracze do butelek, czasopisma, kieszonkowe wydania książek, rozrzucone ubrania, pudełka zapalek, płyty. Poduszka jakimś trafem wylądowała w salonie, w sypialni straszyl wybebeszony materac, na który ktoś rzucił małego porcelanowego jelenia.

Już miałam dać za wygraną, kiedy mój wzrok padł na leżącą w kącie książkę adresową. Była w tym nowoczesnym typie, umożliwiającym przeskakiwanie do żądanej litery za sprawą małej dźwigienki. Nastawiłam ją na „A”, po czym urwałam, żeby swobodnie przekartkować całość. Lwia część nazwisk zupełnie nic mi nie mówiła – przelotnie przyszło mi na myśl, żeby do każdej z tych osób zadzwonić i zapytać, czy przypadkiem nie wie, kto sprzątnął Jerry’ego, ale oczywiście nie zrobiłam tego. Skoncentrowałam się na tych paru ludziach, których znałam. Był tam Harry, z dopiskiem „Red Rooster”. Był Jim, co mnie nie zdziwiło, bo przecież sam mi powiedział, że znali się z McFalle. Wśród dziewczęcych imion, takich jak Hazel czy Clara, znalazłam Nadine.

I Shelley.

Wytarłam notes rękawem i odłożyłam tam, gdzie leżał, nim go dostrzegłam, po czym wymknęłam się z mieszkania i zbiegłam po schodach.

Tuż przed wejściem do budynku zaparkowany stał wóz policyjny. Za kierownicą siedział nie kto inny jak Springer. Oczywiście parę aut dalej rzucał się w oczy czarny chevrolet.

Springer wysiadł z wozu i nad dachem powiedział do mnie:

– Nawet nie myśl o tym, by dać drapaka, Joe. Pojedziesz ze mną.

\*\*\*

Kiedy już zajęłam miejsce pasażera, wyjaśnił, że jeden z sąsiadów zadzwonił na posterunek, żeby poinformować, iż po mieszkaniu McFalla ktoś się kręci.

– Co za zabawny zbieg okoliczności! – sztydził. – I tak miałem cię dzisiaj przymknąć, więc swoją nieposkromioną ciekawością zaoszczędziłaś mi wiele zachodu... Słuchaj no, Joe. Rozmawiałem z paroma osobami i niemal wszyscy twierdzą, że od jakiegoś czasu rozpytywałaś o Jerry’ego. Ten i ów utrzymuje nawet, że znałaś gościa od niepamiętnych czasów. Myślę, że pora na szczerą pogawędkę...

Oczywiście zawiózł mnie do komisariatu. Gawędziliśmy jakieś dziesięć godzin – nieważne, co mówiłam, on i tak mi nie wierzył. Walił dłońmi w blat stołu i groził, że zaraz to

samo zrobi ze mną, jeśli wreszcie się nie przyznam. Powiedziałam mu, że nie mam się do czego przyznawać.

– Joe – popatrzył na mnie srogo – może o tym nie wiesz, ale odkąd mamy nowego burmistrza, któremu nie podoba się ten cały burdel na ulicach, nie dajemy już się tak łatwo nabrać na bajeczki opowiadane nam przez ćpunów i dilerów. Nawet ja uważam, że to wszystko zaszło za daleko. Niepokoiacie normalnych ludzi. Nie można przejść się po Times Square, żeby się nie natknąć na jakiegoś obdartusa, który wygląda bardziej jak śmierć na chorągwi niż żywy człowiek. Niedobrze się robi na wasz widok, szprycujących się gdzie popadnie, żebrzących o parę centów albo obrabiających przyzwoitych pijaków i turystów.

Odparłam na to, że nie mam z tym nic wspólnego, że od dwóch lat ani razu nie brałam. Springer wrzasnął, że kłamię. Podwinęłam więc rękawy bluzki, żeby mu pokazać zagojone blizny na przedramionach, a kiedy wzruszył na to ramionami, mówiąc, że są jeszcze inne miejsca, gdzie można dać sobie w żyłę, poprosiłam o policjantkę, żeby sprawdziła mnie całą. Wydarł się na mnie, że dobrze wiem, że w dzielnicy nie ma ani jednej policjantki i że jak będzie trzeba, sam mnie dokładnie sprawdzi, chociaż jego zdaniem to niczego nie dowiedzie, bo my ćpuny potrafimy tak się szprycować, że nie zostają ślady. Cóż, temu akurat nie mogłam zaprzeczyć.

– Bynajmniej nie płaczę po Jerrym McFallu – oznajmił już nieco spokojniej. – Dając się zabić, właściwie wyświadczył mi przysługę. Ale nie mogę pozwolić, by ta sprawa stała się początkiem jakiejś wojny dilerów w mieście.

Nie słyszałam wszystkiego, co mówił. Od dwudziestu godzin nie zmrużyłam oka, toteż zdarzało mi się przysnąć od czasu do czasu, mimo że Springer bardzo pilnował, bym pozostała przytomna. Raz czy dwa przyłożył mi w potylicę, żeby mnie obudzić, choć muszę mu przyznać, że nie zrobił tego zbyt mocno. W ogóle nagle stał się jakby przyjaźniejszy i zaczął się ze mną dzielić informacjami.

– Oprócz tej jego cizi – nadawał – no i naturalnie ciebie, ostatnią osobą, która widziała McFallę żywego, był niejaki Harmon. Widziano ich razem w „Happy Hour”, na dzień zanim Jerry zamelinował się w Brooklynie, dokładnie wieczorem jedenastego. Wystarczy, że się przyznasz, że pracujesz dla tego dziada Harmona, a ja już się postaram, żebyś dostała łagodny wyrok.

Milczałam. Oczywiście znałam starego Harmona. Był mi nawet winien przysługę. Wiedziałam także coś, czego Springer nawet nie przeczuwał: to mianowicie, że oprócz Harmona, cizi i mnie Jerry’ego w Brooklynie widziało jeszcze parę osób – i z pewnością nie był to tylko Harry i morderca.

– No, Joe – zachęcał mnie do wyznań Springer. – Po co masz kryć kogokolwiek? Nawet jeśli to Jim cię we wszystko zrobił, powiedz nam, a dobrze na tym wyjdiesz.

Powiedziałam mu tylko, że nikogo nie kryję.

Kiedy już dosłownie padałam na nos, Springera odwołano do świeżego morderstwa – jakiś biznesmen z Clevelandu zarobił kulkę na dworcu kolejowym. Zostałam zwolniona, bo jak wiadomo, biznesmen z Clevelandu jest o niebo ważniejszy od jakiegoś tam McFalla. Formalności zabrały trochę czasu, tak że na zewnątrz znalazłam się dopiero, gdy wstawał świt. Musiałam wykosztować się na taryfę, żeby odzyskać wóz Jima z Dwudziestej Siódmej Ulicy, i dopiero stamtąd pojechałam do domu. Czułam, że cuchnę komisariatem. Pierwsze co zrobiłam, to umyłam się starannie, po czym wyciągnęłam na łóżku, żeby chwilę odpocząć, nim rozpocznę nowy dzień.

Już otwierając oczy wiedziałam, że zasnęłam i przespałam co najmniej parę godzin – było wczesne popołudnie, sądząc po kącie padania promieni słonecznych. Głowę miałam ciężką jak kula armatnia, w żołądku mnie ssało, chociaż nie mogłam powiedzieć, żebym była głodna. Usta wypełniał mi ohydny posmak, zapewne ostatnia pamiątka po pobycie na posterunku. Ostrożnie się odwróciłam i rzuciłam okiem na budzik. Jeśli chciałam dopaść Harmona jeszcze tego dnia, musiałam się pośpieszyć.

Przez chwilę walczyłam z sennością, która zniknęła jak ręką odjął, gdy przypomniałam sobie obietnicę złożoną podczas jazdy powrotnej z New Village: dowiem się, kto mnie zrobił, i urzędzę gościa aż miło.

Zerwałam się z łóżka, wskoczyłam za kierownicę oldsmobila i niedługo potem zmierzałam już w stronę Górnego Manhattanu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Harmon był starszym panem, być może nawet rówieśnikiem Yonaha, ale różnili się jak niebo i ziemia. Choć obaj zażywali rozmaite świństwa od najdawniejszych czasów, po Rossie poznać było każdą działkę, podczas gdy Harmon wciąż prezentował się jak klasyczny dżentelmen, co bardzo mu pomagało w zarabianiu na nałóg. Jakby nigdy nic wślizgiwał się do ekskluzywnych restauracji i hoteli, skąd wynosił wszystko, co nie zostało przybite do ścian ani przyśrubowane do podłogi. Jego łupem stawały się części garderoby należące do gości, porcelana, zastawa – dosłownie wszystko. Krążyła plotka, że Harmon jest po studiach i że zanim wpadł w szpony hery, pisał książki. Jeśli nawet tak było, musiały to być bardzo odległe dzieje, z czasów jeszcze przed moim urodzeniem. Teraz zajmował się wyłącznie kradzieżą i ćpaniem, no i przesiadywaniem w kawiarni na Westside, gdzie każdego późnego popołudnia spożywał kolację, czekając na swych klientów. Ktokolwiek został przezeń obrobiony w ciągu ostatniej doby, mógł tam przyjść i dobić z nim targu, odzyskując swą własność po rozsądnej cenie.

Lokal ten wypełniali niemal wyłącznie złodzieje, dziwki i narkomani, z których sporą część dobrze znałam. Kiedy weszłam, skinieniem przywitała mnie Kate siedząca jak smutna gracja z podbitym okiem i swym alfonsem, Jackiem Elegancikiem. Mężczyzna uchylił kapelusza. Siedzący nieopodal John Kapelusznik i John Humpty-Dumpty, pamiętający jeszcze wprowadzenie ustawy antynarkotykowej Harrisona, unisono pożyczili mi miłego dnia. Niewykluczone, że wiedzieli co nieco o losach McFalla, i chętnie bym się do nich przysiadła, ale powstrzymała mnie obawa o mój portfel, zegarek i spinki do włosów. Przeciskałam się więc dalej w głąb lokalu, szukając wzrokiem Harmona. Siedział na samym końcu sali, tuż przy wejściu na zaplecze.

– Josephine! – poderwał się z miejsca na mój widok.

Na blacie przed nim stała filiżanka kawy i talerz z puddingiem ryżowym. Poczułam, jak do ust napływa mi ślinka. Zanim więc usiadłam obok niego, zamówiłam przy barze talerz grillowanych kurzych skrzydełek i parę bajgli i nie odeszłam stamtąd, dopóki nie dostałam wyżerki. Dopiero wtedy, balansując tacą, wróciłam do Harmona.

– Josephine – zaskrzeczał. – Wyglądasz okropnie. Nie mów mi, że znów zaczęłaś brać...

Pokręciłam głową, rzucając się najedzenie. Ono także wyglądało okropnie, ale mimo to pałaszowałam, aż mi się uszy trzęsły. Pomiędzy kęsami wyjaśniłam Harmonowi, że są gorsze rzeczy od heroiny, i opowiedziałam mu o swych ostatnich perypetiach, czym prędzej przechodząc do sedna.

– Jerry McFall... – powtórzył za mną. – Gliny już mnie o niego wypytywały. Wczoraj... a może to było przedwczoraj?... Powiedziałem im wszystko, co wiedziałem, czyli nic. Rzecz jasna o tobie także nie wspomniałem – zapewnił mnie szybko, po czym się zadumał. – Wiesz, wcale mnie nie dziwi, że ten dupek nie żyje. Jakiś czas temu kupiłem od niego trochę towaru i tyle w nim było mleka w proszku, że praktycznie nie nadawał się do użytku. Oczywiście uderzyłem w krzyk przy najbliższej okazji, chociaż nie spodziewałem się, że zechce mi zwrócić pieniądze, ale on ku mojemu zdziwieniu zaproponował, żebyśmy się spotkali za parę dni w „Happy Hour”, i obiecał, że coś wymyśli, żeby wilk był syty i owca cała... Przebąkiwał, że ma na zbyciu czyścusięńki towar i że może mi odpalić gram za darmo, wyobrażasz to sobie, Josephine? „Happy Hour” to ta okropna speluna na Czterdziestej Drugiej Ulicy i trochę się bałem tam iść, ale z drugiej strony gra była warta świeczki. Tyle że kiedy tam w końcu poszedłem, on był w towarzystwie swoich koleśków i spuścił mnie. Zaczepiłem go dopiero, kiedy wychodził, no i tak jak przewidywałem, nie miał niczego ze sobą. Na odchodnym powiedział mi, że może jutro uda mu się coś dla mnie skombinować, no ale cóż, jutro dla niego nigdy nie nadeszło... Mówię w przenośni rzecz jasna, bo z tego co wiem, ukrywał się jakiś czas w Brooklynie, nim go sprzątnęli.

Wysłuchałam wszystkiego w milczeniu, zjadając każde skrzydełko i zagryzając bajglami, aż na talerzu nie został nawet okruszek, po czym wytarłam ręce w serwetkę, jedyną, jaka była na stoliku, i wyjęłam z torebki fotografię Nadine.

– A ta dziewczyna? – spytałam, podtykając mu zdjęcie pod nos. – Znasz ją?

Harmon potrząsnął ze smutkiem głową.

– Josephine, jestem już za stary, żeby oglądać się za kobietami. Nie interesują mnie tak jak kiedyś...

Urwał, jakby nagle coś sobie przypomniał.

– Ale wiesz, zebrało mu się na gadanie wtedy w „Happy Hour”. Najpierw tłumaczył się, dlaczego nie ma dla mnie tego towaru... rzekomo jakiś inny diler wystawił go do wiatru... a potem zaczął się pieniść, jaki to z tamtego drań, wieszał na nim psy, wyzywał od zaplutyh kłamców, gadów i podłych żydków. Albo tamten naprawdę zalażł mu za skórę, albo Jerry go po prostu nienawidził całkiem bezinteresownie. A może to wszystko to było tylko mydlenie oczu...

Po raz kolejny uczepliłam się jak tonący brzytwy i poprosiłam Harmona, żeby przypomniał sobie więcej szczegółów.

– Bardzo chciałbym ci pomóc, Josephine, ale nic więcej nie wiem... A, byłbym zapomniiał. Ucieszyłem się na twój widok, bo pomyślałem sobie, że będziesz znała kogoś, komu przydałaby się broń. Jest trefna, więc nie mogę dać jej do lombardu, a mój zwykły kontakt w takich sprawach siedzi w kiciu za znieważenie funkcjonariusza na służbie. Zostało mu do odsiadki jeszcze siedemdziesiąt dwa dni z trzech miesięcy...

Już miałam odpowiedzieć, że nie, nie znam nikogo, kto by potrzebował pistoletu, ale nagle uderzyła mnie trzeźwa myśl.

Jak ja to sobie wyobrażałam: że niby co zrobię, gdy już się dowiem, kto dziabnął McFalla? Utnę sobie z nim pogawędkę? A może postraszę go scyzorykiem? Przecież ten człowiek miał broń palną i dobrze wiedział, jak się nią posługiwać – dotychczas użył jej co najmniej raz.

Zawstydziłam się, że taki ze mnie dzieciak. Mała naiwna dziewczynka. Musiałam zacząć myśleć jak dorosła kobieta. Jak ktoś wpłątany w sprawę o morderstwo. Planować swoje działania z zimną krwią...

Poprosiłam Harmona, żeby pokazał ten pistolet. Podał mi go dyskretnie pod stołem. Kiedy poczułam w dłoni ciepły metal, spojrzałam w dół. Chociaż od małego obracałam się w środowisku złodziei i opryszków, nie znałam się na broni. Nigdy mnie jakoś nie interesowała, nie zdołałam więc nauczyć się, po czym poznaje się porządny pistolet. Nie mówiąc już o tym, że nie miałam bladego pojęcia, jak się z niego strzela.

Ten jednak wyglądał całkiem w porządku. A strzelanie to w końcu żadna filozofia – myślałam. – Bierze się kogoś na muszkę i naciska cyngiel, to proste. Jak przyjdzie czas, nauczę się wszystkiego w praktyce.

– Wezmę go – powiedziałam drżącym z przejęcia głosem.

Harmon skinął głową.

– To dobra broń. Oryginalny Smith & Wesson, Josephine. Nie zawiedzie cię... – Mówiąc sięgnął do kieszeni, wyjął coś i przekazał mi pod blatem stołu. W dłoni poczułam małe, obłe metalowe przedmioty. Naboje. – Był naładowany, jak go znalazłem, ale ty lepiej przechowuj go bez kulek. To dobra zasada: nigdy nie trzymaj koło siebie naładowanej broni, chyba że zamierzasz jej użyć. – Zaśmiał się sam do siebie. – To tak jak u Czechowa... no wiesz, jak w pierwszym akcie pojawia się strzelba, to w trzecim musi wypalić... cha, cha.

Chciał za niego pięćdziesiąt dolarów. Cena wydawała mi się rozsądna, więc się zgodziłam. Kiedy zakończyliśmy transakcję, poszłam do toalety, zamknęłam się w ubikacji i

jedna po drugiej włożyłam do magazynka wszystkie kule.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Knajpa, o której wspomniał najpierw Springer, a potem Harmon – „Happy Hour” – znajdowała się przy Czterdziestej Drugiej Ulicy niedaleko Times Square pomiędzy dwoma kinami, w których wyświetlano akurat francuskie filmy. W środku było ciemno i duszno, i gęsto od nieszczęśliwych postaci wystrojonych w swe najlepsze ciuchy albo to, co za najlepsze ciuchy musiało uchodzić, i gwarno od opowieści o przekrętach, jakich te cienie ludzi nigdy nie zrobiły, i partnerach, których nigdy nie miały. Co najmniej połowa zebranych była pod wpływem tego lub tamtego – kokainy, heroiny, opium, marihuany albo zwykłych leków – podłanego mocnym alkoholem. W tym konkretnym miejscu byłam zaledwie parę razy, ale gdy tylko weszłam, poczułam się jak u siebie – nie dało się ukryć, że połowę życia spędziłam w podobnych spelunkach, robiąc to samo, co tamtego dnia robili w „Happy Hour” stali bywalcy.

Usiadłam przy barze i powiodłam wzrokiem po gęstym od dymu pomieszczeniu. Wiedziałam, że podtykanie zdjęcia McFalla obcym ludziom i wypytywanie ich o niego nie wchodziło w grę – w ten sposób szybko znalazłabym się z powrotem na ulicy – tak więc pozostawało mi opracować jakiś zmyślny plan albo odszukać kogoś, kogo choć trochę znałam. Byłam zbyt zmęczona, by wysilać szare komórki, toteż wyteżyłam oczy. Większości ludzi nie rozpoznawałam. Przez ułamek sekundy żałowałam nawet, że nie jest tak jak dziesięć lat temu, kiedy to rozpoznalabym wszystkich co do jednego. Mimo że patrzyłam na nieznajome twarze, czułam, że nic się nie zmieniło – że moi dawni znajomi zostali zastąpieni przez młodsze wersje, które jakimś cudem zajęły nasze dawne miejsca... Przy stoliku wciśniętym w róg siedziały dwie atrakcyjne jak na ten lokal dziewczyny, chichocząc do siebie, a nieopodal grupka mężczyzn przechwalała się na głos, próbując na nich zrobić wrażenie. Na uboczu jakaś trójka – dwóch facetów i kobieta – nachylała się nad swoimi drinkami, szepcząc zawzięcie, zapewne o skoku życia, który trzeba było tylko trochę dopracować...

Nagle dojrzałam Lindę Lee. Podobnie jak Shelley chciała być aktorką i kiedy wszystkie byłyśmy młodsze, myślałam nawet, że jej się uda. Była wystarczająco ładna i wystarczająco zdeteminowana, ale z jakiegoś powodu nie miała tyle szczęścia co moja siostra. Teraz, po tylu latach, spędzała wieczory w „Happy Hour”, od czasu do czasu



występując jeszcze w jakimś filmiku, który oglądało co najwyżej paru facetów – tak przynajmniej słyszałam. Obiło mi się również o uszy, że pozowała do „specjalnych” zdjęć w czasopiśmie, a niektóre były tak specjalne, że trzeba je było zamawiać listownie za pomocą ogłoszeń drobnych w podłych gazetach. Nie miałam pojęcia, jak będzie zarabiać, kiedy resztki jej urody staną się zamierzchnią przeszłością – nawet z tej odległości widziałam, że ma krótkie łapki wokół oczu i głębokie bruzdy przy ustach, a jej włosy – niegdyś kruczoczarne – zmatowiały. Elegancka zielona suknia, nieco tylko sfatygowana, podkreślała jej talię – znacznie grubszą niż kiedyś – i uwydatniała biust, który zaczynał ciążyć ku ziemi. Na przestrzeni lat tysiące mężczyzn oglądało podobiznę Lindy, w żaden sposób nie dokładając się do jej emerytury. Fotografie jeszcze długo będą krążyć w obiegu, ukazując młodą śliczną dziewczynę robiącą rzeczy, jakie tylko młoda, śliczna i bardzo zdesperowana dziewczyna może robić, podczas gdy prawdziwa Linda powoli będzie odchodzić w przeszłość, tracąc szansę na jakikolwiek zarobek. Na jakikolwiek życie. Nie było planów emerytalnych dla oszustów, dziwek i ćpunów. Inna sprawa, że gros z nich nie dożywało wieku emerytalnego.

Niewykluczone, że i ja nie miałam go dożyć, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

Linda szczerze się ucieszyła na mój widok. Zostawiła swe dwie towarzyszki niedoli, ujęła mnie pod ramię i zaprowadziła do wolnego stolika w małej niszy, gdzie było trochę ciszej. Zachwycała się tym, jak świetnie wyglądam, próbowała sobie przypomnieć, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni, i pytała, czy to przypadkiem nie ja mignęłam jej „U Johnsona” w minionym tygodniu... Zaraz jednak skojarzyła, że tamta miała rude włosy, no jakże jej było na imię? Na pewno chodziła kiedyś z Johnnym Waźniakiem...

Dopiero po chwili zorientowałam się, że jej nienaturalne ożywienie wynika z tego, że niedawno niuchnęła sobie kokainy. Przerwałam jej trochę bezceremonialnie, pytając, czy bardzo jej będzie przeszkadzać, jeśli damy sobie spokój ze wspominkami, bo wpadłam jak śliwka w kompot i rozpaczliwie potrzebuję pewnych informacji.

Potem zapytałam ją wprost, czy nie widziała gdzieś ostatnio Jerry’ego McFalla.

– Jasne! – paplała jak nakręcona. – Nie dalej jak parę dni temu... Słyszałaś, co mu się przytrafiło? Nie żyje – zachichotała – i nikt nie wie, kto go zabił! To znaczy wszyscy podejrzewają, że to były porachunki, że Jerry kogoś oskubał i że tamten się wkurzył, ale nikt nie wie nic na pewno. Jeśli chcesz znać moje zdanie, wcale się nie dziwię, że Jerry zarobił kulkę, wyjątkowo parszywy był z niego gość. Bo wiesz, Joey – nachyliła się do mnie konfidencko – znałam tę gnidę od lat. Dawno, dawno temu zrobił mi parę zdjęć, no wiesz, takich na sprzedaż. Wyszły tak okropnie, że za cholerę nie dało się ich opchnąć, bez względu na to jaką część mojego ciała pokazywały, i wyobraź sobie, że zaledwie parę tygodni

temu przyszedł z nimi do mnie i zapytał, czybym ich od niego nie odkupiła! Jakby mi były na coś potrzebne. Jezu, po tych wszystkich numerach, które w życiu zrobiłam, on myślał, że z pocałowaniem ręki zabulę za fotki, na których nie można odróżnić mojej dupy od łokcia!... Ci faceci – westchnęła. – Naprawdę, Joe, powinnaś bardziej uw...

Znowu jej przerwałam, prosząc, by skoncentrowała się na swoim ostatnim spotkaniu z McFalle.

– Liczy się każdy najdrobniejszy nawet szczegół – powiedziałam.

– No dobra – zamyśliła się. Cała aż wibrowała od chęci, by mi pomóc. A może był to efekt tego, że była na haju. Tak czy inaczej znowu zaczęła nawijać. – To było dzień przed tym, jak Jerry zniknął, czyli chyba parę dni przed jego śmiercią... Jak sobie teraz o tym pomyślę, dostaję gęsiej skórki – wzdrygnęła się teatralnie. A zresztą może były to zwykłe ćpuńskie dreszcze. – Ciekawe, co dzieje się z ludźmi takimi jak Jerry, kiedy wyzioną ducha?... – zadumała się. – Raczej nie idą do Bozi, co nie?

Delikatnie naprowadziłam ją na interesujący mnie wątek, zostawiając dywagacje teologiczne na później, kiedy już sobie pójdę.

– Zatem chodzi ci o nasze ostatnie spotkanie... Czekaj, niech się skupię... Spotkanie jak spotkanie, nic szczególnego... Najpierw wypiałam jednego z Harmonem... znasz starego Harmona, prawda?... Był wściekły na Jerry'ego, bo miał przyobiecana działkę klawego towaru, a tu wyszły nici, bo Jerry go olał. Ale z drugiej strony mógł to wszystko zmyślić, Harmon taki już jest, co nie? – trąciła mnie łokciem pod żebro. – Nie zrozum mnie źle, lubię staruszkę i w ogóle, ale gdyby wierzyć w jego opowieści, to w całym długim życiu nie trafił mu się ani jeden szczęśliwy dzień...

– Taa, cały Harmon – potwierdziłam. – A tamtego wieczoru...?

– Ach, tamten wieczór... – urwała, sięgnęła do torebki po fiolkę z kokainą, wysypała trochę proszku na paznokiec, po czym nachyliła się nad stołem i wzięła solidnego niucha. Zadrzała, prostując plecy i odkładając fiolkę na miejsce. – Mmmm, ale to dobre...

Zacisnęła szczękę i szklistym wzrokiem zapatrzyła się w przeciwległą ścianę. Dałam jej trochę czasu, żeby doszła do siebie, po czym spróbowałam znowu.

– No więc, Linda... – zaczęłam. – Tego wieczoru, kiedy ostatni raz widziałaś Jerry'ego, z kim on siedział przy stoliku?

Kiedy w dalszym ciągu gapiała się w coś, co tylko ona widziała, pomyślałam, że tracę czas. Linda była zbyt naćpana, żeby powiedzieć cokolwiek, co trzymałoby się kupy, poza tym podejrzewałam, że nie ma wiele do opowiedzenia. Widziała McFalla, kropka. Niby dlaczego coś wyjątkowego miało się wtedy wydarzyć? Przecież Jerry nie był świadom, że za kilka dni

ktoś go dopadnie i włada mu kulkę prosto w serce.

Podskoczyłam, kiedy Linda znów się odezwała.

– Cholera, Joe, przepraszam... Zamyśliłam się nad... sama nie wiem nad czym...

– Nad McFalle – przypomniałam jej ze znużeniem. – Rozmawialiśmy o McFallu. O tym, czy kiedy go tutaj widziałaś, zachowywał się jakoś dziwnie, inaczej niż zwykle?

– Chyba nie... – Linda niepewnie potrząsnęła głową. – Po prostu siedział przy barze i popijał drinka z którymś ze swoich kumpli, nie wiem dokładnie z którym. Potem wyszedł na zewnątrz z Harmonem, albo przynajmniej tak było według samego Harmona... Później film mi się urwał, a jeszcze później zobaczyłam go ponownie, tyle że w tej knajpie przy Times Square, no wiesz, w tej, co jest czynna okrągłą dobę... musiało już być nad ranem... Siedział i pił kawę z twoją siostrą.

– Co powiedziałaś? – Byłam pewna, że się przesłyszałam.

– Nno... – Linda popatrzyła na mnie wystraszona. – Że siedział przy barze i popijał drinka z którymś ze swoich kumpli...

– Nie to! Potem.

– No, jak się ocknęłam w „Happy Hour”, właśnie zamykali, więc z jedną moją koleżanką poszłyśmy na kawę do tej kafejki przy Times Square, która jest otwarta całą dobę. Nazywa się „U Charliego” albo „U Harry’ego”, albo jakoś tak, na pewno ma w nazwie męskie imię... Tak naprawdę to straszna klitka, podają tam tylko kawę i hamburgery, i jajka na bekonie, sama nie wiem, czemu tam wciąż chodzę, to takie okropne miejsce...

– Ale był w nim McFall, zgadza się? – Nie mogłam jej pozwolić się rozgadać, bo gotowa była zapomnieć, co tam naprawdę widziała. – Zdaje się, że nie był sam, tylko z...?

Popatrzyła na mnie zdumiona.

– No tak jak mówiłam, z twoją siostrą, Shelley, bo tak ma na imię, prawda? Wiesz, Joe – zniżyła głos – nie chciałabym być nieuprzejma, ale ta twoja siostra strasznie zadziera nosa ostatnimi czasy. Nie jestem zazdrosna, nic z tych rzeczy, cieszę się, że zaszła tak daleko... teraz ten program telewizyjny, wow... no ale mogłaby się chociaż przywitać, nie? A ona zachowywała się tak, jakby mnie w ogóle nie znała.

– Muszę z nią o tym porozmawiać – rzuciłam, ale myślami byłam gdzie indziej.

Więc Shelley znała McFallę i nawet się z nim widywała. A mnie powiedziała, że być może spotkała go raz w życiu, lata temu...

Nagle naszła mnie ochota, by wstrzyknąć sobie największą dawkę świata najmocniejszego towaru w Nowym Jorku. I powodem wcale nie było to, że ktoś mnie próbował zrobić w zabicie Jerry’ego McFallę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Tamtej nocy przewracałam się w łóżku z boku na bok, nie mogąc zasnąć. W głowie buzowało mi od najróżniejszych wspomnień. Między innymi przypominałam sobie pierwszy raz, kiedy nasza matka dała w długą i zostawiła nas w domu same – mnie i Shelley; ja byłam wtedy małą dziewczynką, a moja siostra zaledwie paroletnim brzdącem. Przez trzy dni siedziałyśmy w domu, wyjadając jakieś resztki, toteż gdy matka wróciła, starczyło mi siły tylko na to, by ułożyć Shelley na naszym tapczanie, po czym usiadłam na progu drzwi wejściowych i się rozryczałam – z głodu, ze strachu, z ulgi. Za drugim razem byłam już mądrzejsza. Nie czekałam z nadzieją na rychły powrót matki, tylko podrzuciłam siostrę sąsiadce, a sama udałam się na pobliski rynecek, gdzie wyprosiłam trochę jedzenia na kreskę. Oczywiście w miarę jak sytuacja się powtarzała, coraz mniej handlarzy chciało mi cokolwiek sprzedać na kredyt, ale zanim do cna utraciłam u nich wiarygodność, nauczyłam się zdobywać pieniądze.

Czując, że i tak nie zasnę, wstałam z łóżka i podobnie jak kiedyś, podczas innej bezsennej nocy, zasiadłam na fotelu przy oknie. Bezwiednie bawiłam się pistoletem, wyciągałam z niego naboje i wkładałam je z powrotem, i tak w kółko. Od czasu do czasu udawałam, że do czegoś mierzę i wypalam. Bum, bum... Pistolet ciążył mi w dłoni, może dlatego że nie byłam przyzwyczajona do broni palnej, a może z zupełnie innego powodu. Zastanowiłam się, czy dam radę go utrzymać we właściwej pozycji, kiedy przyjdzie co do czego. Wątpiłam w to, niemniej dalej ćwiczyłam z pustym magazynkiem. Maszynka do kawy... bum... kubek... bum... butelka whisky... bum... A to dla ciebie, Springer.

Najchętniej zastrzeliłabym McFalla, gdyby jeszcze żył.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Shelley mieszkała w ładnym apartamentowcu niedaleko Gramercy Parku. Było to jedno z tych miejsc, w których sąsiedzi muszą się zgodzić na nowego lokatora, toteż po dziś dzień pozostawało dla mnie tajemnicą, jak Mike – facet, który opłacał czynsz mojej siostry – zdołał ją umieścić pod tym adresem. Z daleka poznać było, że wśród mieszkańców przeważają kobiety; w oknach wisiały fikuśne zasłony, balkony zdobiły kwiaty, a przed wejściem do budynku nie poniewierał się żaden śmieć. Wyłożony kamieniem hall także był niezwykle schludny, człowiek odnosił wrażenie, że znalazł się nie w zwykłej kamienicy, ale w domu przy Wschodniej Sześćdziesiątej Siódmej. Wygalantowany cieć nie miał nic przeciwko temu, bym zaczekała tam na Shelley – to znaczy z początku nie miał nic przeciwko. Po jakichś pięciu czy sześciu godzinach zaczął przebąkiwać, że może wygodniej by mi było gdzie indziej, i w końcu zaproponował, że jeśli zostawię numer telefonu, on z chęcią do mnie zadzwoni i powiadomi mnie, że panna Dumere właśnie wróciła. Brooklyn wyłaził z niego wszystkimi porami i nic tu nie pomógł elegancki uniform ani kosztowna woda kolońska.

Mniej więcej wtedy, kiedy on jął tracić cierpliwość, spojrzałam na niego i się rozbeczałam. Sama nie wiem, jak mi się to udało, bo nie posiadałam zdolności aktorskich Shelley, o umiejętności płaczu na zawołanie nie wspominając, ale faktem jest, że stałam tam i płakałam jak bóbr.

– O Je... Bardzo mi przykro...

Cieć wyglądał na przerażonego, podobnie jak większość mężczyzn w obliczu szlochającej kobiety. Wykonywał jakieś nieskoordynowane ruchy, zapewne w poszukiwaniu czystej chusteczki, a może lizaka, żeby mnie uspokoić.

– Chodzi o to... – mówiłam przez łzy – ...że w rodzinie panny Dumere stało się coś strasznego i naprawdę... – szloch, szloch – ...muszę z nią pomówić, jak tylko się tu zjawi, ani minuty później.

– Bardzo mi przykro, panienko – powtórzył cieć. Wreszcie wydobył skądś nie zużytą chusteczkę i mi ją podał, a ja wytarłam oczy i wysiąkałam nos, po czym uchwyciłam się jej niczym koła ratunkowego. – Nie chciałem panienki denerwować, tyle że...

– Och, ja doskonale pana rozumiem, na pewno trochę tu zawadzam przez tyle godzin...

Na przemian składał mi kondolencje, wyrażał współczucie i przepraszał, ale po około setnym „Bardzo mi przykro...” dał mi nareszcie spokój. Pochlipałam jeszcze przez chwilę i też zamilkłam, usadawiając się w kątku i nastawiając na dłuższe czekanie.

\*\*\*

Shelley pokazała się w drzwiach nieco po dziewiątej wieczorem. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę, niby zupełnie zwyczajną, ale stąd że leżała na niej jak ulał, wiedziałam, że musiała kosztować fortunę. W obu rękach niosła torby z zakupami z rozmaitych znanych sklepów, ale po paru krokach rozlegających się echem w całym hallu upuściła je u stóp ciecia, nie mówiąc ani słowa. Prawdopodobnie wnoszenie zakupów na piętro należało do jego obowiązków.

Kiedy wyszłam z cienia, na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

– Joey – powiedziała bezbarwnym głosem – co za niespodzianka.

– Witaj, Shelley. Mogę wejść z tobą na górę? Wydaje mi się, że powi...

Przerwała mi w pół słowa.

– Cieszę się, że cię widzę, Joey, naprawdę, ale lada moment ma wpaść Jake, a on bardzo nie lubi, kiedy zastaje u mnie gości...

Nie miałam pojęcia, kim jest Jake – widać zastąpił niedawno Mike’a – nie dbałam o to jednak. Dobrze pamiętałam nasz układ – mój i Shelley. Przed obcymi musiałam udawać, że nic mnie z Shelley nie łączy: oficjalnie przestałam być jej siostrą. Ona bywała teraz w różnych ważnych miejscach, a ja... cóż... ja znalazłam się w przeszłości w zbyt wielu takich, których autorament w niczym by jej nie pomógł w karierze. Moja obecność irytowała ją, widziałam to po jej oczach. Przez głowę przebiegały jej pewnie myśli w rodzaju: „Co będzie, jak zobaczy mnie z nią któraś sąsiadka? Co sobie pomyśli o tej taniej garsonce i nylonowych pończochach? A jeśli Jake – albo Mike, albo ktokolwiek – naprawdę przyjdzie?” Dotychczas zawsze dopełniałam warunków umowy, dlatego pozwoliłam sobie na to, by rozejrzawszy się wokół i upewniwszy, że cieć nas nie słucha, zajęty wpakowywaniem jakiejś starej ropuchy do taryfy, wysyczeć:

– Idziemy na górę, ale to już! – Shelley chciała chyba zaprotestować, więc na wszelki wypadek dodałam: – A jak nie, to narobię takiego krzyku, że każda cholerna wypindrzona staruszka w tym domu dowie się, że jesteś zwykłą dziwką! Chcesz tu dalej mieszkać czy nie?...

W milczeniu przeszliśmy do windy i wjechałyśmy na piętro.

Mieszkanie Shelley było całe urządzone na biało. W salonie stały białe, powleczone aksamitem kanapy i krzesła o białym satynowym obiciu, które zrujnowałoby, gdyby ktoś choć raz na nich usiadł. Większość mebli zrobiona była albo z lakierowanego na biało drewna, albo z białego marmuru. Za szybkami serwantki, wymalowanymi w białe różyczki, tkwiła śnieżnobiała krucha porcelana. Shelley gestem wskazała mi sofę najmniej bijącą w oczy bielą, po czym sama na niej usiadła i utkwiała we mnie wściekły wzrok.

– Masz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o Jerrym McFallu – rozkazałam. – I nawet nie próbuj starej śpiewki, że widziałas go raz w życiu.

Shelley przybrała zdumiony wyraz twarzy. Naprawdę niezła z niej była aktorka.

– Joey, nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Ja przecież...

Było mi jej żal. Naprawdę. Nasza matka była nic niewartą pijaczką i cichodajką, która nawet nie potrafiła swoim dzieciom zorganizować jednego ojca albo przynajmniej któregoś z nich zatrzymać na dłużej. Ja na jej oczach stoczyłam się na samo dno i jeszcze głębiej. Życie potrafi być ciężkie i okrutne i z pewnością nie oszczędziło Shelley. Niemniej w tamtym momencie nie chciałam o tym myśleć. Shelley mnie okłamała – to mogłam jeszcze przeżyć – ale teraz nadszedł czas, by wyśpiewała mi wszystko jak na spowiedzi. Zbyt wiele od tego zależało, toteż nie zamierzałam się z nią cackać.

Dlatego zrobiłam wtedy coś, czego nie zrobiłam nigdy przedtem – zraniłam ją. Złapałam ją za rękę i wykręciłam boleśnie – nie na tyle, by uczynić jej prawdziwą krzywdę, ale dość, żeby napędzić jej strachu.

– Dobrze! – krzyknęła zszokowana. – Już dobrze... Wszystko ci powiem.

Puściłam ją więc, a ona złapała się za poznaczone odciskami moich palców przedramię i zaczęła je masować, jakby wciąż ją okropnie bolało. Z jej oczu zniknęła złość, pojawiło się w nich za to zmęczenie i coś jakby wstyd...

– Słyszałam o wszystkim – zaczęła cichym głosem. – O tym, że go zastrzelili i w ogóle... – Spojrzała mi prosto w twarz. – Co za pech! Teraz już nie znajdziesz tej dziewczyny.

– Czy ja wiem, Shell... – westchnęłam. Nigdy nie potrafiłam się na nią długo gniewać. – To nie ta dziewczyna zaprzęta mi teraz głowę...

Shelley popatrzyła na mnie rozszerzonymi oczami.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że policja cię podejrzewa, co, Joe?

Zawsze chroniłam Shelley. Być może nie byłam w tym najlepsza, ale przynajmniej się starałam i Bóg mi świadkiem, że i tym razem ją ochronię – mówiłam sobie w duchu. – Nie pozwolę, by ktokolwiek połączył jej osobę ze śmiercią tego drania McFallu.

Przełknęłam ciężko ślinę i mając nadzieję, że lepszy ze mnie kłamca niż z Jima, odparłam:

– Ależ skąd, Shell... Co ci też przyszło do głowy?... Po prostu potrzebuję informacji, to wszystko.

Skinęła nieznacznie i wróciła do tematu.

– McFall... Tak, znałam go. Zaopatrywałam się u niego od czasu do czasu. – Popatrzyła na mnie groźnie i rzuciła: – I nie wyjeżdżaj mi tutaj ze swoimi pogadankami. Zdaję sobie sprawę, że robiłam głupio, ale czasem po prostu... sama zresztą wiesz najlepiej. Przychodzą takie chwile, że mam wszystkiego dość, wszystko mnie nudzi... Tak czy inaczej spotykałam się z nim w takiej małej kafejce przy Times Square, tam gdzie nikt z moich znajomych nie mógł mnie zobaczyć... – Znow na mnie spojrzała. – To znaczy nikt z moich obecnych znajomych...

– Chryste, Shelley – jęknęłam. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Wiem, Joey, wiem... – Schowała twarz w dłoniach i zaśmiała się, śmiechem takim, jaki wydobywa się z człowieka, gdy nie jest mu ani trochę do śmiechu. – Zawsze uważałaś, że jestem mądra, a tu proszę, jaki głuptas ze mnie... Nie pytaj mnie, dlaczego brałam, bo nie potrafię na to odpowiedzieć... Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, czemu robię większość rzeczy... Chyba nie umiem się powstrzymać. – Roześmiała się znowu. – Słyszałaś już, że dostałam rolę w nowym programie telewizyjnym?

Uśmiechnęłam się do niej. Kiedy się z czegoś cieszyła, wyglądała jak mała dziewczynka, którą tak dobrze pamiętałam.

– Jasne, że słyszałam. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem z ciebie dumna.

Shelley spuściła wzrok.

– Nie mówiłabyś tak, gdybyś wiedziała, jak dostałam tę rolę. – Nagle znow się ożywiła i zapytała: – Napijemy się?

– Pewnie. Dla mnie whisky.

Kiedy poszła do kuchni, ujęłam w palce wizytówkę, która przez cały czas leżała na stole. „Jake Russo” – przeczytałam. – „Agent nieruchomości.” Nie zdążyłam odłożyć kartonika na miejsce, nim Shelley wróciła, niosąc po szklance pełnej scotcha, zapytałam ją więc niby od niechcenia:

– To ten Jake? On płaci za mieszkanie?

Shelley potwierdziła skinieniem.

– Skąpy łachudra – rzekła, ale jakoś tak bez przekonania. – Pracuje w dużej agencji, która zajmuje się wynajmem apartamentów na Manhattanie, i tak zachachmęcił w księgach,



że nie musi na mnie wybulić ani centa. – Upiła solidny łyk i nie patrząc na mnie, dodała nagle: – Przepraszam, że nic ci nie powiedziałam o McFallu wtedy, gdy mnie pytałaś. Naprawdę chciałam ci pomóc, uwierz mi, ale bałam się, że jak się dowiesz, że znów biorę, to...

– W porządku, Shelley, rozumiem. Ale teraz możesz mi już wszystko powiedzieć, prawda? Na przykład czy znałaś tę całą Nadine...

– Tego akurat nie wiem na pewno. Możliwe, że ją widziałam z McFalle... zdaje się, że mówiłaś, że była jego dziewczyną...

Przytaknęłam.

– A skąd Jerry brał swój towar?

– Nie wiem, Joey, jak Bożię kocham, nie wiem. Ale kiedyś z nim poszłam w takie jedno miejsce...

Omal się nie zakrztusiłam swoją whisky.

– Więc jednak wiesz! Cały ten czas wiedziałaś!

– Nie – pokręciła głową Shelley. – Nigdy nie widziałam tamtego dilerka. – Kiedy rzuciłam jej niedowierzające spojrzenie, zaczęła wyjaśniać: – Widzisz, to było tak: umówiłam się z Jerryem w zwykłym miejscu, żeby kupić od niego trochę hery, ale jak przyszłam, okazało się, że jest spłukany. Dałam mu więc swoje pieniądze i czekałam na niego przy kawie. Po którymś z kolei espresso znudziło mi się czekać, więc wyszłam, żeby go poszukać... naiwniaczka ze mnie, co nie?... i wpadłam na niego, jak wysiadał z czyjegoś samochodu. Potem pojechaliśmy poporcjować towar, dostałam wtedy gram czy dwa ekstra...

– Jak to możliwe, że nie widziałaś kierowcy tamtego wozu?

Shelley przyjrzała mi się uważnie, nim odparła:

– Bardziej w oczy rzucał się sam wóz... Nowiuteńki rocket 88.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Gramercy Park był terenem zamkniętym, ale można go było podziwiać przez płot. Nawet nocą wydawał się miejscem jak z bajki – w oświetleniu ulicznych lamp pobłyskiwały pąki kwiatów i równe rzędkie krzewów i drzew. Wszystko, nawet ławki i alejki, znajdowało się dokładnie na swoim miejscu, zapewne za sprawą tabunu wykwalifikowanych ogrodników. Mijałam go wolnym krokiem, wracając do domu, ale już kawałek dalej przyśpieszyłam, kiedy dotarłam do następnego parku czy też raczej placyku, na którym było więcej betonu niż roślin. Musiał mieć jakąś nazwę, lecz ja jej nie pamiętałam i nie sądziłam, by znał ją ktokolwiek inny – być może oprócz personelu i pensjonariuszy pobliskiego szpitala dla psychicznie chorych. Choć nie dzieliła mnie od apartamentu Shelley znaczna odległość, różnicę w otoczeniu dało się zauważyć nawet po ciemku. W takim miejscu mieszkałam i nie było od tego ucieczki.

Mimo późnej pory w hallu „Sweedmore” czekał na mnie Jim. Siedział na wspaniałomyślnie udostępnionym mu przez Lavinie krześle, staromodnym i niemożliwie niewygodnym sądząc po wyglądzie. Bardziej niż widok Jima zdziwiło mnie to, że usiadł na czymś tak zakurzonym, na ogół bowiem dbał o swoje nieskazitelne garnitury.

Poderwał się, kiedy tylko przestąpiłam próg.

– Joey! – zawołał. – Martwiłem się o ciebie! Wszystko dobrze?

Zgodnie z prawdą poinformowałam go, że sytuacja nie przedstawia się różowo.

– Chodź, postawię ci kolację... – objął mnie w pasie.

Było już po północy, o wiele za późno na kolację w nawet najdłużej czynnym lokalu, ale mnie powoli wszystko obojętniało. Wzruszyłam ramionami i dałam się poprowadzić Dwudziestą Drugą Ulicą. Zmierzaliśmy na zachód, chociaż nie wiedziałam gdzie dokładnie. To także było mi obojętne.

Zaszliśmy aż za Trzecią Aleję. Tamten rejon należał do spokojniejszych w okolicy, a o tej porze był cichy i wyludniony. Właściciele schludnych domków szczelnie pozamykali na noc drzwi i okna, zaciągnęli perkalowe zasłony. Skręciliśmy w Lexington Avenue. Na tym odcinku zabudowana była smutnymi sklepikami i warsztatami, do których mało kto zaglądał nawet za dnia. Mijaliśmy po kolei: sklepik jakiegoś Włocha oferujący sery, fryzjera i perukarza, zakład naprawiający radia lampowe, obskurny bar, gdzie podawano ciężkostrawne

śniadania i lunch. Znów skręciliśmy i sunęliśmy dalej wzdłuż Dwudziestej Trzeciej Ulicy, gdzie sceneria niewiele się zmieniła – sklep kolonialny, kwiaciarnia, oddział banku, sklep kolonialny i z artykułami dla malarzy, „salon” z ubiorami dla lekarzy i pielęgniarek. Wciąż ani żywego ducha, tylko ja i Jim. Pomyślałam, że szkoda tego całego miejsca, tej przestrzeni, tylko dla mnie i dla niego.

– Dowiedziałaś się czegoś? – spytał ani trochę nie zaspany Jim.

– Y-y – pokręciłam głową. – Przynajmniej nic takiego, czego nie wiedziałabym wcześniej.

Po tej krótkiej wymianie zdań znowu pogrążyliśmy się we własnych myślach i milcząc szliśmy ramię w ramię szeroką ulicą zdolną pomieścić paradę z okazji Czwartego Lipca, a nie tylko dwoje ludzi.

– Zjemy u „Lenny’ego”? – zapytał Jim po parudziesięciu metrach. – Powinien mieć wciąż otwarte.

– Jasne – odparłam. – Czemu nie...

– Tak sobie myślałem – Jim stawiał nogę za nogą i mówił w rytm swoich kroków – że mogło wcale nie pójść o narkotyki... Mnóstwo ludzi życzyło McFallowi śmierci... Na przykład któraś z jego „dziewczyn” albo jej rodzice...

– Rozmawiałam z Shelley – powiedziałam grobowym głosem, kiedy na chwilę urwał.

Jim się zatrzymał i powoli obrócił twarzą do mnie.

Przebiegła mi wtedy przez głowę myśl, że jeśli już miałam to nieszczęście, że poznałam prawdę, powinnam była natychmiast o wszystkim zapomnieć. No bo co mogłam z tą prawdą zrobić? Mało prawdopodobne, by ktoś dał wiarę moim słowom, już prędzej dostałabym dłuższy wyrok za fałszywe zeznania. Oczywiście pozostawała zemsta, ale ta zaowocowałaby dwukrotnie wyższym wyrokiem albo podwójną czapą. Istniała niewielka szansa, że prawo stanęłoby po mojej stronie, ale czy na pewno tego chciałam? Co mnie jeszcze w życiu czekało? Następne trzydzieści parę lat łamania tegoż prawa, męczenia się z własnym nałogiem, który jak wiedziałam, nigdy nie da za wygraną, zarabiania paru centów tu i tam, lecz nigdy nie dość, by mieć więcej niż na ciepły posiłek i dach nad głową? Czy naprawdę miałam o co walczyć? Kusilo mnie, żeby obrócić się na pięcie, pognać do Springera i nim zmienić zdanie, kazać mu, żeby wystukał na maszynie, co mu się żywnie podoba, a potem to podpisać. W ten sposób zapewniłabym sobie wikt i opierunek do końca życia, a darmowe spanie i trzy posiłki dziennie to nie było coś, czym wzgardziłabym w moim położeniu. W pewnym sensie Springer wyświadczyłby mi przysługę... A może powinnam podejść do sprawy po męsku, zażyć co trzeba i odejść z godnością, nie przejmując się niczym

zbyttnio i nie biorąc niczego do siebie?...

Nie, żadne z tych rozwiązań mi nie odpowiadało.

– Joey – wykrztusił tymczasem Jim – wiesz, jeśli chodzi o Shelley, to nie wydaje mi się, żebyś mogła jej ufać tak jak kiedyś...

Rozejrzałam się po pustej ulicy. Wszędzie panowała cisza i spokój, nie nadjeżdżał żaden samochód, nie zbliżał się żaden spóźniony przechodzień – zupełnie jakby ktoś zarezerwował ten kawałek miasta wyłącznie dla nas, żebyśmy ja i Jim doszli ze sobą do ładu i wyjaśnili sobie to i owo.

To co Shelley powiedziała o wozie, z którego na jej oczach wysiadał McFall, było ostatnią kroplą. Po drodze natknęłam się na mnóstwo innych małych dowodów – dobrze mi znany numer telefonu w książce adresowej Jerry’ego, jego słowa przekazane mi sparodiowanym głosem: „Gdybym mógł, zrobiłbym to jeszcze raz, tylko po to, żeby zobaczyć minę tego nadętego fagasa. Znasz ten typ... gość myśli, że jest lepszy od nas”. Dziewczyna z „Royale” wyraziła się niemal tak samo: „Słyszałam, że utopiłby dostawcę w łyżce wody, gdyby mógł. Ponoć facet się sadził na kogoś lepszego od niego, co doprowadzało Jerry’ego do szału”. Przy Harmonie Jerry wieszał psy na „podłym żydku”. Oczywiście to wszystko nie zawęzało grona podejrzanych do jednej osoby, ale z drugiej strony... Nie wydaje mi się, żeby w Nowym Jorku roiło się od nadętych żydów znanych w światku przestępczym i kolegujących się z McFallem, a do tego rozbijających się oldsmobilem.

No i było jeszcze to, że jak mało kto wiedziałam, iż Jim jest urodzonym oszustem. Nająć ludzi, zaaranżować parę scenek, a potem zachowywać przy mnie pokerową twarz to dla niego było małe piwo. Poza tym kto jak nie Jim naprowadzał mnie na trop, kiedy traciłam wątek i stawałam pod ścianą? Kto jak nie on namawiał mnie, bym kontynuowała poszukiwania? To on podsunął mi, żebym pociągnęła za język Paula, żebym odwiedziła park Bryanta... To on – co było do niego zupełnie niepodobne – pożyczył mi swój wóz. I – nade wszystko – tylko on wiedział, że tamtej nocy wybierałam się do Brooklynu. A później nie kiwnął palcem, mimo że był świadom, iż wpakowałam się w niezły pasztet, i jakby nigdy nic zakończył naszą, dość zażyłą przecież, znajomość. A teraz nieoczekiwanie znowu się pojawił... Czyżby po to, żeby mnie wybadać? Czy też by do szczętu mnie pograżyć, a samemu się wybielić?...

Ale nawet te wszystkie fakty o niczym jeszcze nie przesądzały. Choć ładnie się ze sobą łączyły, każdy z osobna mógł być zaledwie przypadkiem, zbiegiem okoliczności. Jim był oszustem – cóż, tak zarabiał na życie; Jim wychodził ze skóry, żeby mi pomóc w poszukiwaniach – cóż, taki już był z niego dusza człowiek, na którego można liczyć w każdej

sytuacji; Jim nagle przestał się mną interesować – cóż, tacy są mężczyźni, wiecznie w pogoni za niedoścignionym ideałem i większym biustem. Tak też mogło być.

Mogło, lecz nie było, gdyż ja miałam stuprocentową pewność, że za wszystkim stoi Jim. Nikt inny nie znał mnie na tyle dobrze, by z taką łatwością mnie zrobić. Podejrzewałam, że to on, niemal od samego początku, lecz i tak ostatnie parę dni spędziłam próbując sobie udowodnić, że się mylę. Nie myliłam się jednak. Nie tym razem. To był Jim.

Odkąd kupiłam od Harmona pistolet, nosiłam go cały czas w torebce, o ile akurat nie ćwiczyłam na sucho w swoim pokoju. Wybierając się na tę nocną przechadzkę nie miałam nic przeciwko temu, by mi ciążył na ramieniu. Kiedy Jim zaczął napomykać, że być może wcale nie poszło o narkotyki, wsunęłam dłoń do torebki i oplotłam kolbę palcami. Kiedy zauważył, że nie powinnam tak bardzo ufać Shelley, wyszarpnęłam pistolet z torebki i wycelowałam mu prosto w pierś.

– Jezu, Joe, co ty wyprawiasz?

Mówił cichym, uspokajającym głosem, jakim mówi się do szaleńca lub samobójcy, równocześnie ledwie zauważalnie przesuwał się w moją stronę.

– Ani kroku dalej!

Zatrzymał się w miejscu.

– Dobrze, Joey. Zrobię, co każesz. Tylko zachowaj spokój...

– Ależ Jim, przecież zachowuję spokój, nie widzisz? Wciąż jeszcze żyjesz... – Głos uwiązał mi na moment w gardle. – Dlaczego ja, Jim? Co ja ci kiedykolwiek zrobiłam?

– Joey, nawet nie wiem, o czym mówisz... Co ci ta Shelley nawygadywała?

Krążyliśmy wokół siebie jak zapaśnicy na ringu. Oprócz naszych ciężkich oddechów dał się słyszeć odległy szum aut jadących Trzecią Aleją.

– Kto siedział w tym czarnym chevrolecie, Jim?- zapytałam. – Ktoś, kto pracuje dla ciebie, czy może twój szef? Który z was załatwił McFalla?

Jim milczał, patrząc mi prosto w oczy.

Potem postąpił krok w moim kierunku.

– Nie, Jim – pokręciłam głową. – Nie zbliżaj się do mnie, bo cię zastrzelę.

Stanął posłusznie, ale dalej nie spuszczał ze mnie oka.

– Czemu ja, Jim? – powtórzyłam bezradnie.- Jeśli miałeś kłopoty, pomogłabym ci z własnej woli. Wystarczyło mi poprosić... Nie musiałeś robić tego wszystkiego...

– Joey, jesteś przemęczona. Mąci ci się w głowie. Chodź, pójdziemy do mnie, odpoczniesz trochę...

– Zamknij się! – warknęłam.

Czułam, że się pocę. Strumyki zimnej lepkiej cieczy spływały mi między łopatkami i po czole. Musiałam przetrzeć sobie oczy. Kiedy odjęłam dłoń od twarzy, zobaczyłam, że Jim trzyma jedną rękę w kieszeni trencza. Wyszarpnął ją szybkim gestem i schował za siebie. Dobrze wiedziałam, co tam ma. Pistolet. Pewnie dwa razy większy od mojego. Co do tego, że Jim jest lepszym strzelcem ode mnie, również nie miałam cienia wątpliwości. W końcu był na wojnie, a krążyły słuchy, że i wcześniej posługiwał się bronią. Niedawno znów zabił człowieka...

– Joey...

Wymówił moje imię tak, jakby nic się między nami nie zmieniło, jakbyśmy nadal byli przyjaciółmi.

– Jim...

Wiedziałam, że nie odpowie na żadne z moich pytań. Nadszedł czas. Poczulałam, że się unoszę, i nagle zobaczyłam wszystko z zupełnie innej perspektywy, jakbym nie stała już na pustej nowojorskiej ulicy, tylko płynęła nad nią wolna od wszelkich trosk. Stamtąd wszystko wydawało się inne. Prostsze. Cieszyłam się, że wreszcie oderwałam się od ziemi, od tego całego brudu, w którym babrałam się od maleńkości. W tamtej chwili za nic w świecie nie dałabym się sprowadzić na dół po dobroci.

Ale przecież musiałam zabić Jima.

Na powrót znalazłam się we własnym ciele i odciągnęłam zamek. Potem wymierzyłam w sam środek piersi Jima, okrytej eleganckim trenczem, pod którym jak zawsze miał garnitur uszyty przez krawca z Orchard Street. Wtedy Jim wyprostował prawe ramię i w ciemności błysnął metal. Równocześnie rozległ się huk i Jim upadł. Przewrócił się do tyłu na chodnik z głuchym łoskotem i podskoczył parę razy, nim zamarł. Wokół wirowały strzępy jego ciała i kropelki krwi.

Jak to możliwe? – myślałam. – Przecież nie pociągnęłam za spust. To nie ja go zabiłam, kto inny to zrobił...

W głowie mi się kręciło, ulica to przybliżała się do mnie, to oddalała, kiwała to w lewo, to znów w prawo. Dopiero po długiej chwili odzyskałam zdolność normalnego widzenia. W ustach czułam okropny posmak, sukienka lepiała mi się do ciała. W duchu postanowiłam, że zdejmę ją i wyrzucę, jak tylko przyjdę do domu.

Obróciłam się i natychmiast zakryłam oczy dłonią. Poraziło mnie światło latarki. Zamrugałam kilka razy, nim dojrzałam, że po drugiej stronie ulicy ktoś stoi.

– Nie żyje, Joe, załatwiliśmy go... – Znałam ten głos, ale nie umiałam przypisać doń żadnej twarzy. Słuchałam więc dalej, wciąż oszołomiona tym, co zaszło.- Miałaś sporo

szczęścia, że tu byliśmy... Ty byś spudłowała jak nic...

Promień opadł na jezdnię i wreszcie z mroku wydobyła się czyjaś sylwetka.

Detektyw Springer.

Podszedł do mnie ze swoim partnerem, który czaił się gdzieś w ciemnościach, i w trójkę zbliżyliśmy się do Jima leżącego tam, gdzie jeszcze przed parunastoma sekundami stał. Oberwał trochę powyżej pępka, pod sercem, poły płaszcza odsłaniały poszarpany i zakrwawiony garnitur. Spod pleców wypływała mu szeroka struga czerwonej cieczy, zbierała się w kałużę i spływała powoli do rynsztoka. Twarz miał ściągniętą grymasem bólu – domyślałam się, że w ostatnich chwilach życia strasznie cierpiał – w zaciśniętej zaś kurczowo dłoni wciąż trzymał gotowy do strzału pistolet.

Przymknęłam oczy, łudząc się, że gdy je otworzę, Jim znów będzie stał przede mną, a po Springerze i drugim policjancie nie zostanie nawet ślad.

Kiedy rozwarłam powieki, młody policjant przypatrywał mi się uważnie, a Springer trącał Jima czubkiem buta, upewniając się, że jest zabity na amen. Ułamek sekundy potem za rogiem zawyły syreny wozów policyjnych i wkrótce spokojna uliczka zarośla się od mundurowych. Wszyscy zmierzali ku mnie tyralierą, nie spuszczać mojej głowy z muszki. Sierżant zaczął wykrzykiwać jakieś rozkazy i następne co pamiętam, to jak silne męskie ręce ciągną mnie w stronę suki, gdzie dokładnie mnie przeszukano, po czym na sygnale zawieszono na posterunek.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Najpierw w obroty wzięli mnie dwaj młodzi i całkiem przystojni tajniacy. Zamknęli się ze mną w ciasnym pokoiku bez okien, po czym bez żadnych ceregieli zarzucili mnie setką pytań, których wagę podkreślali waleniem pięściami w metalowy stół. Właściwie słyszałam wyłącznie ten łomot, w tak głębokim byłam szoku. Z trudem przychodziło mi się na czymkolwiek skupić, ich jednak nie zniechęcało moje milczenie. Mniej więcej przy dwusetnym pytaniu zaczęło do mnie docierać, że pytają nie o to, o co powinni pytać w takiej sytuacji. Dlaczego nie interesuje ich, czemu próbowałam zastrzelić Jima – myślałam – tylko to, z jakiego powodu Jim zabił McFallę?

Zamiast więc grzecznie im odpowiadać, zrewanżowałam się własnymi pytaniami. Na przykład: skąd w ogóle wiedzą o Jimie i McFallu?

– Przymknij się – poradził mi jeden z nich – i lepiej z nami współpracuj, jeśli nie chcesz wylądować na krześle elektrycznym.

Jakoś trudno mi było uwierzyć, by za zabicie McFallę czekała mnie czapa, niemniej na wszelki wypadek zamilkłam. Moment później do pokoiku wparował Springer z wielkim uśmiechem na twarzy. Na jego widok młodzi policjanci także szeroko się uśmiechnęli.

– Brawo, Joe! – oznajmił. – Dzięki tobie pozbyłem się szumowiny, na którą polowałem od niemal dziesięciu lat. Tylko tak dalej, a będziemy cię musieli wciągnąć na listę płac.

Wszyscy roześmieli się głośno. To znaczy wszyscy oprócz mnie.

– Wiedzieliście, że to Jim zastrzelił McFallę? – zapytałam ponownie.

– Joe, Joe... – Springer pokręcił głową. – Mam w dupie, kto zastrzelił Jerry'ego McFallę. Jesteś już dużą dziewczynką i powinnaś być tego świadoma. Im częściej ukręcacie sobie łby we własnym gronie, tym lepiej dla nas... Tyle że niestety jest was straszna masa. Historie o narkotykach pojawiają się w „Timesie” niemal codziennie, zwykli ludzie zaczynają się bać chodzić po ulicach. Wiadomości takie, jak ta o śmierci McFallę, to balsam na moją duszę... Nietrudno się było domyślić, że padł ofiarą porachunków albo raczej kłótni między kochankami, che, che... – Ubawił go własny dowcip. Rechotał przez dłuższą chwilę, nim spoważniał. – Widzisz, Joe, tym razem postanowiliśmy podejść do sprawy inaczej. Nie interesują nas już drobne płatki rozprowadzające narkotyki na ulicach, tylko naprawdę grube



ryby, ci, którzy zaopatrują takich jak McFall. No więc kiedy jemu powinęła się noga, pomyślałem sobie, że stało się tak za sprawą jego dostawcy. Ledwie wróciłem z terenu, gdzie upewniałem się, że ten skurczybyk na serio wyzionął ducha, przełączono do mnie rozmowę, z której dowiedziałem się, że niejaka Josephine Flannigan miała z tym coś wspólnego. Nie zorientowałem się od razu, że uczynnym kablem jest Jim Cohen, twój chłopak czy jak tam mówi się na takich w twoim wieku... – gremialny śmiech – ale i tak zacząłem sprawdzać to i owo, no i okazało się, że Josephine faktycznie nieco się ostatnimi czasy uaktywniła... Znam cię od dziecka, Joe, i wiem, że nie jesteś typem mordercy... Fakt, ponosi cię czasami i być może byłabyś zdolna do zbrodni w afekcie, lecz z pewnością nie zabiłabyś człowieka z zimną krwią, dla pieniędzy. No więc wykombinowałem sobie, że albo ten cały McFall solidnie ci podpadł, albo ktoś chciał cię zrobić... Teraz już wiem, że raczej to drugie... Tak czy inaczej znając cię jak mało kto, wiedziałem, że nie dasz za wygraną, nim nie dowiesz się prawdy. Reszta poszła jak po sznurku. Wysłałem za tobą ogon i w ten sposób doprowadziłaś nas do Jima Cohena. Od dawna go podejrzewałem, jeszcze od czasów, kiedy narkotyki płynęły wąskim strumykiem, ale brakowało mi dowodów, a tu proszę, dzięki tobie wyszło na jaw, że od początku do końca miałem co do niego rację.

– Wysłałeś za mną ogon? – powtórzyłam powoli. Wciąż jeszcze docierało do mnie co drugie słowo, tak że nie od razu wszystko zrozumiałam. – Kazałeś mnie śledzić?

Springer puścił do mnie oko.

– Zgadza się, Joe. Aż dziw, że się nie zorientowałaś.

– Czarny chevrolet – bąknęłam, bardziej do siebie niż kogokolwiek z obecnych.

– Może... – Springer wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia, jakim wozem jeździ Reynolds. Dysponujemy istną flotą na potrzeby tajnej roboty. – Zatarł ręce. – Najważniejsze, że zlikwidowaliśmy jednego z większych dilerów... Kapitan bardzo się ucieszy... No i tym samym możemy zamknąć sprawę McFalla, choć jak już wspomniałem, mało kogo obchodziło, kto go zabił.

– Przez cały ten czas wiedziałeś, że to nie ja zabiłam McFalla? – popatrzyłam na Springera z niedowierzaniem. – Naraziłeś mnie na śmierć z rąk Jima? Wmówiłeś mi, że beknę za morderstwo, i czekałeś, co z tego wyniknie?

– Joey, nie ekscytuj się tak.

– Mam się nie ekscytować?! – Wstałam mimo silnego drżenia na całym ciele. Podparłam się rękami o blat stołu i rzuciłam mu prosto w twarz: – Od trzech dni chodzę nieprzytomna, wyobrażając sobie, jak to jest, kiedy się człowiek smaży na krześle elektrycznym, otarłam się o śmierć, byłam świadkiem, jak zamordowaliście Jima, a ty... ty

gruba świnio...

Tego było za wiele dla Springera. Podniósł się leniwie z krzesła, potężnie zamachnął i zdzielił mnie na płask, prosto w dolną szczękę, tak że wylądowałam tyłkiem na podłodze. Potem otrzepał dłonie i usiadł jakby nigdy nic. Dwaj lalusi roześmieli się niepewnie. Chwilę mi zabrało, nim doszłam do siebie. Żuchwę miałam znieczuloną, ale za to piekła mnie dłoń, którą starałam się osłonić od ciosu, i pośladki, które ucierpiały na tym, że dłoń nie wykonała swego zadania jak należy. Wczołgałam się z powrotem na krzesło, mówiąc niewyraźnie:

– W pochądku... Juch w pochądku... – Wargi zdążyły mi napuchnąć, w ustach czułam słony smak krwi.

– Żeby mi to było ostatni raz, Joe – warknął Springer. – Pamiętaj, że wciąż jeszcze mogę zrobić cię w morderstwo McFalla i Jima. Podwójna czapa... – spojrzał na mnie groźnie.

– W porządku – powtórzyłam. Wciąż jeszcze mówiłam trochę niewyraźnie, ale większym problemem niż spuchnięte usta był pulsujący ból w dole twarzy. – Będę pamiętać... Ale mogę cię o coś zapytać?

– Jasne – Springer znowu się uśmiechał; niewykluczone, że w dobry humor wprowadziło go to, że właśnie pobił kobietę... zawsze miałam go za damskiego boksera – strzelaj!

– Co z dziewczyną? – spytałam. – Co się stało z Nadine?

Springer machnął ręką, jakby się odganiał od natrętnej muchy.

– Nie wiem. Jej rodzice nie byli znów tak bardzo zainteresowani odnalezieniem córki marnotrawnej, więc sobie odpuściliśmy. Pan Nelson dał mi do zrozumienia, że odkąd zamieniła się w ćpunkę i dziwkę, nie chcą mieć z nią nic do czynienia.

– Ale gdzie ona jest?

– Nie wiem – powtórzył Springer, uśmiechając się jeszcze szerzej – i nic mnie to nie obchodzi. – Zobaczywszy moją zawiedzioną minę, dodał: – Pewnie wylądowała tam, gdzie lądują dziewczęta jej pokroju. Znasz te miejsca lepiej ode mnie.

– Taa... – potaknęłam. – Taa...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Na progu „Sweedmore” czekała na mnie Shelley, co było o tyle dziwne, że nigdy nie pytała mnie, gdzie mieszkam, ani tym bardziej nie składała mi towarzyskich wizyt. Już z daleka porażała urodą i bielą. Biała garsonka ściśle przylegająca do ciała, biała chustka na głowie, białe irchowe rękawiczki i biała torebka... Na nosie miała wielkie ciemne okulary w białych oprawkach. Wyglądała jak gwiazda filmowa na wakacjach. Albo jak ktoś, kto się przebrał i nie jest do końca sobą. Zdawała się lekko podenerwowana i – jeśli to w ogóle możliwe w wypadku Shelley – niepewna siebie. Jak gdyby bała się, że mogę nie zechcieć z nią rozmawiać.

– Cześć! – przywitałam ją. – Co u ciebie?

– Dobrze – wymamrotała. To też nie było do niej podobne. – Widziałam gazety. Wszędzie piszą o Jimie...

– W gazetach?

– Tak, w porannym wydaniu...

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że na posterunku spędziłam całą noc. I nagle zrozumiałam, po co przyszła Shelley.

– Nie masz się czym martwić – zapewniłam ją.- Nie wprowadzę swoich gróźb w czyn... nie opowiem nikomu w twoim apartamentowcu, skąd się wywodzisz ani nic takiego. A jeśli o mnie też napiszą w gazetach, to...

– Nie – przerwała mi. – Nie o to mi idzie... To znaczy: nie o to mi chodzi – poprawiła się. – Poza tym wszędzie piszą tylko o Jimie, twoje imię nie pojawia się ani razu, zresztą mamy różne nazwiska... – nie omieszkała przypomnieć. Zaraz jednak wróciła do historii z pierwszych stron gazet. – Według dziennikarzy miała miejsce wielka strzelanina, zginęła jakaś gruba ryba z narkotykowego świata. Musiałam czytać między wierszami, żeby zrozumieć, co się naprawdę stało, ale w końcu się domyśliłam...

– Taa... – westchnęłam, padając ze zmęczenia.- Wejdiesz na filiżankę kawy czy coś? – zaproponowałam.

Rozejrzała się niespokojnie, po czym na powrót wbiła wzrok w ziemię jak nieśmiała panienka. Pokręciła głową.

– Eee... Raczej nie... Muszę się zbierać do pracy. Dziś zaczynają się próby do tego

programu TV. – Obdarzyła mnie słabym uśmiechem. – Po prostu chciałam ci powiedzieć... chciałam powiedzieć, że jest mi przykro z powodu tego wszystkiego. To znaczy... – Zdjęła eleganckie rękawiczki i zaczęła wyłamywać sobie palce u rąk. – To znaczy, bardzo źle się czułam, dlatego że ci przedtem nie pomogłam... wtedy jak pytałaś mnie o McFalla i w ogóle. Może wszystko potoczyłoby się inaczej...

– Nic się nie stało – odparłam. Co innego mogłam jej powiedzieć?

Shelley jakby się ożywiła.

– No... Co się stało, to się nie odstanie. Jim nie żyje, a ta... jakże jej było... Nadine?... nie miała z tym nic wspólnego, tak?

Przed oczami stanęła mi smutna jasnowłosa dziewczyna. Potem pomyślałam o pieniądzech ukrytych w schowku – wciąż było ich tyle, że przez najbliższe parę miesięcy nie musiałam imać się żadnej pracy.

– Hmm... – mruknęłam. – Może i nie, ale chyba i tak ją odnajdę.

Shelley opuściła okulary na czubek nosa i zapytała:

– Po co?

Kiedy nie odpowiedziałam, przypatrzyła mi się uważniej, w końcu całkiem zdjęła okulary i stukając grubą plastikową oprawą o wolną dłoń, dodała:

– Ona może już dawno nie żyć... Wiesz, jak to jest.

– Nieważne. Odszukam ją i wtedy się zobaczy.

Shelley potoczyła wokół wzrokiem, jakby szukała czegoś, na czym byłoby go warto zatrzymać chwilę dłużej, i nie znalazłszy niczego takiego, znów spojrzała na mnie.

– A potem?... Co z nią zrobisz?

Wzruszyłam ramionami.

– Zdaje się, że do rodziców nie może wrócić... – podpowiedziała.

Skinęłam głową.

– Nie chcą mieć z nią nic wspólnego.

– W takim razie będzie potrzebowała jakiegoś miejsca do spania i trochę pieniędzy...

– Pewnie tak.

Shelley bawiła się okularami.

– Wiem, że sama ledwie wiążesz koniec z końcem... Bez obrazy, Joe... Więc może... może dałabyś mi znać, jak ją znajdziesz?... Jak będzie potrzebowała pomocy. Albo ty. Jak ty będziesz potrzebowała pomocy...

– Dzięki, Shell. – Przez chwilę stałyśmy w milczeniu. – Wiesz, chyba powinnam już...

Nagle Shelley złapała mnie za rękę.

- Tak strasznie mi przykro, że nie powiedziałam ci wszystkiego...
- Nic się nie stało – powtórzyłam, oddając uścisk. – Naprawdę nic się nie stało. Zatrzepotała powiekami, jakby się miała rozplakać.
- Dasz mi znać? – dopytywała się. – Dasz znać, jak znajdziesz tę dziewczynę?
- Tak, Shelley. Dam ci znać. Obiecuję.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Rozpytywałam o Nadine na Allen Street i przy Trzeciej Alei. Zadziwiająco, jak chętne do pomocy były uliczne prostytutki. Każda brała fotografię do ręki, długo jej się przyglądała, po czym albo ze smutkiem kręciła głową, albo niepewnie napomykała, że tak, chyba gdzieś już widziała tę dziewczynę – biedną, zapomnianą przez wszystkich niewidzialną Nadine Nelson – ale nie pamięta gdzie dokładnie, i zaraz zapewniała skwapliwie, że teraz gdy wie, iż ktoś jej szuka, będzie mieć oczy i uszy otwarte. Nie wątpiąc w szczerą ich intencję, nie robiłam sobie wielkich nadziei – po pierwsze mało która dziwka dotrzymuje słowa, po drugie zaś żadna nie chodzi po świecie z szeroko otwartymi oczami, gdyby tak bowiem było, nie miałyby żadnej ochrony przed najgorszym brudem tegoż świata. Tak czy inaczej spacerowałam po Allen Street i po Trzeciej Alei, a także po innych miejscach, takich jak West Side Piers i Williamsburg Bridge, podtykając napotkanym kobietom zdjęcie Nadine i na wszelki wypadek zostawiając swój numer telefonu.

Ktoregoś dnia odwiedził mnie Yonah. Wyszliśmy na placyk w pobliżu „Sweedmore”, ten sam, gdzie pacjenci psychiatryka zażywali świeżego powietrza, i dopiero tam Yonah poinformował mnie, że dzień wcześniej odbył się pogrzeb Jima. Ponoć jego szef, Gary, za wszystko zapłacił, a wśród gości nie zabrakło nikogo z przestępczego światka.

– Nikt cię nie obwinia o to, że nie przyszedł, złotko – dodał szybko Yonah. Wyglądał chyba jeszcze starzej niż ostatnim razem, kiedy go widziałam; garnitur miał jakby bardziej wyświechtany, a rondo kapelusza przetarte niemal do cna. Stary wojskowy płaszcz zapewne dawno się rozpadł, ale na szczęście do Nowego Jorku zawitała wreszcie wiosna z prawdziwego zdarzenia.- Wszyscy byli zgodni, że Jim nie miał prawa ci tego zrobić... Zawsze byłeś w porządku... Na pogrzebie był tłum, każdy chciał pożegnać Jima, ale nie zmienia to faktu, że był z niego skończony duppek. Coś takiego można wykręcić komuś obcemu, ale nie własnej dziewczynie!- Yonah potrząsnął ze złością głową i powtórzył: – Nie swojej własnej dziewczynie! Dowiedziałem się przy okazji, że nikt nie miał pojęcia, iż Jim znowu siedział w narkotykach. Gary i paru innych mówiło coś o tym, że trzeba by się na ciebie zrzucić... albo przynajmniej przekazać ci część pieniędzy ze sprzedaży gratów Jima.

– E tam – wzruszyłam ramionami. – To miło z ich strony, ale naprawdę niczego nie potrzebuję.

– Jesteś pewna? – Yonah zdziwił się. – Może jednak... Wiesz, oni mówili zupełnie poważnie. Gary nawet chciał się tobą zaopiekować, tak jak by to uczynił w wypadku wdowy po swym przyjacielu.

Powiedziałam Yonahowi, że Jim to przeszłość – nie chciałam już do tego wracać.

Przysiedliśmy na ławce, bo Yonah się zasapał. Dłuższą chwilę się nie odzywał, przypatrując mi się uważnie, po czym zapytał cicho:

– Trzymasz się jakoś, Joe?

Skinęłam głową.

– Jasne, wszystko u mnie dobrze.

– Nie wiń się, Joe... – ciągnął cichym głosem. – Nie było sposobu, żebyś się czegokolwiek domyśliła. Wiesz o tym, co?

– Myślałam... myślałam, że Jim... że Jim i ja... – rozplakałam się.

Yonah objął mnie swymi chudymi ramionami i trzymał tak przez długi czas, kołysząc delikatnie, aż w końcu musiał zwolnić uścisk i podnieść się do odejścia, gdyż przyszła pora na kolejną dawkę jego lekarstwa.

Nie ustawałam w wysiłkach, by odnaleźć Nadine. Któregoś dnia, pojawiwszy się na rogu Dziesiątej Alei i Dwudziestej Siódmej Ulicy po raz trzeci, wpadłam przypadkiem na Laurę, którą znałam jeszcze z domu. Była jedną z ładniejszych dziewczyn w naszej okolicy: miała kręcone blond włosy, idealną figurę i bystre chabrowe oczy – wtedy. Teraz nie wyglądała już tak ładnie. Przypominała mi sukienkę, niegdyś elegancką i błyszczącą, której zbyt często używano, a w końcu porzucono w rogu garderoby na podłodze, gdzie zbierała brud i kurz. Laura musiała być świadoma zmiany, jaka w niej przez te lata zaszła, gdyż widząc mnie z oddali, czym prędzej się odwróciła i zasłoniła twarz ręką. Ja jednak już ją rozpoznałam i zmierzałam prosto w jej stronę. Objęłam ją na powitanie, mówiąc: – Świetnie wyglądasz, Laura, naprawdę – bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Bzdura – zaprotestowała, ale uśmiechnęła się, mile polechtana moim nieszczerym komplementem.- Dobrze cię znów widzieć, Joe – zrewanżowała się.

Rozglądała się przy tym niespokojnie, zrozumiałam więc, że pilno jej wracać do pracy, gdyż za pogawędkę, którą właśnie sobie ze mną uciwała, później mogą spaść na nią razy. Nie zwlekając, wyjęłam zdjęcie Nadine i jej pokazałam.

– Milutka dziewczyna – pokiwała głową Laura. – Naprawdę milutka. Pracowała tu przez jakiś czas. Co też się z nią mogło stać?...

Wzruszeniem ramion dałam do zrozumienia, że wiem tyle, ile ona.

– Wiesz o niej coś więcej? – zapytałam.

– Ojej... – Laura zmarszczyła śmiesznie czoło. – Pracowała dla tego samego faceta co ja... dla Jessego. – Mgliście przypominałam sobie, jak wyglądał Jesse. Bardziej jednak niż jego sylwetkę miałam w pamięci opowieści o jego brutalności. – Ale się zakałapućkała... to znaczy mam na myśli to, że zaczęła brać... no wiesz... i wkrótce zupełnie straciła nad tym kontrolę, tak że ile razy pojawił się klient z odrobiną towaru, ona dawała mu za darmo. Czasem znikala na parę dni z rzędu. Jesse próbował ją przywołać do porządku, dla jej własnego dobra, ale to nic nie pomagało. Była coraz gorsza, więc Jesse z niej zrezygnował... Teraz ma zakaz pojawiania się w tej okolicy. Przynajmniej tyle do niej dotarło i od dawna się tu nie pokazała... Jesse nie rzuca słów na wiatr i jak nic stłukłby ją na kwaśne jabłko, gdyby nie posłuchała. – Laura zaczęła niecierpliwie dreptać w miejscu.

– Jak myślisz, gdzie teraz jest?

– A gdzie taka dziewczyna jak ona mogła trafić? Na twoim miejscu zajrzałabym do Jezebel.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Budynek, przed którym stałam, wyglądał jak setki innych kamienic na Manhattanie. Cztery piętra, odrapana elewacja, zero zamków w drzwiach frontowych. Weszłam do środka. Nikomu nie zależało na wystroju wnętrza, ściany pomalowane były na olejno, na podłodze wybrzuszało się stare linoleum. Na końcu korytarza stało niewielkie biurko, a za nim – jak zawsze – górowała tłusta Jezebel. Włosy miała rzadsze niż kiedyś, ale upinała je w taki sam ciasny kok na czubku głowy i wciąż farbowała na kruczoczarny kolor. Przybyło jej z sześć podbródków, lecz małe podłe oczka ani trochę się nie zmieniły. Gdyby nie to, że przytyła o parę rozmiarów, pomyślałabym, że ma na sobie tę samą czarną sukienkę.

Trafiały do niej dziewczęta, które zmęczyło udawanie, że nadal są piękne, którym znudziło się przemierzanie ulic kilometrami w poszukiwaniu klienta, których nie utrzymywała już przy życiu myśl, że jeśli jeszcze trochę popracują, to odłożą wystarczającą sumkę, by rozpocząć normalne życie, a także takie, które zwyczajnie zebrały ciężki o jeden raz za dużo i miały dosyć wszystkiego. Nikt ich nie szukał. Nikt ich nie potrzebował. Nawet jeśli kiedyś należały do jakiejś rodziny, nie brakowało im przyjaciół, były otoczone opieką przez przyzwoitego faceta, teraz były zupełnie same. Dla reszty świata właściwie już nie istniały i wyświadczyłyby wszystkim przysługę, gdyby po cichu zeszły, ale one uparcie trzymały się życia, snując mrzonki o tym, że wciąż się liczą.

U Jezebel dziewczyna nie dostaje pieniędzy, ale jej to nie przeszkadza. Trzy razy dziennie odwiedza ją „mama”, klepie po policzku i daje zastrzyk – najlepiej w stopę, bo wtedy pończochy na podwiązkach zakryją rany i wrzody, ale zdarza się, że dziewczyna ma już doszczętnie zniszczone żyły na stopach, więc wtedy Jezebel wkłuwa igłę gdzie popadnie, klnąc na czym świat stoi, że klient będzie musiał otrzymać zniżkę. W suterenie jest kuchnia, w której można się pożywić o dowolnej porze, chociaż mało która dziewczyna tego potrzebuje; co najwyżej wtoczy się raz czy dwa w ciągu dnia, ubrana w koszulę nocną albo niechlujnie zarzucony szlafrok, i skubnie trochę tapioki albo puddingu. Nie musi jeść dużo, bo niewiele energii trzeba, gdy cały dzień leży się w łóżku. Gdyż właśnie to robią dziewczyny u Jezebel, a klienci nie oczekują niczego więcej. Żadnych rozmówek w stylu: „Och, jaki z ciebie przystojniak” ani nawet „Czym się zajmujesz, skarbie?” czy też „Jak pan woli to robić, panie Smith?” – są dobre „U Rosy” bądź w „Royale”. Tu się po prostu leży i czeka, a kiedy

ma się dość zarówno leżenia, jak i czekania, przychodzi ten moment, gdy potrzebny jest ambulans albo koroner. Ale tak dzieje się niezbyt często, gdyż większość z nich nadal się ludzi, kurczowo trzymając tego, co im z życia pozostało. Dziewczyny mają całkowitą swobodę, w każdej chwili mogą opuścić tę mroczną cuchnącą kamienicę, a jednak tego nie robią. Być może tylko tutaj czują jeszcze, że żyją.

Myślałam więc sobie, że uwinę się raz-dwa. Wejdę, znajdę Nadine i ją stamtąd zabiorę, nim ktokolwiek się zorientuje; Jezebel nie będzie mi robić wstrętów, bo na co jej dziewczyna, której ktoś szuka?

Na mój widok uniosła się nad biurkiem i bezbarwnym głosem zapytała:

– Czego tu chcesz?

Nie poznała mnie. Nic dziwnego, zważywszy na rotację w tym miejscu. Jezebel byłaby cudotwórczynią, gdyby zapamiętała te wszystkie wymizerowane twarze.

Podchodząc do biurka, wyjęłam z torebki fotografię Nadine.

– Jej – odparłam krótko i pokazałam zdjęcie.

Jezebel wpatrzyła się w sfatygowany kawałek papieru, po czym oderwała od niego wzrok i rzuciła podejrzliwie:

– Na co ci ona?

– Chcę ją zabrać do domu.

Tym razem Jezebel zapatrzyła się na mnie. Po długiej chwili wydobyła swe ogromne cielsko zza biurka i ruszyła korytarzem. Pośpieszyłam za nią. Myślałam, że wejdziemy na piętro, ale Jezebel minęła schody i zniknęła w wąskim przejściu prowadzącym do piwnicy. Na dole było ciemno jak w dupie u Murzyna, trzy żarówki na krzyż, dyndające na gołym drucie, dawały jakie takie pojęcie o obrazie nędzy i rozpacz. Wokół mnie zamykały się gołe betonowe ściany, które połączyło kilkanaście sznurków do suszenia bielizny, jakby w tej wilgoci cokolwiek mogło wyschnąć. I rzeczywiście – parę brudnych rozwieszonych prześcieradeł odcinało od reszty pomieszczenia całkiem milutkie zakątki. Minęłyśmy je wszystkie, klucząc zawzięcie, żeby nie zaplątać się w sznurki. Wzdrygałam się na każdy najdrobniejszy szelest dochodzący zza tych prowizorycznych zasłon, starając się nie widzieć tu ręki, tam znów nogi zwisającej bezwładnie z pryczy. Gdybym mogła, zasłoniłabym sobie uszy, żeby nie słyszeć jęków i posapywania. Nie było to dla mnie nic nowego, ale nie czułam potrzeby powrotu do przeszłości. Wreszcie Jezebel zatrzymała się przy ostatnim parawanie.

– Wejdiesz tam od razu czy poczekasz, aż skończy?

Prześcieradło falowało, a prycza skrzypiała.

– Zaczekam.

W ciągu paru najbliższych minut zarówno skrzywienie, jak i falowanie przybrało na sile, po czym wszystko się uspokoiło. Odwróciłam się. Nie chciałam stanąć twarzą w twarz z kimkolwiek, kto stamtąd wyjdzie. Po chwili rozległy się kroki.

– No, na co jeszcze czekasz? – popędziła mnie Jezebel.

Poszukałam wzrokiem jakiegoś miejsca, w które mogłabym zapukać, ale niczego takiego nie znalazłam, więc po prostu uniosłam prześcieradło i weszłam do środka, czując, że Jezebel depta mi po piętach.

Nadine Nelson leżała na łóżku i gapiała się w sufit. Poznać było, że od dawna nie zawracała sobie głowy ubieraniem się – ani rozbieraniem. Miała na sobie żółte kimono z jakimś chińskim napisem, który coś by znaczył, gdyby poły ubioru łączyły się na jej piersiach. Właściwie kimono zakrywało tylko jej ramiona. Poza tym była naga; kości biodrowe jej sterczały, a zębra można by z łatwością policzyć. Kiedy weszliśmy, przelotnie na nas spojrzała, po czym wróciła oczami do miejsca na suficie. Niewykluczone, że widziała tam coś bardzo interesującego.

– Czy ona ma jakieś inne ubranie? – spytałam Jezebel półgłosem.

– Coś się znajdzie – odparła starucha i zaszurała stopami.

Nim wyszła przekopać wspólną garderobę, wręczyłam jej dwudziestkę, mówiąc:

– I będzie też potrzebowała trochę towaru.

Jezebel skinęła głową ze zrozumieniem i zniknęła za parawanem.

Nadine popatrzyła na mnie, ale chyba nie byłam tak interesująca jak plama na suficie, bo ledwie musnęła mnie wzrokiem. Dopiero teraz zauważyłam, że włosy ma rozpuszczone – były matowe i lepily się od brudu. Po twarzy spływał jej tłusty pot, z trudem torując sobie drogę między licznymi pryszczami. Sądząc po wiszącym w powietrzu zapachu, nie myła się od tygodni.

Podskoczyłam, kiedy za moimi plecami nagle wyrosła Jezebel. W ręku trzymała sfatygowaną, niegdyś białą sukienkę i parę skórzanych kłapek. Skinęłam głową z aprobatą, a ona rzuciła ubranie na Nadine.

– Ubierz się – poleciłam.

Nadine podniosła się do pozycji siedzącej – jak automat – po czym mechanicznym ruchem zdjęła z ramion kimono. Całe ręce miała upstrzone śladami po igłach i nie zagojonymi wrzodami. Z wysiłkiem, jakby podnosiła stukilowy ciężar, uniosła sukienkę nad głowę i ją włożyła. Potem opuściła nogi na podłogę i długo walczyła z kłapkami. Rękawy okazały się zbyt krótkie, musiałam więc zarzucić na nią swój żakiet. Po kolei ujmowałam każdą z jej dłoni i powoli nasuwałam na nie rękawy żakietu, jakbym ubierała lalkę. Nadine

siedziała bez ruchu, jak kukła.

Jezebel sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła stamtąd parę małych przezroczystych woreczków. Nie było tego wiele, ale uznałam, że lepiej będzie się nie targować. Byłam przekonana, że dawała mi tyle, ile mogła – i za ile zapłaciłam. Nadine z wielką uwagą śledziła każdy jej ruch, a potem moje ręce, kiedy chowałam woreczki do torebki. Na jej twarzy po raz pierwszy pojawił się jakikolwiek wyraz. Wszystkimi porami wyzierał z niej głód.

– Idziemy!

Posłusznie wstała i zaraz się zachwiała. Złapałam ją za łokieć, żeby odzyskała równowagę, po czym opuściliśmy to przygnębiające miejsce.

Byłyśmy mniej więcej w połowie drogi pomiędzy przybytkiem Jezebel a „Sweedmore”, gdy uzmysłowiłam sobie, że Nadine nie ma bladego pojęcia, kim jestem ani czego od niej chcę. Opowiedziałam więc jej wszystko. O tym, jak ktoś mi zapłacił, żebym ją odnalazła, i że choć z początku byłam przekonana, że to byli jej rodzice, okazało się, że był to ktoś inny, i o tym, że po drodze zostałam wrobiona w morderstwo i że choć wydawało mi się to prawie niemożliwe, osobą, która mnie wrobiła, był Jim, i że wóz, którym jedziemy, kiedyś należał do niego, ale teraz już jest mój.

– I co z tego? – zapytała, kiedy skończyłam mówić.

Po raz pierwszy usłyszałam jej głos i zdziwiła mnie jego młodość.

– Jak to: co z tego?

Zbliżałyśmy się do „Sweedmore”. Wpatrywałam wolnego miejsca do zaparkowania, chcąc zatrzymać się jak najbliżej budynku, bo właśnie zaczynało padać.

– Co ze mną? – zakwiliła. – Przecież tak naprawdę nikt mnie nie szukał, więc po co po mnie przysłaś?

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą, wjeżdżając na chodnik.

Zamiast wysiąść, siedziałyśmy na swoich miejscach i patrzyłyśmy na krople deszczu rozpryskujące się o przednią szybę. W powietrzu czuło się zapach wiosennej burzy.

– Chcesz mnie zabrać do siebie?

– Chyba tak... – zawahałam się. – A masz dokąd pójść?

Potrząsnęła głową.

– I co ja mam teraz zrobić?

Przede wszystkim masz wziąć długą gorącą kąpiel – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos, bo z doświadczenia wiedziałam, że narkomani nie znoszą wody. – A potem zacznę odzwyczajając cię od heroiny – dodałam w duchu, mając nadzieję, że ta ilość, którą otrzymałam od Jezebel, spełni swoje zadanie, gdyż w przeciwnym razie musiałyby

odstawiać na sucho. Ani mi było w głowie kupować towar. Podjęłam decyzję dwa lata temu i nie miałam zamiaru jej zmieniać, nawet dla Nadine. Zwłaszcza dla Nadine. Jak już będziesz czysta – ciągnęłam wyliczankę – pomożesz mi w pracy albo zaczepisz się w jakimś barze czy sklepie, a może nawet trafisz w jakieś przyzwoite miejsce jak Saks czy Bergdor's. Moim zdaniem miała na to szanse – była wystarczająco młoda i ładna. W końcu się zezłościłam i z trudem pohamowałam, by nie wypalić: Do cholery, to twoje życie. Możesz z nim zrobić, co zechcesz. Możesz wrócić do Jezebel albo do college'u, wolna droga. Ja już dość się namęczyłam, teraz twoja kolej.

– Hej, wiesz co? – zapytałam ją pozornie ożywionym głosem. – Byłam w Westchesterze, nawet poznałam twoich rodziców. – Nadine zamarła z dziwnym grymasem na twarzy. – No – potaknęłam sama sobie – a przy okazji wybiłam szybę ich sąsiadowi.

Spojrzałam na nią kątem oka. Grymas zniknął, zaczęło pojawiać się coś na kształt uśmiechu. Przez moment Nadine była naprawdę piękna.

– Poważnie? – spytała.

– Jak bum-cyk-cyk – potwierdziłam. – Jak chcesz, możemy tam wrócić i zrobić to jeszcze raz, ale najpierw musisz się trochę ogarnąć...

Tym razem prawie się uśmiechnęła. Kiedy deszcz niemal ustał, wysiadłyśmy z wozu i wolnym krokiem ruszyłyśmy w stronę hoteliku. Lavinia zmierzyła Nadine nieprzychylnym spojrzeniem, lecz nic nie powiedziała. Nie mogła. Byłam chyba jedyną lokatorką płacącą regularnie czynsz. Martwiłam się, że zarobiony tysiąc – który zdążył już stopnieć do siedmuset dolarów z hakiem – nie wystarczy na długo. Wdrapując się na trzecie piętro, minęłyśmy parę dziewcząt, na oko rówieśniczek Nadine, które czyste i pachnące paplały jak najęte o tym, dokąd to pójda wieczorem potańczyć. Na mój widok jedna z nich rzuciła wesoło: – Cześć, Joe, jak ci le... – ale na widok Nadine urwała i pociągnęła swoją koleżankę za rękaw. Chwilę później dobiegł nas tupot ich stóp.

Nadine stała oszołomiona, jakby właśnie przeżyła spotkanie z istotami z innej planety. Kiedy szłyśmy w stronę drzwi do mojego pokoju, rozglądała się niepewnie dookoła, jakby bała się, że zaraz znowu ktoś – albo coś – wyskoczy zza węgla i ją ugryzie.

Wpuściłam ją do środka.

– Tak mieszkam. Nie ma tu żadnych luksusów, ale da się przeżyć. Możesz tu zostać, dopóki nie znajdziesz sobie czegoś lepszego.

– Dzięki – bąknęła. – Ja...

Nigdy się nie dowiedziałam, co jeszcze chciała powiedzieć.

Pociągnęłam ją do komody.

– Wybierz coś sobie... Pewnie wszystko jest trochę na ciebie za duże, ale z pewnością będziesz lepiej wyglądać niż w tym, co masz na sobie.

Długo przeglądała zawartość szuflady, aż w końcu wybrała granatową sukienkę – tę, którą Jim mi podarował – po czym spojrzała na mnie pytająco.

– W porządku – zapewniłam ją. – Jest twoja.

Kiedy się przebierała, rzuciłam: – Zaraz wracam – i wyszłam na korytarz.

Dziwnie się czułam, zostawiając ją samą. Bałam się, że wymknie się cichcem i pogna na łeb, na szyję z powrotem do Jezebel. Ale co mogłam na to poradzić? Jeśli tak właśnie chciała spędzić resztę życia, nie byłam w mocy, by ją powstrzymać. Mimo to z drżeniem serca schodziłam do hallu, gdzie wręczyłam Lavinii pięć centów, a ona w zamian wydobyła spod blatu aparat telefoniczny.

Zadzwoiłam do Shelley.

– Jest tutaj – oznajmiłam bez wstępów.

– Joe? O czym ty, do cholery... A, ona...

– Tak, ona. Nadine. Sama mówiłaś, żebyś cię powiadomiła, jak ją znajdę. Ale jeśli już ci się odwiedziało...

– Nie! – wpadła mi w słowo, po czym spokojniejszym głosem rzuciła w słuchawkę: – Zaraz u ciebie będę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Nadine przebrała się w moją granatową sukienkę, a stare łachy od Jezebel wrzuciła do kosza na śmieci. Kiedy wróciłam do pokoju, siedziała na łóżku i rozcierała ramiona, jak gdyby było jej zimno. Oczywiście to nie chłód jej doskwierał. Wyjęłam z torebki jeden woreczek i sprzęt, który Jezebel wspaniałomyślnie dorzuciła, i podałam Nadine.

– Masz!

Sama usiadłam na jednym z foteli, wcześniej nastawiwszy gramofon. Wsluchiwałam się w uspokajające dźwięki i wpatrywałam w widok za oknem, podczas gdy Nadine za moimi plecami robiła, co musiała zrobić. Dość długo się z tym babrała, a potem jeszcze dłużej siedziała nieruchomo jak kamień. Zdawałam sobie sprawę, że jedna działka to dla niej za mało.

– Gdzie tu jest łazienka? – odezwała się wreszcie.

Wyjaśniłam jej, że niestety w korytarzu, na samym końcu, na co ona wstała i podeszła do drzwi. Z ręką na klamce odwróciła się do mnie, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała z tego zamiaru i po prostu cicho wysliznęła się z pokoju.

Chwilę potem rozległo się pukanie.

Tak jak obiecała, w progu stała Shell, znowu cała w bieli. Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało, podobnie jak w trakcie naszej ostatniej rozmowy.

– Dzięki, że mi dałaś znać...

– Wchodź, nie gadaj!

Shelley weszła i rozejrzała się po pokoju. Minę miała taką, jakby brzydziła się do czegokolwiek zbliżyć, o siadaniu nie mówiąc, bo mogłaby się zarazić czymś paskudnym przez sam dotyk. Jak gdyby sama nie mieszkała kiedyś w równie atrakcyjnym miejscu! – pomyślałam z nagłym gniewem.

– Więc ona tu jest? – spytała, okrążając moje małe królestwo i przyglądając się dorobkowi mego życia.

– Tak, zaraz wróci. Przestańże się kręcić w kółko, tylko siadaj!

Nie posłuchała. Podeszła do gramofonu i próbowała odczytać tytuł z wirującej płyty.

– Ładne to – stwierdziła. – Kto to śpiewa?

– Billie Holiday – poinformowałam ją. – Tytułu nie pamiętam.

– Ładne – powtórzyła. – Mogę dać głośniej?

– Pewnie, czemu nie?

Shelley przekreśliła potencjometr niemal do oporu – muzyka wypełniła pomieszczenie, wdzierając mi się do mózgu – po czym wreszcie usiadła. Na łóżku.

Przyglądałam się jej wymuszkanej fryzurze, gładkiej cerze i eleganckiej sukience i zastanawiałam, czy weźmie Nadine do siebie. Oszczędziłoby mi to wielu kłopotów, ale nie mogłam zbytnio na to liczyć. Już prędzej wynajmie dla niej pokój tutaj, w „Sweedmore”, i da jej trochę czasu, żeby wyszła z nałogu. Oraz trochę pieniędzy, nie za wiele, ale dość, by Nadine przetrwała do czasu, kiedy będzie mogła poszukać normalnej pracy.

– Masz ochotę na kawę? – zaproponowałam, wczuwając się w rolę gospodyni.

– Ogromną. – Shelley zaś wczuwała się w rolę gościa.

Wstałam z fotela i podeszłam do maszynki. Nalałam do niej wody z dzbanka, który zawsze trzymałam pełen. Kiedy sięgałam po puszkę z kawą, padło pytanie:

– Jesteś pewna, że to ta dziewczyna?

– Naturalnie, że ona. A niby kto?

Shelley pozostawiła to bez odpowiedzi.

Włożyłam łyżeczkę do puszek z kawą i nagle zamarłam.

Jak to: ta dziewczyna? To znaczy, że była właściwa i niewłaściwa dziewczyna, której Shelley chciała pomóc? Którą się interesowała? Przecież nawet jej nie widziała na oczy, co więc jej za różnica, czy...

Puszka wypadła mi z rąk.

O mój Boże – myślałam. – Jim! Co ja najlepszego zrobiłam?! Przepraszam... Tak bardzo cię przepraszam...

Zaczęłam się odwracać, ale w tej samej chwili usłyszałam głośnie „klik” i równocześnie poczułam ból, jakby ktoś mnie uderzył. Odrzuciło mnie aż na stolik, na którym stała maszynka do parzenia kawy.

Shelley do mnie strzeliła.

*Nikt nie miał pojęcia, iż Jim znowu siedział w narkotykach...*

*Dawno, dawno temu zrobił mi parę zdjęć, no wiesz, takich na sprzedaż...*

*Obiecywał, że wkręci mnie do filmu...*

*Od czasu do czasu pstryknie jakiejś dziewczynie zdjęcie, obiecując, że trafi na okładkę...*



*Jake Russo. Agent nieruchomości... Pracuje w dużej agencji, która zajmuje się wynajmem apartamentów na Manhattanie...*

*W Nowym Jorku aż się roi od bezrobotnych aktorów, Joe... Znam takich, co dosłownie zabiliby za najmniejszą rolę...*

*Mogła wcale nie pójść o narkotyki... Mnóstwo ludzi życzyło McFallowi śmierci...*

*Wiesz, jeśli chodzi o Shelley, to nie wydaje mi się, żebyś mogła jej ufać tak jak kiedyś...*

*Co ci ta Shelley nawygadywała?...*

No właśnie, co ona mi nawygadywała?

*Bardziej w oczy rzucił się sam wóz... Nowiuteńki rocket 88...*

Byłam święcie przekonana, że na świecie jest tylko jedna osoba, która zna mnie na tyle, by zrobić mnie w podobny sposób. I miałam rację. Pomyliłam się tylko co do tego, kto nią jest...

\*\*\*

Trafiła mnie w bok, tuż ponad talią. W sukience miałam dziurę, materiał był cały zakrwawiony, gęste czerwone krople skapywały na podłogę.

W miejscu, w które mnie postrzeliła, czułam ogień.

– Shelley – powiedziałam spieczonymi wargami – Shelley, jak mogłaś...

Próbowałam się podnieść, ale nogi miałam jak z waty. Widząc to, wstała z łóżka, podeszła do mnie i wymierzyła pistolet prosto w moje serce.

Shelley. Moja siostra.

Nie wyglądała ani trochę jak ta modelka ze zdjęć w gazetach i czasopismach. Zniknęło gdzieś całe jej wysublimowanie i delikatność rysów. Na powrót była osobą, którą tak dobrze znałam – dziewczynką domagającą się co dzień słodczy, dziewczyną żądającą co rok nowej sukienki, kobietą, która tylko chciała brać i zawsze, ale to zawsze dostawała to, czego chciała.

Ponieważ ja jej to dawałam. Ponieważ była moją siostrą.

– McFall robił ci zdjęcia... – szepnęłam.

Shelley eksplodowała złością.

– Potrzebowałam pieniędzy! Ty wtedy wszystko wydawałaś na herę, a ja nie miałam ani centa! To było jakieś dziesięć lat temu, prawie o tym zapomniałam. Aż tu nagle z miesiąc temu McFall do mnie dzwoni. Mówi, że zachował sobie moje zdjęcia na pamiątkę i że teraz przydadzą się jak znalazł. On chciał zniszczyć moją karierę, na litość boską! Szantażował mnie. Zapłaciłam mu dwa razy, ale jemu wciąż było mało! Ostatnim razem jak się z nim widziałam, przyprowadził ze sobą tę małą kurewkę. Nie mam pojęcia, po co ją tam ciągnął, chyba naprawdę się w niej zadurzył...

– Och, Shelley...

Podjęłam jeszcze jedną próbę, by wstać, ale kolana się pode mną ugięły i naraz zobaczyłam Shelley pod dziwnym kątem. Leżałam na podłodze na boku. Z bliska kałuża krwi wydawała się znacznie większa, a może to upadek spowodował, że zaczęłam krwawić obficie.

– Plan był taki, że pójdziesz siedzieć za zamordowanie McFalla. Wtedy dałabyś tej małej spokój. Ale nie, ty musiałaś wyjść ze wszystkiego obronną ręką, a potem jeszcze uganiać się po całym Nowym Jorku w poszukiwaniu tej wydry. Zamiast dać jej wyzionać ducha, co niechybnie stałoby się prędzej czy później. Gdybyś nie była taka cholernie dobra – wypluła to słowo – ja nie musiałabym robić tego, co teraz robię...

– Więc Jim nie handlował...

Shelley obnażyła zęby w uśmiechu.

– Nie mam pojęcia, kogo obrobił McFall... Może to był Jim, a może nie. Nic mnie to nie obchodzi, chociaż jeśli chcesz znać moje zdanie, nie wydaje mi się, żeby to był Jim. No ale z tym nie miałam akurat nic wspólnego. Mnie wystarczyło dobrać się do skóry McFallowi. Niestety ty, zamiast pójść grzecznie siedzieć, węszyłaś dalej! Sama mnie zmusiałaś, żebym wystawiła ci Jima! Wiedziałam, że policja ma na niego oko już od dawna... na tyle zdążyłam poznać Springera na starych śmieciach, wiedziałam, że jak coś raz sobie ubzdura, to nic, ale to nic go od tego nie odwiedzie... wystarczyło cię tylko lekko podpuścić... Ale pamiętaj, że to wszystko twoja wina!!

– Jakim cudem mogłaś wiedzieć, że policja ma oko na Jima? Aaa... – stęknęłam z bólu.

– Nie zerwałam wszystkich starych kontaktów. Sama zawsze mówiłaś, że jestem niegłupia, no i proszę: faktycznie wiem, z kim trzymać, a kogo sobie odpuścić.

Odpuściła sobie mnie i zaraz odpuści sobie jeszcze Nadine, bo dziewczyna miała pecha znaleźć się w złym miejscu o złym czasie. Albo dlatego że próbowałaś ją niepotrzebnie

ratować... – szepnął jakiś głos w mojej głowie.

A mnie? Dlaczego mnie? Czy na pewno dlatego, że o wszystkim wiedziałam i że do ostatka broniłabym Nadine? Nie... To był tylko pretekst, Shelley naprawdę była niegłupia i po prostu postanowiła wykorzystać mnie raz jeszcze, nim ostatecznie się mnie pozbędzie.

Wszakże obie dobrze znałyśmy prawdziwy powód jej nienawiści do mnie. A właściwie powody.

Każdy ciepły obiad, jaki zjadła, każda lekcja tańca, którą wzięła, każda nowa wymarzona sukienka: wszystko co kiedykolwiek dostała, dostała ode mnie – od swojej dużej siostry, której się wstydziła przed swymi przyjaciółmi, bo ta nosiła krótkie spódniczki i odblaskowy makijaż, pachniała tanimi perfumami i wychodziła do pracy wieczorem, a wracała rano.

Nie musiała oddawać się ani kolejnym gachom, których przyprowadzała matka, ani obleśnym staruchom śliniącym się na widok każdej kiecki, bo ja jej przed nimi broniłam, nierzadko robiąc to, czego od niej chcieli.

Ale bez względu na to jak bardzo opiekuńcza wobec niej byłam i ile ode mnie otrzymała, wciąż musiała mieszkać w obrzydliwych norach, mając kurwę za matkę, a za siostrę prostytutkę.

Na domiar złego w pewnym momencie się poddałam i zaczęłam épać, żeby zapomnieć o otaczającym mnie koszmarze i wizji życia, jakiego dla niej chciałam i jakiego niestety nie byłam w stanie jej zapewnić. Tym sposobem doszedł jeszcze jeden powód do wstydu. Nie dość, że dziwka, to jeszcze narkomanka.

Oczywiście chciałam dobrze, ale powinnam się była bardziej postarać. Nawet jeśli trudno opłacić lekcje tańca ze skromnej pensji ekspedientki, nie musiałam od razu iść pod latarnię. A skoro już tam wylądowałam, to przynajmniej mogłam przeznaczać zarobione pieniądze na nią, tak jak robiłam to na samym początku, a nie na heroinę, która w pewnym momencie przesłoniła mi wszystko, tak że w końcu biedna Shelley musiała zmienić nazwisko, żeby nikt się nie domyślił, że jesteśmy spokrewnione.

Głównie zaś nienawidziła mnie dlatego, że widziała we mnie swoje odbicie; samym swoim istnieniem przypominałam jej, kim jest i skąd się wywodzi, a tego nie życzyła sobie najbardziej. Nie potrafiła mi wybaczyć...

– Jezu Chryste, Shelley...

Podeszła do mnie jeszcze bliżej i nachyliła się nad moją twarzą. Przymknęłam oczy z bólu.

– Naprawdę, Joe, nie musiałabym tego robić, gdybyś siedziała w kiciu. Nikt nigdy by

nas ze sobą nie powiązał, bo Jake nie tylko pomógł mi zmienić nazwisko, ale wystarał się także o nowy akt urodzenia. Nie uwierzyliby ci, że jesteś moją siostrą, nawet gdybyś przysięgała na Najświętszą Panią. Ale wiesz co? Tak sobie myślę, że chyba lepiej, że stało się, jak się stało. Znajac ciebie, prędzej czy później znalazłbyś sposób, żeby mi zaleźć za skórę...

Rozwarłam powieki i dopiero w tamtej chwili zrozumiałam, jak bardzo Shelley mnie nienawidzi. Twarz miała wykrzywioną w odrażającą maskę.

– Tak, Joe... – pokiwała do siebie głową. – Nic ci nie zawdzięczam, bo nigdy nic dla mnie nie zrobiłaś. Przysparzałaś mi tylko wstydu i kłopotów. Czy ty masz pojęcie, jak to jest dorastać, kiedy za siostrę ma się tanią dziwkę? – Dla odmiany pokręciła głową, a mnie zaczęły latać przed oczami czarne plamy. – Nie, oczywiście, że tego nie wiesz. No ale teraz nareszcie masz szansę być użyteczna. Znikniesz z mojego życia. Nie zawiedziesz mnie ani razu więcej...

Co do tego ostatniego chyba się nie myliła. Nawet gdybym chciała, nie mogłabym jej zawieść.

W boku paliło mnie, jak gdyby ktoś rwał żywe mięso rozgrzanymi do czerwoności szczypcami.

– Kiedy mnie... – zaczęłam i urwałam, gdyż z ust trysnęła mi krew. Ochlapałam podłogę wokół siebie. Shelley odsunęła się ze wstrętem i domyśliwszy się, co chciałam powiedzieć, było nie było znałyśmy się nie od dziś, podjęła:

– Kiedy cię znajdą... to znaczy ciebie i Nadine... – sprecyzowała – pomyślą, że jednak się pomylili co do Jima. Że tak jak podejrzewali na samym początku, ty i McFall wpakowaliście się w jakieś porachunki w światku dilerów... – Uśmiechnęła się krzywo. – A może jednak pozostaną przy Jimie jako czarnym charakterze? W końcu mógł mieć partnera, nie? Nie nudź, Joe, nie w takiej chwili. Mam w nosie, co pomyśli sobie policja. Z całą pewnością nie połączą z tą sprawą mnie, a to jest najważniejsze, prawda? – Musiałam ze zdziwienia zatrzepotać powiekami, bo dodała: – Tę żołą z recepcji wywabił do Queens bardzo pilny telefon, już się o to postarałam. Pognała na złamanie karku, licząc na spadek po siostrze... Nikt mnie tu nie widział, to znaczy nikt oprócz ciebie, ale tym nie będziemy się już przejmować, nieprawdaż?... Za jakiś dzień czy dwa znajdą wasze ciała, ale nie spodziewałabym się, żeby ktoś za wami specjalnie płakał... Cóż, to nie jest wiadomość na pierwsze strony gazet. Ot, dwie ćpunkki przeniosły się na tamten świat, wielkie mi co.

– Przepraszam, Jim... Tak bardzo cię przepraszam...

– Co tam bełkoczesz? Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, musisz mówić wyraźniej, bo nic

nie rozumiem. Postaraj się... Jak to idzie? Ktokolwiek ma coś do powiedzenia, niech powie teraz albo zamilknie na wieki czy jakoś tak... No, ty Joe z pewnością zamilknie na wieki – dźgnęła mnie lufą pistoletu i dodała: – i to już zaraz.

Głos miała łagodny, niemal miękki, a na twarzy rysowało się coś jakby... żal? A może tylko mi się tak wydawało. Czułam, że krwawię coraz mocniej; przed chwilą sądziłam, że Shelley wystrzeli do mnie jeszcze raz, ale z wolna zaczynałam rozumieć, że to nie będzie potrzebne. Wykrwawiałam się na śmierć.

Gdzieś w tle jakiś mężczyzna zapytał:

– Kochanie? Wszystko w porządku u ciebie?

Zmusiłam się, by otworzyć oczy. Po dłuższej chwili udało mi się skupić wzrok na tyle, że zobaczyłam – oczywiście śmiesznie przekrzywioną – sylwetkę mężczyzny w progu. Miał na sobie elegancki garnitur i kapelusz i kogoś mi przypominał. Ach tak, to on sterczał pod domem Paula, a potem mignął mi u „Kacza” i w parku Bryanta, i w tej restauracji, gdzie przypadkiem natknęłam się na Shelley... Tak, tam to on zatrzymał się przy jej stoliku.

Shelley wyprostowała się.

– Taa – odparła niedbale. – Czekam jeszcze na tę drugą, powinna lada moment wrócić z kibla.

– Hej – wychrypiałam – założę się, że jeździsz czarnym chevroletem...

Skonsternowany popatrzył na Shelley. Miał przystojną, ale niezbyt miłą twarz. Znaczyły ją głębokie bruzdy na czole i przy ustach, oczy tkwiły głęboko osadzone niczym dwa kawałki błyszczącej skały. Żałowałam, że Shelley nie trafił się miłszy facet.

– Mówiła coś?

Shelley machnęła w odpowiedzi ręką. Podeszła do komody i wysunęła górną szufladę.

– Tylko popatrz na te łachy. Ależ z ciebie fleja, Joe. Zawsze byłaś niczym więcej jak flejtuchowatą ćpunką...

Chciałam coś powiedzieć, ale nim słowa uformowały się w gardle, wszystko zapomniałam. Oczy same mi się zamykały. W tle śpiewała Billie Holiday. Wydawało mi się, że zaczynam rozumieć. Że to tak właśnie miałam skończyć, w żaden inny sposób, tylko właśnie tak. Całe moje życie, każde najdrobniejsze wydarzenie, każde kolejne rozczarowanie prowadziło do tej właśnie chwili.

Billie przestała śpiewać. Chwilę potem na korytarzu rozległy się kroki. Nadine...

– Nie! Nie rób tego!

*Nie! Nie rób tego!*

*Dlaczego nie?* – pyta mnie Monte.

Jesteśmy w naszym pierwszym mieszkaniu. On nachyla się nad stolikiem, na którego blacie przygotował sobie równiutką kreskę hery.

Przepadam za tym stolikiem. Przepadam za całym mieszkaniem i każdym sprzętem, w jaki zainwestowaliśmy. To wszystko jest nasze. Nie muszę już mieszkać w brudnej norze z matką dziwką, nareszcie jestem na swoim. Zamierzam wziąć do siebie Shelley, żebyśmy wreszcie mogli mieć prawdziwy dom, żyć jak prawdziwa rodzina. Monte się na to zgodził. Obiecał mi, że od teraz wszystko będzie dobrze. Inaczej. Zajmie się nami obiema, mną i Shelley, a ja już nigdy nie będę musiała zarabiać. Nikt obcy mnie nie dotknie. Dom, praca, lekcje Shelley... wszystko będzie na głowie Montego. Wcześniej zawsze byliśmy zdane tylko na siebie, na matkę nie miałyśmy co liczyć. Czasami tak się martwiłam o młodszą siostrę, że czułam wręcz fizyczny ból. Zdarzało się, że nie mogłam spać po nocach. Oczywiście kocham Montego, ale wyszłam za niego przede wszystkim dla Shelley. Żeby wreszcie miała prawdziwy dom.

*Bo to ci może zrobić krzywdę.*

Mam siedemnaście lat. Wiem, że od narkotyków można się uzależnić, ale nie mam pojęcia, co to dokładnie oznacza.

Monte odchyła się na oparcie kanapy i przymyka oczy z zadowolenia.

*Nie... To wcale nie jest takie złe, jak ci się wydaje.*

On sam wydaje się nieziemsko szczęśliwy.

*W takim razie ja też chcę spróbować...*

Monte jest ode mnie o trzy lata starszy. Wie więcej ode mnie. Wyjaśnia mi, że jak się bierze tylko co któryś dzień, nie ma szans, żeby popaść w nałóg. Jeśli więc od czasu do czasu razem sobie niuchniemy, nikomu nie stanie się żadna krzywda.

Nachylam się nad stołem, robię głęboki wdech i wciągam długą kreskę, którą dla mnie przygotował. Zakręciło mnie w nosie, z oczu pociekły łzy. Co za ohydzstwo! Zwalczam ogarniającą mnie falę mdłości, opadam na kanapę i wtulam się w Montego. Chwilę później, zwinięta w kłębek, mówię:

*Czuję się zupełnie normalnie.*

Naprawdę nie rozumiem, jak ktokolwiek może się uzależnić od tego czy innego narkotyku. Nie dość, że przyprawiają o mdłości, to jeszcze człowiek czuje się po nich zupełnie normalnie. No, może z tym wyjątkiem, że powoli robię się senna, coraz bardziej senna, i jest mi trochę zimno, drzę na całym ciele... Monte przygarnia mnie do siebie i mocno przytula. Tak dobrze jest czuć jego dłoń na swoim ramieniu.

*Zaczekaj, Joey. Tylko zaczekaj... Zaraz zobaczysz, co heroina potrafi zrobić z*

*człowiekiem...*

## Podziękowania

Tysięczne podziękowania składam Danowi Conawayowi i Simonowi Lipskarowi, a także Clarze Farmer i całej ekipie z wydawnictwa Atlantic Books oraz Jody Hotchkiss i Danae DiNicola.